

magrat Wiesław Krasnodębski

Archiwum Wschodnie
16

Warszawa 1989 r.

Henryk Bużhak

ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Henryk Bużhak, urodziłem się w Wilnie, pochodzę z rodziny inteligencji pracującej. Spędziłem dzieciństwo w Nowogródku, do 11 roku życia, tzn. do roku 1941, kiedy to wraz z moją żoną i matką znalazłem się na Syberii. Chciałbym kilka słów poświęcić mojemu dzieciństwu, bo ono w jakiś sposób kształtowało mnie jako człowieka. Jak teraz sobie przypominam, było to na pewno dzieciństwo sielskie-anielskie. Mieszkaliśmy dość wygodnie w Kolonii Urzędniczej w mieszkaniu o dość wysokim, jak na tamte czasy, standardzie. Mój ojciec był sędzią w Nowogródku, stanowisko więc miał dość wysokie. Uczyłem się w dość elitarniej szkole es nazaretanek, która to szkoła - obok domu rodzinnego - kształtowała mój etos, kształtowała mnie jako człowieka. Na pewno dużo tej szkole zawdzięczam. Dlaczego mówię o tej szkole? To środowisko, zorientowane bardzo katolicko, może nawet klerykalnie, przeżyło później dość istotny epizod, kiedy to w 43 roku 11 sióstr związanych z tym klasztorem poniosło męczeńską śmierć z rąk niemieckich okupantów. Znam to z legendy, która wokół tego już rozrosła, z opowiadań. Jeżeli to mówię, to dlatego, że nadal poczuwam się do jakiejś więzi duchowej i z tym środowiskiem i z tym, co to środowisko reprezentowało. Choć bardziej krytycznie patrzę, szkoła, którą rozpocząłem w 36 roku a zaliczyłem tylko 3 klasy, była to szkoła, która uczyła dwóch podstawowych wartości: Miłości Boga i miłości ojczyzny. Poza tym oddziaływała na mnie atmosfera mojej rodziny, atmosfera rodziny, mającej dość wyraźne powiązania klasowe, ale z drugiej strony rodziny otwartej, z której wyniosłem szacunek dla człowieka niezależnie od jego pochodzenia i narodowości. Mieszkało się przecież w środowisku bardzo typowym dla ówczesnych kresów wschodnich, tzn. w środowisku ^{wyznawstwa} narodowościowego. Świadomość polskości, więzi z narodem polskim ogromnie wyraźna, jakkolwiek człowiek od dziecka sty-

kał się z mniejszością, a właściwie większością białoruską, która nas otaczała; stykał się z Żydami. Różnie się układały nasze stosunki. W tej chwili, jak sięgam myślą, to wydaje mi się, bez jakiegokolwiek idealizowania tamtych czasów, że nie były to stosunki najgorsze, że jakiś modus vivendi się kształtował przecież całymi wiekami - zapewnił przynajmniej jakieś życie (życie?) tych tych środowisk z sobą. To współżycie nie było pozbawione elementów nieraz i konfliktowych. Nie twierdzę, że od początku usiłowano mi zaszczerpieć jakieś specjalnie serdeczne uczucia wobec Żydów czy Białorusinów. Niemniej nie było w tym stosunku ani uczucia specjalnej pogardy do tego, w końcu stojącego dość nisko cywilizacyjnie chłopca białoruskiego (mniejsza z tym, dlaczego on tak nisko cywilizacyjnie stał), a mój stosunek do Żydów nie był jakimś tanim żydofilstwem, ani jakkolwiek żydofobią. Po prostu istniały pewne granice, które wyznaczyły tradycje i pewne zaszczości historyczne, ale te granice nie były granicami konfliktowymi. Obecny mój stosunek do pewnych spraw (...)korzeniami sięga tamtych czasów. Mam w pamięci niektóre postaci tamtych Żydów, do których żywię tylko i wyłącznie stosunek emocjonalny pozytywny, nawet serdeczny. Są i ciekawe plamy, które się nawarstwiły później, szczególnie w okresie tzw. pierwszej okupacji sowieckiej, od 39 roku. Różne były nasze doświadczenia, nieraz bardzo tragiczne - ale w sumie dzieciństwo jakoś mnie zdefiniowało na całe życie. (skrót: H.B. zastanawia się nad sprawą dzieciństwa, ew. spisaniem wspomnień z niego.) Niewątpliwie późniejszy okres pobytu na Syberii ukształtował całe moje widzenie świata, hierarchię wartości, ale dzieciństwo wspominam nie tylko dlatego, że było piękne. Jeżeli chodzi o czasy przedszkolne, wspomnienia moje wiążą się z rodziną, krewnymi. Ogromna rola w moim życiu spełniali dziadkowie Białniccy-Birulowie, rodzina mojej matki. Dziadkowie po ojcu zeszli z tego świata wcześniej. Była to

(rodzina matki) rodzina dość typowo średnioziemianka. Wywodziła się ze Słuczczyzny, mieli tam niewielki mająteczek, siemiaństwo zbiegające. Dziadek siadywał na dzierżawach (...). Rodzina ojca to było dużego kalibru siemiaństwo, zamożne, dość powiedziedzieć, że mój pradziadek miał majątek szacowany na mniej więcej 10 tys. dzie sięcin, tzn. ponad 10 tys. ha. (...) Mieli majątek Natalewsk na Mińszczyźnie w powiecie ihumeńskim. (...) H.B. opowiada o dziejach rodziny ojca, dziadek żył w Rosji spłacany przez brata, miał 6 dzieci, wszystkie kształcił, również ciotki Henryka, ojciec skończył studia prawnicze w Petersburgu, brał udział w wojnie, przeżył w Rosji rewolucję a potem osiadł w Nowogródku). W ogóle rodzina "zjechała się" do Polski. Ojciec w Nowogródku był początkowo sędzia śledczy, później sędzią okręgowym, część rodziny osiadła w Toruniu, część w Warszawie. Rodzina matki przechodziła w związku z wojną i później rewolucją różne koleje, dwukrotnie uciekała ze Słuczczyzny na zachód, cofając się przed bolszewikami najpierw w 18r. później w 20. Powroty na krótki okres, kiedy na skutek działań wojennych te tereny znajdowały się pod kontrolą odradzającej się Polski - i znów następował odwrót. I później ten ostatni odwrót, który zresztą paniętam dobrze z opowiadań mojej matki i dziadków - upalnym latem 1920, kiedy po raz ostatni zostawili ten swój mająteczek pod Słuckiem. Po zwycięstwie pod Warszawą nastąpił powrót, który niestety w wypadku mojego dziadka skończył się na stacji Baranowicze. W 20 roku wojska polskie przejściowo znalazły się na tych obszarach, przejściowo opanowały Mińsk, stolicę tamtych terenów. Z tradycji rodzinnej dowiedziałem się, jak dziadek w Baranowiczach dowiadyuje się, że nasze wojska opuszczają Mińsk i tamte tereny i cofają się do linii demarkacyjnej, która przebiegała bardziej na zachód, gdzieś przez Stołpce, późniejsza stacja graniczna. Wtedy dziadek doznał jakiegoś szoku, bo właściwie było to tak blisko, jego dom rodzinny, wojna była na ukończeniu - i nastąpiła

ta sytuacja, którą przez dłuższy czas zwano kordonem. Nie mówiono o granicy, tylko o kordonie, czymś jakby tymczasowym, co może ulegnie zmianie...

Matka poznała się z ojcem w Nowogródku, była młodą panną, ojciec w tym czasie już był sędzią, matka pracowała w sądzie i na tym terenie rodzice się poznali. Po czym nastąpiło to, co nazwałem okresem dzieciństwa sielskiego-anielskiego. Był to okres pełen radości, pięknych chwil związanych zarówno z pięknym krajobrazem, w którym dane mi było rosnąć, jak i ludźmi, niezwykle nieraz ciekawymi, którzy pozostali w mojej pamięci. Żyliśmy bardzo rodzinnie. Miasto było niwielkie, więc kontakty stałe między rodziną, miałem ciotkę i wuja ze strony matki. Dziadkowie odegrali ogromną rolę w moim dzieciństwie, tzn. bardzo mi je wypełniali, częstokroć byłem zostawiany na ich opiece, tak że dziadkowie byli dla mnie tą jeszcze wyższą instancją - ponad matką i ojcem. Tak się ta hierarchia pokoleniowa w mojej świadomości kształtowała.(...) Z tego dzieciństwa zapamiętałem przepiękne wakacje w miejscowości Nowojelnia pod Nowogródkiem, pełne zapachu cudownych sosnowych lasów, samowarów palonych szyszkami, jakichś wieczorów nie kończących się na werandach domów letniskowych, gdzie się wyjeżdżało z całą rodziną na kilkumiesięczne wakacje. Przypominam sobie te pare lat w szkole sióstr nazaretanek, dość surowych, bo to była szkoła, która uczyła pewnej dyscypliny, surowa, stawiała uczniom dość duże wymagania (...). Do 39 roku byłem dzieckiem dość ukształtowanym psychicznie. Ponieważ byłem jedynakiem, dzieckiem, które się wychowywało wśród starszych, wcześniej sięgałem do lektur, wcześniej interesowała mnie historia, trochę poważniejsze sprawy. Tak że wojna zastała mnie jako małego, 9 letniego chłopaka o dość w gruncie rzeczy rozwiniętej świadomości narodowej, patriotycznej, nawet trochę historycznej (...). Wojna 39 roku była dla mnie ogromnym wstrząsem - wprowadziła w świat dorosły. Nasz rozwój doznał przyspieszenia - skok w dorosłość

(...) Zetknęliśmy się z czymś, co przedtem było jakąś legenda, historią, rodzice opowiedzieli nam jakieś zdarzenia z czasów I wojny, z wojny polko-bolszewickiej (...). Jako dziecku opowiadano mi często do snu wydarzenia - miałem kuzyna, normalnego carskiego żołnierza, który przeszedł 14 i 15 rok, którego opowiadania były dla mnie niesłychanie ciekawe. Był zagazowany, opowiadał mi o tym ataku gazowym, którego ślady wyczuwało się, ponieważ mówił z trudem. Te rzeczy działały na moją wyobraźnię, ale była to dla mnie dość odległa historia. Tymczasem historia dokonała ogromnego przyspieszenia i wepchnęła nas w świat dorosły (...). Dla mnie najstraszliwszy okres - jak sięgnę pamięcią - to był okres, który nastąpił po 17 września 1939 roku. Szalenie jako dziecko bałem się wojny. Wojażyła mi się ona z jakimś zasłyszczonym słuchwiskiem radiowym (mieliśmy bardzo dobrego telefunkena), może odwołującym się do wojny w Hiszpanii, z odgłosami wyjących syren, hukiem bomb. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, budziłem się w nocy ze strachu. I wojna nadchodząca, a wyczuwało się narastanie grozy w 39 roku latem - to oddziaływało na moją psychikę. Patrzyłem, jak myślny się przygotowywali do tej wojny, jak pojawiały się jakieś dziwne rzeczy, np. gongi, które się stawiało w Nowogródku, gongi alarmowe, z jakimiś kawałkami szyn. Mówiło się o próbnym alarmach. To wszystko napawało mnie okropnym strachem (...). [Po cudownym, bajecznym lecie, które spędzałem na działce u dziadków pod Nowogródkiem - kiedy wojna stała się realnością, nastąpił ogromny przypływ jakiegoś entuzjizmu, nadziei, że może nareszcie tych Niemców rozbijemy, że może coś się stanie, że odwróci się karta i tę wojnę wygramy (...)].

17 września to był wstrząs potworny, to było uderzenie zniszczenia, któregośmy się absolutnie nie spodziewali, które przyszło ze wschodu, zagroziło dalekim tyłom frontu (...). Dzień 17 września. Pamiętam piękny, lekko chłodnawy jesienny poranek. Rodzice mnie budzą, widzę, że w domu jakieś zamieszanie, jakieś pakowanie się.

Otwarte drzwi na balkon, matka chyba rozmawia z kimś z dołu, ktoś mówi, że już zajęli Nieśwież. Zacząłem się pytać, co się stało, widzę, że rodzice są zupełnie dezorientowani, zdenerwowani. "Henryczku, wkroczyli Rosjanie".]

Teraz zaczyna się bieg wydarzeń, który zapamiętałem w sposób niemal fotograficzny. Ubieramy się i we trójkę wychodzimy z domu. Niedaleko był urząd Izby Skarbowej, idziemy pobrać tam - bo ja wiem pensję ojca? Z tego, co pamiętam, czeka nas ewakuacja, jakiś wyjazd gwałtowny. Z trudem kojarzę, o co chodzi, wiem, że stało się coś groźnego, strasznego. Człowiek wiedział coś niecoś o naszym wschodnim sąsiedzie - Rosjanie wkroczyli nie wiadomo, w jakim charakterze, ludzie gubią się w domysłach, widać zamieszanie, biegają. Idziemy we trójkę i jakiś mijany pan zatrzymuje ojca. Ojciec mówi: "Idźcie, dogonię was". Wchodzimy do Izby Skarbowej, kręcimy się wśród tłumu ludzi dezorientowanych. Ojciec nie dołącza do nas. Nawiasem mówiąc, kiedy po wielu latach rozmawiałem z nim na ten temat, nie pamiętał absolutnie tego zdarzenia. Ciągle mówiłem: "Powiedz, kto to był ten pan, który ciebie zatrzymał i co później z tobą było?". Ponieważ w tym właśnie momencie myśmy się rozstali na siedem lat. Ojciec mówił: "Owszem, mogę odtworzyć, co się później ze mną działo, ale tego, że ktoś mnie zatrzymał i gdzieś mnie skierował, tak że ja w końcu do was nie dołączyłem i myśmy się nie spotkali - nie pamiętam".

Idziemy z mamą do sądu. Sąd był położony na drugim końcu Nowogródka, dobre pół godziny marszu. Idziemy ulicą Słonimską, mijamy Województwo, gdzie stoi paru jakichś panów z dubeltówkami, ubrani, tak troszkę po myśliwsku, więc jakby uzbrojeni. Urzędnicy prawdopodobnie z województwa. Idziemy Słonimską, wchodzimy na rynek, z kościoła św. Michała (piękny barokowy kościół) wychodzą ludzie z wczesnej mszy. Jest niedziela. Ulicą Korylicką w dół idziemy w stronę sądu. Wchodzimy tam. W sądzie też nieprawdopodobne za-

mieszanie, tłum ludzi kłębiących się, pobierających jakieś pieniądze. Mama kogoś o coś pyta, ja się kręcę, narasta zdenerwowanie, chaos (...). Ojca w sądzie nie spotykamy. Matka wychodzi, mówi, że tatuś był i pojechał prawdopodobnie do domu, wracamy. Wychodzimy na podwórze, gdzie też kłębi się sporo ludzi i - pamiętam - stoi autokar. (...) Obsługa tego autokaru jest w jakichś ni to mundurach, w beretach, trochę te mundury przypominają lotnictwo. Mówi się, że jest to autokar z Lidy, a tam stał V Pułk lotniczy (77 Pułk Fiechoty także). Robi to wrażenie, że to jakiś ewakuacyjny autokar, który przyjechał zabrać sędziów - nie wiem. Pamiętam żonę prezesa Sądu Okręgowego, panią Muraszkową z synem, która się pakuje, inne osoby też się pakują - w rezultacie my również z matką wsiadamy do tego autobusu, po prostu po to, żeby pojechać do domu, po drodze nam. Wiadomo, że autokar jedzie do Wilna i ew. w stronę granicy litewskiej, to jest jedyny kierunek jakiegokolwiek ewakuacji. Autokar jest nabit do granic możliwości. Pamiętam jakieś chaotyczne rozmowy. Siedzę na kolanach jakiegoś nobliwie wyglądającego pana, młodego stosunkowo człowieka, który powiada, że jest zdolny do noszenia broni: "Uciekam dlatego, że mogę się przydać". Jest to pan w sile wieku, którego widocznie nie zdążono jeszcze zmobilizować, wiadomo, że masa ludzi nie zdążyła się zmobilizować - to był 17-ty dzień wojny. Dojeżdżamy do naszej kolonii, zatrzymujemy się, ktoś jeszcze dosiada (panna Mirkowska, żona Paczowska, córka sędziego Mirkowskiego). Matka decyduje się wysiąść. Parę osób namawia mamę: "Pani Konstancjo, niech pani jedzie, pan sędzia na pewno już pojechał, może sam trafił na jakiś środek komunikacji i jedzie w kierunku Wilna". Mama decyduje się wysiąść mimo wszystko. Ma tylko małeńki bagaż ręczny, jaki się nosiło w czasie wojny, bo się jednak pewne rzeczy nosiło ze sobą. Miała taką dużą torbę, może trochę pieniędzy czy kosztowności. Chodziło o to, żeby w razie jakiegoś bombardowania nie zostać z niczym. Ale w końcu nie mamy

żadnych rzeczy, jesteśmy ubrani tak jak stoimy. Mama wysiada i pamiętam (teraz po latach może zabrzmieć to pewnym patosem, ale wtedy nie był to patos, tylko jakieś przekonanie, wypowiedziane w momencie, kiedy się podejmuje ważne absolutnie, życiowe decyzje) - powiada: "No, nic, my musimy zostać tak jak te słupy graniczne po to, żebyście mieli dokąd wrócić". Słyszę jakieś szlochanie, autokar rusza. My idziemy do domu, otwiera nam służąca Tania, Białorusinka bardzo miła. Matka pyta: "Jest pan?" - "Nie, paniczka, nie było pana". [Ojciec gdzieś zniknął. Zostajemy z matką sami, nie wiemy, co się z ojcem stało. To była zresztą rzecz, która ojca później szalenie bolała, jakkolwiek było to absolutnie zrozumiałe (Ojciec przeżył rewolucję w Rosji, siedział w więzieniu czeki 2 tygodnie, tyle tylko, że wyszedł z tego cało, na szczęście).]

Co robić? Tutaj pewne sceny i obrazy mi się nakładają, nie bardzo mogę sobie poradzić z następstwem czasowym. W każdym razie stosunkowo o wczesnej godzinie (myśmy się bardzo wczesnie popoderwali - chyba rodzice odprowadzili mnie do takiego schronu. Schronów przyzwoitych nie było, lecz takie rowy przeciwlotnicze budowano tuż przed wojną na podwórkach, małe doły, które przykrywano darnią i jakimś belkami. Chroniły od odłamków, ale nie od bomb. Zanim wyszliśmy z rodzicami odprowadzono mnie parę domów dalej na ul. Kościelnej, tam sobie siedziałem sam (...) i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem samolot, sądzę, że sowiecki. Wyglądałem z tego rowu - samolot leciał dość nisko, prawdopodobnie dwosilnikowy lekki bombowiec, i patrzyłem, czy on będzie zrzucał bomby, czy nie. To było moje pierwsze zetknięcie się z samolotem obcym, nieprzyjacielskim. Bo dwa tygodnie wojny upływały mi też sielsko, bo siedziałem w mająteczku dziadków, gdzie była cisza, spokój, pachniało wczesną jesienią. Bawiliśmy się z dwójgiem braci wujecznych i było nam cudownie. Szkoła zaczęła się dwa tygodnie później, chodziłem parę dni do 17 września).

Matka mnie odprowadza do tego samego rowu: "Siedź, Henryczku, nie wiadomo, co się może zdarzyć". (...) [Usiłuję sobie czasowo ustawić moment, który mi utkwił w psychice, mianowicie odwrót naszych wojsk ostatnich oddziałów, które zjawiły się gdzieś we wczesnych godzinach popołudniowych, może to była 13, 14-ta.] Zmieniła się pogoda: ranek był słoneczny, a później zaczęło się chmurzyć. Myśmy się krecili na dużym podwórku Kolonii [Urzędniczej z paroma kolegami i wiadać było, jak ulicą Kolejową przejeżdża kolumna polskich wojsk i to kolumna zmotoryzowana. (...). Oddziały wyglądały bojowo: samochody z przyczepami, na których siedzieli żołnierze w hełmach, przejechało też parę tankietek. W pewnym momencie ta kolumna zatrzymała się - przejechano psa. (Był to pies pana Witolda Skarżyńskiego, naszego bliskiego znajomego, mieszkał też na Kolonii Urzędniczej, później prawdopodobnie zginął w Karagandzie. Jego rodzina została wywieziona w 40 roku do Kazachstanu). Przejechało tego psa, był ranny, nagle strzał. Któryś z oficerów dał panu Skarżyńskiemu broń i on dostrzeżił tego psa. (...) Z opowiadań mojej ciotki (mieszkała też na Kolejowej), że któryś z oficerów poprosił o mapę. Nie mieli map dokładniejszych. Ciotka przyniosła jakąś mapę wuj, wuj już w tym czasie był powołany do wojska, służył w kawalerii. Był to więc oddział, który przeciągał, nie miał jakiegoś dokładniejszego rozeznania w terenie. Jechali w kierunku Lidy, w kierunku ewakuacyjnym - na Litwę.

Wyrzucałem sobie później swoją młodoszność. Jako dziecko byłem zorientowany, myślałem "ocho, jakieś oddziały przeciągają, może być bombardowanie, będą rzucali bomby na tę kolumnę" - i trzymałem się trochę na dystans, 100 czy 200 metrów. [Później sobie myślałem, że widziałem wojska prawdziwej naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej - po raz ostatni widziałem polskiego żołnierza, który wycofywał się, ale wycofywał się w sposób zorganizowany, godny.] (...) Pojawiły się też trzy klucze jakichś niezidentyfikowanych

samolotów. Leciąły wolno - bombowce dwusilnikowe, dość wysoko. Patrzyliśmy z przerażeniem, bo nie wiedzieliśmy, czy to bombowce niemieckie lecą, czy sowieckie. Gang silników był głośny, dudniący - leciały w kierunku wschodnim, jakby wracały... Później rozległy się jakieś detonacje - jakby zrzucały bomby gdzieś w polach (...). Obserwowaliśmy te bombowce z grupą uciekinierów z Warszawy, którzy zatrzymali się u prokuratora, pana Jacuńskiego, w willi stojącej w obrębie Kolonii Urzędniczej. W tej grupie był pan Loret, dyrektor zarządu lasów państwowych, to było bardzo wysokie stanowisko, był w randze ministra. Lasy państwowe należały do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych. Nawiasem mówiąc, on tam siedział, aresztowali go Rosjanie i zaginęł gdzieś w Rosji.

Resztę czasu, tych jeszcze parę godzin, spędziłem siedząc w tym rowie lotniczym. Dołączyli do mnie dwaj moi znajomi Giedroyciowie, Julek i drugi, w moim wieku. Ojciec ich był prokuratorem w Nowogródku, a później w Grodnie, z Grodna ewakuowali się do Nowogródka. Została pani Giedroyciowa z dwoma chłopakami. Pana Giedroycia udało się wepchnąć

Pana Giedroycia udało się wepchnąć. Tak samo zapamiętałem inny moment, ponieważ znalazłem się wtedy na podwórzu. Ciągle pałętałem się po podwórzu, ciągle musiałem być blisko domu, bo matka przecież by dalej mnie nie puściła. Zresztą ja sam trzymałem się blisko domu, przecież nie wiadomo, co miało nastąpić.

Pamiętam moment, który zrobił na mnie duże wrażenie. Oddział policji państwowej, trudno powiedzieć, czy było ich kilkunastu, raczej mniej. Odjechali takim dużym, otwartym samochodem. Były to samochody policyjne, duże, jakby takie przedłużone osobowe samochody, ale gdzie mogło się zmieścić więcej niż czterdzieści pięć osób. I chyba do nich "dopchnięto" pana Giedroycia, który także miał "duszne" wątpliwości, czy może zostawić żonę z dziećmi. Pamiętam, matka moja i ciotka, siostra matki, mówiły: "No dobrze, niechżeś pan ucieka, bo pana przecież... pan wie, co panu grozi...". I on wreszcie zdecydował się. Pamiętam ten oddział, który wychodził. Na Kościelnej, koło nas, niedaleko, była jedna z agend policyjnych. Wyszli w chełmach, czarnych policyjnych chełmach, z karabinami. Widać było, że palili dokumenty. Później unosiły się przez wiatr rozwiewane strzępy spalonych papierów. Więc do końca działali w sposób spokojny i niepanikarski. Zajęli spokojnie miejsca w samochodzie i samochód ruszył. To była godzina, jak sobie przypominam, jakaś druga, trzecia po południu. Ustalałem to jeszcze z pewnymi osobami, które pamiętały tę scenę.

Pamiętam również obiad, którego nie mogłem absolutnie zjeść, ponieważ zupełnie, jak to się mówi, "rosło mi w gardle". Był to, jak dziś pamiętam, wspaniały barszcz ukraiński. Zupa stała, wspaniale pokrywając się śmietaną, tężała, a ja jakoś nie mogłem się zmusić, byłem tak zdenerwowany. No i ten pierwszy

wieczór. Wieczór zapadał, pamiętam, że ci chłopcy, Giedroyciowie, poszli jednak nocować chyba do gmachu sądu, bo tam zatrzymali się właśnie, tam były jakieś pokoje gościnne. A my zostajemy z mamą i z naszą służącą Tanią. I wieczór zapada, trochę wychodzi słońce... jakiś niespokojny ruch... Bo sporo jeszcze ludzi zostało, przecież nie wszyscy się ewakuowali, nie wszyscy uciekli. A ja ciągle kręcę się po podwórzu.

Zapada mrok, ludzie rozmawiają niespokojnie, niepokój narasta coraz bardziej. Co z nami będzie, co się stanie, jak oni się będą zachowywać? Wiadomo, że wkraczają Rosjanie, że za jakichś parę godzin mogą się pojawić w Nowogródku. Pamiętam, na ławeczce przy domu siedzi kierownik Wojewódzkiego Zarządu Dróg, pan inżynier Sobierajski. Podchodzę do niego i powiadam: "Panie inżynierze, co będzie z nami? Co będzie z Polską?" Bo zdaję sobie sprawę, że coś się wali, jest to coś, czego nie mogę w tym swoim dzieciennym umyśle wyobrazić sobie. Jak to? Nastaje sytuacja, w której przestaje istnieć Polska. Coś, co było dla mnie tak oczywiste jak powietrze, jak woda, jak żywioł, który mnie otacza. Który jest czymś zupełnie normalnym, naturalnym i bez którego nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek życia. A on powiada: "Wiesz, dziecko, Polska na pewno powstanie. Tylko na pewno nie w tych granicach." I muszę przyznać, że to były rzeczywiście prorocze słowa. Myślę sobie: "Jak to? Nie w tych granicach?" Wilno, Lwów... przecież to człowiek wiedział, słyszał... Owszem, wiedziałem, że wojna wybuchła właśnie o ten Gdańsk, właśnie o to nasze wybrzeże cudowne, na którym spędziłem chyba najpiękniejsze moje wakacje w trzydziestym ósmym roku, kiedy po raz pierwszy w ogóle zobaczyłem morze. Byliśmy tam na wakacjach szereg tygodni. Wszystko to razem było dla mnie czymś integralnym i nie wyobrażałem sobie, że coś może się stać.

Ale pamiętam, że on to właśnie przewidział. Mówił tak: "Polska na pewno powstanie, ale czy powstanie w tych granicach, to jest raczej wątpliwe".

Tak samo pamiętam inny moment. Przychodzę do domu - mieszkanie zamknięte. Ogarnia mnie lęk. Jest już mrok, jakaś godzina siódma. Jest wrzesień, więc mrok zapada wcześniej. Wpadłem w rodzaj jakiejś paniki: "Co się stało z matką? Dlaczego nikt nie ma w domu?" Przygarnął mnie na korytarzu, pamiętam, na klatce schodowej pan Syrtoft, też urzędnik z województwa, i mówi: "Uspokój się, dziecko, mama przyjdzie zaraz, nie denerwuj się, no przecież nic się nie stało". Ale napięcie nerwowe tego rodzaju jest nieprawdopodobne.

[Warkot. I nagle z daleka zaczyna napływać głos czołgowych silników. Łoskot idących czołgów. Staje się coraz bardziej wyraźny i coraz bardziej narasta. Ponieważ Nowogródek, Nowogródczynna jest sfalowana, więc ta kolumna, prawdopodobnie pancerna, zbliżająca się od strony Baranowicz, a więc od strony szosy, która doprowadzała do ulicy Piłsudskiego i skąd narasta ten łoskot, wznosi się i opada w doliny. Dlatego pulsowanie tego łoskotu jest coraz bliższe, ale czasami jakby ucicha i wraca znów coraz potężniejsze, coraz potężniejsze. W końcu słyszymy, że czołgi są już gdzieś na przedmieściach, że łoskot potężnieje, że dudni całe miasto.]

Pamiętam moment, który wydał mi się przerażający. Nowogródczynna leżała przecież na bardzo głębokich tyłach frontu, na szczęście. Myśmy niejako nie brali udziału w tej wojnie. Ten nasz udział był tylko udziałem w biernej obronie. Pamiętam zaciemniania okien, pamiętam jak my, chłopcy, lataliśmy wieczorami po kolonii i wypatrywaliśmy, czy gdzieś tam przypadkiem nie prześwieca światło. Pamiętam z jaką kiedyś dumą zadzwoni-

liśmy do jakiegoś mieszkania, żeby stwierdzić: "U państwa przeswieca światło przez zasłony". "Aj, chłopcy, bardzo wam dziękujemy", wyszliśmy jak bohaterowie, jakbyśmy dokonali jakiegoś patriotycznego bardzo obowiązku, że my tu pilnujemy, by przestrzegano zaciemnienia, które wtedy było oczywiście zrozumiałe. Że bierzemy udział w czymś takim, co jest w naszych granicach, że coś działamy. I nagle, przypominam sobie, zaświeciły wszystkie latarnie w Nowogródku. Nowogródek był zelektryfikowanym miastem, to było w końcu wojewódzkie miasto. I to wydało mi się jakimś gestem podniesienia rąk, kapitulacji. Dotychczas myśmy kryli się w mroku, kryliśmy się w tym zaciemnieniu przeciwnym, bo przecież byliśmy w wojnie. Myśmy uczestniczyli w tej wojnie, więc zachowywaliśmy się według pewnych reguł, które wymagał od nas czas wojny. A tu nagle Nowogródek rozjaśnia^a się wszystkimi światłami. To było jakby podniesienie rąk, jakby poddanie się. Pamiętam, że to było dla mnie okropnie nieprzyjemne, niesłychanie wstrząsające. I ten gwar dochodzący z rynku, z centrum miasta.

[Ciągłe nie widzimy tych czołgów, nie widzimy tych Rosjan, tych Sowietów. Ale wiem, że coś się dzieje, wszyscy wyczuwamy, że coś się dzieje na rynku. Bo ta kolumna dotarła gdzieś do centrum miasta, do rynku, i jakby zatrzymała się. Nikt specjalnie nie kwapił się, żeby lecieć tam i oglądać ich, chyba tylko osoby, którym na tym zależało. Trzeba tu od razu powiedzieć szczerze - to była przede wszystkim ludność żydowska, która witała ich w sposób entuzjastyczny. Może, powiedziałbym, pewna grupa ludności żydowskiej, jak również i Białorusinów sporo, którzy też przecież mieszkali w Nowogródku. I dopiero wieczorem przybiegają; z pierwszych relacji, które przeważnie pochodziły od służących, bo one klasowo najbardziej odpowiadały

pierwszym kontaktom z "wyzwolicielami", wynikałoby, że ta kolumna zatrzymała się, że zaczęli ci żołnierze wysiadać, że czołgi były niesłychanie rozgrzane. Jak dziś pamiętam takie wspomnienie, nie pamiętam, czy to było tego samego wieczoru czy może nieco później. Któraś z tych naszych znajomych służących powiedziała: "Panieczka, toż to ancýchryst, wyłazi, panie, z takiego jakiegoś żelaznego pudła, paj cały czarny, umorusany, panie, te ichne tanki takie czerwone, po prostu rozgrzane aż do czerwoności żelazo - trochę, zdaje się, było fantazji w tym, bo nie wiem, czy czołg mógłby rozgrzewać się aż do czerwoności - panieczka, ale to ancýchryst, ancýchryst". To był ten "ancýchryst".]

Kładziemy się, może nas sen, to zmęczenie, to nieprawdopodobne napięcie zmorzy. Noc mija stosunkowo spokojnie.

Następnego dnia też si^edzimy w domach, mało ruszamy się na zewnątrz, bo nie wiadomo, co w ogóle będzie. Ale już zaczyna się, powiedziałbym, zakieria, ta jacquerie, uderzenie pewnych warstw, które ruszają do miasta. Grupy chłopstwa, niejednokrotnie uzbrojonego, które idą do miasta podbite, zaczynają się ekscesy, zaczynają się polowania na policjantów, na urzędników, na wojskowych. To było dla mnie niesłychanie rzeczą wstrząsającą, bo dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że te wszystkie nasze ⁱstosunki i społeczne, i stosunki "mniejszościowe" nie były takie sielankowe jak nam się wydawało, jakie sobie człowiek może nawet i wyobrażał, jak z jakichś czytanek, że tutaj nastąpiło wyzwolenie żywołu, którego człowiek absolutnie nie podejrzewał i o którego istnieniu w ogóle nie myślał. Jakkolwiek słyszałem o tym oczywiście, przecież mój ojciec był sędzią karnym, od czasu do czasu z urywków rozmów. Lecz u nas nie mówiło się za dużo o tych sprawach służbowych ojca. Wiado-

mo było, że gdzieś tam są jacyś komuniści, jacyś ludzie, którzy chcą tę Polskę osłabić, że są jakieś żywoły, które ciążą ku Sowiecom. To mi się obijało trochę o uszy, ale to wszystko było marginesem. Natomiast tutaj nareszcie nastąpiła ta potworna konfrontacja.

I rzeczywiście, co raz ktoś przychodzi, mówi, że gdzieś kogoś złapali, że ktoś tam widział jakiegoś policjanta, którego prowadzili już bez pasa, pobitego. Groza rewolucji, po prostu rewolucji, o której ja też coś niecoś słyszałem od ojca z jego opowiadań, stanęła przed nami. I co dalej? Czy nie zaczną się jakieś prześladowania, jakieś ekscesy? I w takim nastroju spędzamy ten pierwszy dzień, osiemnasty września.

Kiedy widziałem pierwszego sowieckiego żołnierza to, dalebóg, nie pamiętam. Czy to było może drugiego dnia, może widziałem jakichś paru idących żołnierzy? W każdym razie na pewno te pierwsze godziny, ta pierwsza doba to były raczej chyba przemarsze wojsk. Ta kolumna zatrzymała się prawdopodobnie na postój, bo w końcu przyszła gdzieś o godzinie ósmej wieczorem czy dziewiątej. Zresztą później dobijały jeszcze oddziały, bo słychać było cały czas ten warkot. To musiała być jakaś duża grupa, jakaś jednostka sowiecka, która tamtędy maszerowała. Później te oddziały ^{(dalej,} szły w kierunku Lidy, szosą na Lidę. Taże właściwie to był raczej przemarsz. Natomiast na pewno już wieczorem siedemnastego września, a już na pewno osiemnastego powo-
tworzyły się miejscowe milicje, wyłonione, oczywiście, przez grupy komunizujące, nawet być może jakichś agentów, których tam też w końcu nie brakowało. Bo na pewno byli ludzie w jakiś sposób powiązani z Sowiecami. Najlepszy dowód, że były osoby, które mieszkały w Nowogródku i które później znaleźmy jako oficerów NKWD.

Był taki słynny Kawal', kowal, też zresztą Żyd z pochodze-

nia, którego, nawiasem mówiąc, mój ojciec miał, zdaje się, przyjemność widzieć na ławie oskarżonych. Nie pamiętam, jaka to była sprawa. Dość, że ten facet, zresztą znienawidzona zupełnie postać, znająca doskonale teren miasta, wszystkich ludzi, pamiętam, u nas zjawiał się już normalnie w mundurze oficera NKWD. Z czerwonym otokiem, a jakże, z niebieskim denkiem. Więć był to prawdopodobnie jakiś agent, który tam siedział i miał określoną funkcję, skoro później został z miejsca oficerem NKWD. Przecież w końcu oficer NKWD znaczył o wiele więcej niż w armii, bo tam była dość duża różnica, stopień podporucznika czy lejtnanta, czy oficera NKWD to był stosunkowo wysoki stopień służbowy.

A więc ci ludzie jakoś skrzyknęli się i gdzieś wykombinowali jakąś broń, nie wiem, czy broń tę może dostali od Rosjan, nie wiem. Ale w każdym razie już te grupy facetów z czerwonymi opaskami pałętały się po mieście, robiły jakieś rewizje, zaglądały do mieszkań. Myśmy też zresztą mieli taką krótką wizytę. Już nie pamiętam, którego to dnia było, raczej w parę dni po wkroczeniu. Kiedy oni przyszli, dość grzecznie zachowali się, po prostu weszli i spytali:

- Czy jest sędzia Bułhak?

- Nie, nie ma.

- A gdzie?

- Nie wiemy.

Zajrzeli pod łóżka, tak jakby mój ojciec siedział pod łóżkiem, pamiętam. Nawet ktoś zapytał się, zdaje się pani Giedroyciowa, która później zamieszkała z nami, ale o tym za chwilę, pokazała straszak, taki młodzieżowy pistolecik i spytała, czy mamy to oddać, tę broń, czy nie. "A nie, nie, to nie" - machnęli ręką i poszli. Chyba następnego dnia były już jakieś og-

koszenia, nie wiem, czy jakoś rozplakatowane, dość, że tam chodziło o to, żeby odlać broń. I wtedy, już nie pamiętam, czy to było osiemnastego czy następnego dnia, matka poszła i oddała dubeltówkę ojca. Ojciec miał jeszcze i rewolwer, także to matka zanosła. I to musiało być dosłownie w pierwszych dniach po wejściu Rosjan.

Ale na razie nieco wracam, na razie jest dziewiętnasty wrzesień, a więc drugi dzień pobytu Rosjan. Pamiętam, że wieczorem znów zaczyna się jakaś niespokojna atmosfera. Chodzą pogłoski, że może być napływ do miasta jakichś grup chłopskich, że mogą być pogromy, że mogą być grabieże. Jednym słowem - narasta groza.

W międzyczasie myśmy już ściągnęli do siebie panią Giedroyciową, o której wspominałem, z dwoma synami, i dla której pozostawanie na terenie sądu było, oczywiście, nie bardzo dobre. Więc matka mówi: "Niechże pani w takim razie się do nas przeniesie, będziemy razem siedzieli, po co pani ma tam narażać się". Rzeczywiście przeniosła się do nas i to właściwie było dziewiętnastego września. I również na noc przyszła do nas siostra matki ze swoją teściową, świętej pamięci panią Anną Janiszewską, i jeszcze mój kuzyn, wuj Fredzio Jankowski, który też znalazł się . Stosunkowo był jeszcze człowiekiem na tyle młodym, że było sensowną rzeczą, by się wycofywał. Mieszkał chyba i pracował w Kielcach, tam zostawił żonę, a sam się wycofywał na wschód, by w razie czego móc wstąpić do wojska. Wuj Fredzio, który był zresztą człowiekiem bardzo dowcipnym, znalazł się jako ten jedyny mężczyzna w tym "babińcu" i z tymi młodymi chłopakami, dziećmi w końcu. Więc nadrabiał miną. Pamiętam, że on poszedł jeszcze ściągnąć ciotkę i panią Annę do nas. My boimy się: "Fredzio, może nie wychodź",

bo rzeczywiście widać, że jacyś chłopci przychodzą, podpici, ulice są pełne jakichś zupełnie nie znanych indywidualów. Wyczuwamy, że coś się szykuje w nocy. Przeważnie najłatwiej jest robić pogrom i rewizje w nocy. Ta groza niewątpliwie narasta, jesteśmy zdecydowani już się zamykać, zabarykadowywać w razie czego. A wuj Fredzio mówi: "Aj, ja się nie boję, ja mam tu broń" więc my dziwimy się: "Co jest? Jak to? Wujaszek ma broń?" A on coś pokazuje, coś tam pokazuje i mówi: "A! ja granat mam". Co, cholera, granat? A on wyjął, zdaje się, latarkę i pokazał ją jako granat. Więc jakoś tak bardzo nadrabiał miną, ale to oczywiście było niesłychanie potrzebne w tej nerwowej sytuacji, która narastała coraz bardziej.

Kładziemy się, niespokojnie, bo niespokojnie, ale kładziemy się spać. I pamiętam jak dziś - budzą mnie salwy broni maszynowej, i to z bardzo bliska. Wystrzały, huk, czy to działek, czy to granatów. Normalna kanonada. Kanonada, błyski w oknach na wszystkie strony, widać jakiś czołg czy jakiś samochód pancerny, przejeżdża koło nas ulicą i strzela. Matka dosłownie, że tak powiem, za łeb ściąga mnie z łóżka. Łóżka były zestawione, my tam we trójkę spaliśmy, ja z dwoma Giedroyciami, barszkowaliśmy, wygłupialiśmy się wieczorem, jak to zawsze. Widzę tamtą twarz młodszego Giedroycia, też przerażoną, matka jego też ściąga. Wszyscy rzuciliśmy się na podłogę, bo strzelanina jest przecież. I pamiętam jak leżę na tej podłodze, wyrwany z ciepłego łóżka, więc jest potworna sytuacja. W końcu popycha mnie mama i mówi: " Idź tam do cioci Loli i pani Anny, ale czołgaj się, czołgaj, na czworaka". Ciocia Lola i pani Anna leżą też na jakimś materacu rozłożonym na podłodze, bo tam było już mało miejsc, z jakimiś swoimi betami, które ściągnęły także na podłogę. No i ja tam włączę do nich, a calutki

-20-

czas trwa kanonada. I nie wiadomo w końcu, co to jest. Czy to jest jakiś pogrom, czy to jest jakaś normalna bitwa, która się między kimś toczy. I całutki czas te serie dochodzą z różnych miejsc miasta, i bliżej, i dalej, i jakieś wystrzały, jakby wybuchy granatów. Cała ta historia, która zaczęła się w nocy, może o dwunastej, może o pierwszej, trudno w tej chwili powiedzieć, trwała do rana. Pamiętam, że z trudem udaje się mamie odprowadzić mnie, że tak powiem, "za małą potrzebą". Tę "małą potrzebę", nawiasem mówiąc, załatwiam, niestety, po drodze w jednym z pokojów. Po czasie znów wracam i wciskam się między panią Annę i ciotkę moją, i wuja Fredzia, bo wszyscy oczywiście leżą na podłodze pokotem. I tak jakoś dotrwaliśmy do rana. Później ta strzelanina powoli cichła.

Co to była za strzelanina, to Nowogrodzianie do dziś dnia zastanawiają się i różne są interpretacje. Jest taka wersja, że nastąpiło jakieś nieporozumienie między oddziałami sowieckimi. Że jakaś grupa nadciągała i zaczęto w zamieszaniu do siebie strzelać. Istnieje także druga wersja, że ciągnęły rzeczywiście duże bandy uzbrojonego chłopstwa. Używam tego terminu świadomie, bo to rzeczywiście był ten powstały lud, którego część postanowiła troszeczkę, że tak powiem, sobie pohulać. To trzeba traktować w kategoriach pewnej rewolty ludowej. Właściwie nie używam takich wyrazów, jak „motłoch” i temu podobnych, bo to w końcu mogłoby kogoś razić ze względów klasowych. Ale tak to mniej więcej wyglądało: że te oddziały, właściwie grupy zbrojne zaczęły strzelaninę. Podobno ktoś wziął te oddziały za Polaków, za jakiś oddział polski, który się nagle pokazał. Pewne rzeczy mi się nakładają i trochę tłumaczą, zresztą jeszcze za chwilę będę o tym mówił.

Wokół miasta przeważała ludność białoruska. Oczywiście to

były wsie, nieraz i wymieszane. Bo przecież zdarzały się i za-
ścianki, gdzie mieszkała ludność o świadomości polskiej. Nie
trzeba zapominać, że tam te podziały biegły w sposób bardzo
zawiły, bo były i podziały religijne. Przeważnie Białorusinów
utożsamiało się z wyznaniem prawosławnym. Polaków, mówiących
zresztą na co dzień również po białorusku, "po prostemu", uto-
żsamiało się [z katolicyzmem]. To nie była oczywiście jakaś
bardzo literacka białoruszczyzna, to był po prostu język bar-
dzo zbliżony do polskiego. Bo przecież białoruszczyzna jest o
wiele bardziej zbliżona do polskiego niż do rosyjskiego. To
teraz ona uległa dużej rusyfikacji, poprzez wprowadzanie różnych
pojęć do tego języka. Natomiast, szczególnie jeżeli sięgniemy
jeszcze do zapisów, jakichś metryk, nie metryk litew^skich z XVI
czy XVII wieku, to widzimy, jak dalece te języki są bliskie so-
bie. I ta ludność też na co dzień używała tego języka, białoru-
szczyzny nieco przetkanej polonizmami albo odwrotnie - polskie-
go, który był znów bardzo przetykany rutenizmami czy białoru-
tenizmami. Ale jeżeli się poczuwano do więzi z kościołem kato-
lickim, to już tym samym ta ludność świadomościowo ciążyła ba-
rdziej w kierunku Polski i polskości. Natomiast jeżeli z kolei
była prawosławna, to rzeczywiście mogła mieć większe sympatie
i ciężenia w kierunku swojego Wielkiego Brata rosyjskiego. Ale,
powiadam, siła by o tym mówić, bo to przecież są sprawy bar-
dzo zagmatwane i bardzo skomplikowane. Ale nie ulega wątpliwo-
ści, że Nowogródzczyznę oczywiście zamieszkiwała w dużym stop-
niu ludność białoruska.

Tak samo był różny stopień tego, co się nazywało wtedy "sko-
munizowaniem" tej ludności. To znaczy różny był stopień, na-
zwijmy to, podatności^{na} hasła, które oczywiście szły ze Wschodu,
różny był stopień świadomości klasowej.

[Czy była przenikliwość przez granice? - rozm.]

Była. Pomimo oczywiście istnienia KOP-u, który tam jednak wprowadził duży porządek. Bo przecież pamiętajmy, że to co się działo w pierwszych latach dwudziestych, to był kompletny Dzikie Wschód. Przecież tam były i bandy, które się w literaturze historiograficznej radzieckiej nazywa ruchem narodowyzwleńczym. A były to po prostu bandy nasyłane, prowokacyjne, dywersyjne bandy nasyłane zza kordonu, czyli zza granicy, oczywiście dyrygowane przez oficerów czy Czereswyczajki, czy GPU, czy NKWD.

Słynne, bardzo, bardzo głośne było zdobycie Stop^kce. Banda zajęła pograniczną miejscowość ze stacją kolejową Stop^kce. To pachniało nawet konfliktem państwowym. Tam dokonano jakichś samosądów, kogoś rozstrzelano, zabito jakichś paru urzędników czy paru policjantów. I ktoś zdołał jakoś zawiadomić najbliższy pułk kawalerii, 27 Pułk Ułanów, który stał w Nieświerzcu. Wszczęto pościg i, zdaje się, nawet część tej bandy zdołano dopaść, kogoś złapano i oni wyśpiewali, że to po prostu była normalna banda, nasłana zza kordonu.

Oprócz tego działał tam słynny Mucha-Muchalski, o którym wiele lat później, teraz dosłownie dowiedziałem się z jakiejś publikacji sowieckiej, że był to^ł tak samo normalny agent, niejaki pan Ostrowski. Może nawet był z pochodzenia Polakiem, w każdym razie nazwisko miał polskie, i tam działał jako partyzant. Z tym, że ta postać stała się postacią wręcz legendarną. On tam wyczyniał niesamowite rzeczy, zjawiał się, strzelał do ludzi, wykonywał jakieś wyroki, wypisywał jakieś pogróżki. Wcielił się jakby w takiego kresowego Janosika, który potrafił dokonać tak zwanej ekspropriacji, a więc pograbić coś i oddać komuś. Więc wokół niego powstawała prawdziwa legenda, był zu-

pełnie nieuchwytny, coś jak mucha, stąd ten jego przydomek, pseudonim Mucha- Muchański. I on w końcu gdzieś się "rozpłynął". To była znana historia, gdy zatrzymał pociąg.

[Kiedy to było? - rozm.]

To były pierwsze lata dwudzieste, może dwudziesty drugi, trzeci, dwudziesty czwarty rok.

[A co pod koniec lat trzydziestych działo się? - rozm.]

W momencie, kiedy generał Sikorski, który w tym czasie był ministrem Spraw Wojskowych, powołał do życia KOPR, czyli Korpus Ochrony Pogranicza, te sprawy zostały przecięte. Wtedy powstała normalna jednostka, elitarna, bardzo starannie dobierana, jeżeli chodzi o kadrę oficerską, i która położyła kres tym wszystkim ekscesom.

Mówi się również i o Kostku-Biernackim, który jakiś czas był wojewodą nowogródzkim. Był człowiekiem bardzo surowym, mówi się, że był wręcz okrutnym człowiekiem, w każdym razie bardzo dwuznaczna postać. On wprowadził swego rodzaju zasadę. Jeżeli się na przykład łapało jakichś podpalaczy czy jakichś dywersantów, których nie brak było, i nawet jeszcze w latach trzydziestych szczególnie w okolicach pierwszego maja płonęły a to dwory, a to ktoś podpalił stodołę, były takie przypadki i to zdarzały się dość często, Kostek, który miał dlatego przydomek "wieszatki", wprowadził coś w rodzaju sądów doraźnych. Początkowo było tak: aresztowano takiego faceta i kiedy mu się udowodniło, że on jest agentem nasłany z za kordonu, to się później wymieniało go na naszych z kolei ludzi spalonych po tamtej stronie, przecież tam też mieliśmy swój wywiad. Natomiast Kostek wprowadził to, że po prostu normalnie ich wieszał. To znaczy przynajmniej takie ja mam informacje. Że tam zdarzało się coś w rodzaju sądu doraźnego. Złapanych na gorącym uczy-

nku wieszalo się. I to działało w sposób dość skuteczny.

[A hałasu w sejmie nie było?, - rozm.]

Może tam i były hałasy. ^{ego} Też, co w tej chwili mówię jako historyk, nie sprawdziłem, ale to wszystko można byłoby, że tak powiem, wrzucić do tego worka, który się nazywa Bereza Kartuską. To znaczy, to można wrzucić do tego specyficznego stanu, nazwijmy to, nieco pozaprawnego, jaki w pewnych czasach tam mógł, trudno powiedzieć obowiązywać, ale w każdym razie mógł mieć miejsce. Bo przecież Bereza w końcu też była działaniem pozaprawnym, pozasądowym.

[Przewrót majowy też był działaniem pozaprawnym - rozm.]

No tak, ale tu już nie wchodzimy w te bardziej szczegółowe sprawy. Natomiast Bereza była czymś takim, gdzie się przecież skierowało po prostu nakazem administracyjnym.

Wystarczyło, że na przykład ktoś komuś groził: "Eee, ty takoj-siakoj, ty się wysługujesz niby polskiej administracji, a ty się wysługujesz polskim panom, ty tam płacisz podatki, O! a te podatki idą na policję, na aparat ucisku". Przecież tego rodzaju była komunistyczna propaganda. To były przecież tereny, gdzie działała Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi. Co oni mieli do roboty? Tego właśnie rodzaju robotę, tego rodzaju propagandę robili.

powiedzmy, że gdzieś kogoś podpalili. Taki chłop przychodził w koncu do Wydziału Bezpieczeństwa, wojewódzkiego czy powiatowego, i mówił:

- Panoczku, no co ja na to poradzę, że ja chcę spokojnie żyć. Ja jestem uczciwy człowiek, ja płacę podatki, mój syn jest w wojsku, a tu mnie Sieriożka /czy jakiś inny/ z drugiej wsi grozi: "Pamiętaj, że my ciebie spalimy".

- Kto ci grozi?

- Taki i taki.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Nie kłamiesz?

- Nie kłamię.

Wzywają tamtego faceta:

- Ty groziłeś temu i temu?

- Nie! skąd?! Nie, gdzie?!!

- Jak to? Ale ten mówi, że ty groziłeś. My bratku wiemy, ty tutaj w kartotece u nas jesteś, ty, bracie, masz komunistyczne ciągoty. Pamiętaj, bracie! Wiesz, co to jest Bereza Kartuska?

- Oj! wiem.

- No to pamiętaj jeszcze jedną rzecz: jeżeli się tamtemu spali cośkolwiek, to pamiętaj, że ty pójdiesz do Berezy siedzieć.

Tego rodzaju wypadki, niestety, zdarzały się. Ja to wiem od ludzi dorosłych, z którymi już później na ten temat jako historyk rozmawiałem. Oburzając się, zresztą chyba nawet i słusznie, że jak to mogły w Polsce, w końcu kraju praworządnym, parlamentarnym, takie rzeczy się zdarzać. Co myśmy mieli zrobić? Ja w tej chwili nie mówię tego, żeby to tłumaczyć. Tout comprendre ce n'est pas tout pardonⁿez. Ale tego rodzaju konieczność, tego rodzaju przymus może należałoby trochę inaczej rozwiązać. Jednak tego rodzaju sytuacje tam były.

[Panie Henryku, ale myśmy za to chyba później dużą cenę zapłacili? - rozm.]

Więc o to właśnie chodzi. Jak ja w tej chwili patrzę na te sprawy, powiedzmy sobie, z punktu widzenia historyka, któremu przecież leżą one na sercu, który zachował tę miłość do kresów i te wspomnienia z dzieciństwa, i tak dalej, itd, itd, to dla mnie jest na pewno rzeczą bardzo bolesną. Bo uświada-

miam sobie, jak dalece myśmy nie zdołali uporać się z tymi problemami w ciągu dwudziestolecia międzywojennego.

[Bereza]. A pacyfikacje, zwłaszcza na południu rozm.]

Na południu, tak, tak... Tam były jeszcze trudniejsze sprawy, bo tam była bardzo zrewoltowana ludność ukraińska, podsycana oczywiście przez Niemców, przede wszystkim przez Niemców.

[Ale w dwa, trzy dni po naszych pacyfikacjach w wielu strzechach następowały tak zwane "samozapłony" - rozm.]

Tak..., samozapłony, tam i prowokacje mogły być.

[Zresztą potem, jak mi ktoś mówił, po takiej akcji, jak się paliła taka chałupa, to i następowały wybuchy amunicji schowanej tam - rozm.]

Tak, więc o to chodzi. Tam była szczególnie sytuacja zbliżona do, można powiedzieć, do sytuacji popowstańczej. Bo to powstanie, ta rewolta narodowościowa na pewno w jakiś sposób była przygotowywana i przez odpowiednie organizacje ukraińskie, i oczywiście przez Abwehrę, która tam ogromne pieniądze łożyła. Ale jeżeli chodzi o kresy białoruskie, kresy północno-wschodnie, tam te rzeczy mniej drastycznie występowały, tym niemniej one występowały i tam problemy były. Były problemy i była przecież infiltracja duża i propagandy komunistycznej, i w wojsku, i nie w wojsku. Niewątpliwie istniał tam pewien stan zagrożenia. Teraz możemy o tym mówić zupełnie szczerze, w końcu co tu dużo o tym mówić: przecież przez cały czas Związek Radziecki z przynależnością ~~tych~~ kresów wschodnich do Polski się nie pogodził. I działania, takie czy inne, były wymierzone przeciwko integralności polskiego państwa.

[Słyszałem takie zdanie z tamtych terenów, właśnie Polesia i Nowogródziny, że pierwsza okupacja sowiecka odkomunizowała

ludność białoruską. Czy pan się z tym zgadza? - rozm.]

Do pewnego stopnia zgadzam się z tym i do pewnego stopnia uważam, że to jest konstatacja dość słuszna. Moze nie całkowicie, ale jest w tym dużo racji.

Tak, jeśli się mówi o tych sprawach mniejszościowych, to rzeczywiście myśmy mieli o wiele mniejszy margines, że tak powiem, manewru, i co ważniejsze, myśmy mieli bardzo mały margines dopuszczalności błędu. Bo po pierwsze, mieliśmy bardzo mało czasu. Dwudziestolecie było przecież okresem niesłychanie krótkim, jakkolwiek było pełne treści państwowych i dla nas było nieprawdopodobnie ważnym okresem, w ogóle w życiu naszego narodu. Ale w końcu było okresem bardzo krótkim. Natomiast, jeśli chodzi o ten margines manewru, to właściwie albo należało iść na niezwykle liberalne traktowanie tego co jednak to państwo rozwalało. Bo przecież myśmy od początku się stykali z działalnością wymierzoną przeciwko integralności państwa, z działalnością, która rozsadzała nam kraj. I myśmy musieli się jakoś przeciwko temu bronić. Każda władza musiała się bronić, tylko że myśmy musieli wybierać między systemem absolutnie demokratycznym, absolutnie parlamentarnym, który w szczególnych sytuacjach mógł być po prostu mało skutecznym, mało skutecznym jako obrona integralności kraju, albo między pewnymi środkami, które były nieraz środkami moralnie nagannymi, ale które stanowiły w pewnym sensie tak zwane mniejsze zło. Bo przecież pamiętajmy dobrze, że gdyby na przykład z takimi problemami zetknęła się władza radziecka, to nie byłoby żadnego problemu: po prostu wsie by zostały wyludnione, wszyscy ci kochani Ukraińcy, myślący narodowo i dążący do swojej własnej państwowości, pojechaliby sobie na Kamczatkę, a resztę wystrzelano by normalnie, tak jak to robiono w Kuropatach czy gdziekolwiek in-

dziej. Myśmy na to oczywiście nie mogli pójść, na tego rodzaju ludobójstwo, które się właśnie za kordonem rozgrywało w najlepsze. I wtedy, kiedy u nas wrzeszczała Partia Komunistyczna Zachodniej Europy i Zachodniej Ukrainy, wrzeszczały o tych straszliwych prześladowaniach polskich, to w tym samym czasie i może nawet ci sami komuniści partyjni dostawali, że tak powiem, dziewięć gram w tak zwany "zatyłek", czyli, krótko mówiąc, dziewięć gram w potylicę. Bo tyle waży pocisk Nagana, to jest takie powiedzonko.

[Polskie więzienia były przechowalnią komunistów - rozm.]

Polskie więzienia były przechowalnią komunistów, a w polskich więzieniach też absolutnie nie karmiono pączkami i łososiem. Tym niemniej ludzie tam jakoś przetrwali, trwali, organizowali się, były panie Sempołowskie, były MOPR-y, gdzie broniono [więźniów politycznych], byli ludzie, którzy występowali, bronili ich na forum parlamentarnym, na forum sejmu czy senatu. I to trzeba dopiero rozważyć i powiedzmy sobie: w tej chwili, kiedy my zaczynamy już nie tylko wiedzieć o tym, bo o tym tośmy wiedzieli od dłuższego czasu, ale kiedy zaczynamy mówić już o tym, co się działo w tym czasie za granicą wschodnią, to te sprawy w zupełnie innym świetle występują. Zmienia się po prostu cała [perspektywa], proporcje się zmieniają. Bo co znaczy Bereza Kartuska, na pewno z obrzydliwym reżimem, z okrucieństwami, z bandą częściowo może nawet i zwyrodniałych strażników, która dotyczyła w końcu kilkuset ludzi, co ona znaczy? Nie wiem, ile tam w największym, nazwijmy to, szczycie było tych "pensjonariuszów", może było paręset ludzi, może było tysiąc, nie wiem, w końcu się tym nie zajmowałem. Ja nie bronię tego, może należało jakąś inną metodę stosować. Może coś innego znaleźć.

[Obok stosowano oszczędność kuli, strzelając ukośnie, dwie,

trzy głowy naraz - rozm.]

Oczywiście. I przecież o tym cały czas się milczało, przeciwnie, cały czas propaganda załgiwała tak dalece, że tym biednym ludziom maćono w głowie. I właśnie tutaj wracamy do tego, o czym mówiliśmy.

W jakieś pół roku, w rok po wkroczeniu Sowietów na kresy było takie powiedzonko, że "Paliaki nas apaliaciwali dwadcat' hadou, gdy apaliacit' ni magli, a Sawiety w adin rot apaliacili", czyli po polsku mówiąc: "Polacy nas polonizowali przez dwadzieścia lat i nie zdołali spolonizować, a Sowietci nas spolonizowali w ciągu jednego roku". I tak było.

W Nowogródku opowiadano o takiej babie, troszeczkę może pukniętej, która wystąpiła kiedyś w takiej luźnej, porwanej spódnicy i z pętem kiełbasy na głowie. Więc pytają się: "Coś ty, zwariowała?", a ona mówi: "Heta pankoje jarmo", znaczy: "To jest pańskie jarzmo", ta kiełbasa, i pokazując na dziurawą spódnicę dodaje: "A eto wasza swaboda", a to jest wasza wolność. Więc ten lud, białoruski, z którego ja się w końcu też prawdę powiedziawszy prawdopodobnie jakimś swoimi praszczurami wywodzę, ma tę swoją mądrość, jak każdy lud. Białorusini też są mądrzy "z cicha pęk". Oni doskonale rozumieli, jak dalece to wszystko, co się stało, nie odpowiadało tej propagandzie, którą sączono w nich. I której oni ulegali. I stąd właśnie te kwiaty, które wrzucano do czołgów sowieckich siedemnastego i osiemnastego września. I te tłumy, które wychodziły odświętnie ubrane, bo to była w dodatku niedziela. Później sowieccy żołnierze pytali: "Szto eto, same burzuje nas spotykają?". "Jakie burzuje?" Mówią na to: "Tak ubrani!" Tłumaczymy: "Ale to normalni ludzie ze wsi". "Jak to, to u was tak ludzie na wsi chodzą ubrani?" I to też były fakty. To wcale z kolei nie jest jakaś antypropaganda, nie, tak było. Bo dla wielu żołnierzy

sowieckich to było zderzenie z naszym, mimo wszystko, [nie najwyższym poziomem], i to na kresach, dalekich kresach wschodnich, gdzie ten poziom cywilizacyjny był naprawdę, powiedziałbym, prymitywny, Polska C. To dla nich [to] już było zderzenie, to był dla nich wstrząs. Bo oni nagle zobaczyli, że jednak ci ludzie jakoś chodzą ubrani, że mają na sobie jakieś chustki, przyzwoite buty, nie są wynędzniali. A im ~~tam~~ w głowy kładziono, że „tam jest jeszcze gorzej, że my budujemy socjalizm, komunizm, że musimy się wyrzekać [wszystkiego], że nas otacza świat kapitalistyczny, który czycha na nas i dlatego my musimy troszkę zaciskać pasa, ale jak tam żyją, w jakiej nędzy, w jakim potwornym poniżeniu, nasi bracia, zachodni Białorusini, zachodni Ukraińcy.” A później widzieli tam i stosunkowo zamożne wsie, i ludzi ubranych jako tako, przyzwoicie, niekoniecznie łapciowatych i w strasznych łachach chodzących. I widzieli tu sklepy pełne, a to była przecież wojna, wtedy kiedy nas wzywano do robienia zapasów na parę tygodni. Tuż przed wojną były radiowe wezwania, że ludność prosi się o robienie zapasów na dwa tygodnie.

[Panikę wywołało sklepową to? - rozm.]

Nie. Nawet nie, bo jednak było jakieś zaufanie do rządu, do państwa, do złotówki. I to, moim zdaniem, był duży kapitał, który udało się stworzyć w czasie tego dwudziest^olecia. Że jednak istniało coś w rodzaju zaufania do państwa, do monety, do pewnych rozwiązań. Pamiętam, że wróciliśmy trzydziestego pierwszego sierpnia z tej wilegiatury na działkę u moich dziadków właśnie dlatego, że mama chciała zrobić troszkę zakupów.

Na pewno jakaś masa towarowa została w sklepach w pierwszych dniach po przyjsciu Sowietów. Doskonale pamiętam, że z naszego balkonu widać było, dosłownie przez ulicę, tak zwaną kooperatywę, spółdzielnię, w której zresztą zaopatrywaliśmy się, taki

bardzo mały sklepik, kolonialny typowo, ale należący do tej sieci społemowskiej. I pamiętam, jak zatrzymywały się sowieckie samochody, wyskakiwali żołnierze i kupowali wszystko, dosłownie co się tylko dało. Widziało się żołnierzy, którzy wykupywali na przykład jakieś dziecinne zabawki, widziało się żołnierzy z grzechotkami, które kupowali też masowo. Czyli krótko mówiąc, wojska, które przechodziły w ciągu tych pierwszych dni przez Nowogródek wykupowały dosłownie wszystko. I masa towarowa znikła w ciągu pierwszego tygodnia. Po prostu sklepy opustoszały. Koniec. Nie było w ogóle co kupować w sklepach.

[Czym płacili? - rozm.]

Płacili rublami, bo wtedy rubel ^{był} na równi ze złotówką. Oczywiście zachowano jeszcze jako środek płatniczy złotówkę, która była dopiero po jakimś czasie wycofana, już nie pamiętam kiedy, był jakiś okres, kiedy oni w rezultacie wycofali nasze obiegowe banknoty, ale oni z kolei płacili rublami. Tam był taki okres, dokładnie tego nie mogę powiedzieć, to mógłby ktoś, kto się zajmował źródłowo tymi sprawami, mógłby ustalić jak to wyglądało, jakie były rozporządzenia władz sowieckich wtedy, ale w każdym razie przez pewien czas środkiem płatniczym, i to na zasadzie parytetu, znaczy jeden do jednego, była złotówka i rubel.

Ale chciałbym wrócić jeszcze, żeby skończyć wątek wypadków [tej „strasznej nocy” z osiemnastego na dziewiętnastego września. Bo Nowogródzianie później ją nazywali „straszna nocą”. Po pierwsze, ta noc wyzwoliła całą falę aresztowań. I tu właśnie istnieje jeszcze jedna koncepcja, jeszcze jedna wersja, mianowicie, że to była po prostu jakaś bardzo gigantyczna prowokacja. Że grupy ^{om} tej milicji, która powstała tak niby samorzutnie, chodziły, strzelały, chodziło po prostu o stworzenie pewnej sytu-

acji, stanowiącej pretekst do aresztowań. W każdym razie od dziewiętnastego września zaczęły się już pierwsze aresztowania w domach, wyciągano urzędników, nie urzędników, inteligencję.]

[Czy pan sądzi, że to była akcja planowa i listy były z dawna przygotowane? Czy doraźne donosy? - rozm.]

Mnie się zdaje, że w większości wypadków to chyba jednak były doraźne donosy. Oczywiście wywiad radziecki miał na pewno dobre rozeznanie, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, ja bardzo wysoko cenię, że tak powiem, wywiad sowiecki. Oni mieli tutaj masę swoich agentów i konfidentów i wśród komunistów, i wśród Białorusinów, i Żydów, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Natomiast wydaje mi się, że to raczej chodziło o donosy. Zresztą zaraz popnę to pewnymi przykładami z mojej bardzo bliskiej rodziny. Otóż tę wspomnianą przeze mnie wersję, że tutaj mogło nastąpić starcie jakichś dwóch sił, które się postrzelały między sobą, potwierdza moja wujenka, żona mego wuja, brata matki, która wraz ze swimi dwoma synami wracała właśnie z tej działki, o której również wspominałem. Z miejscowości Klukowicze pod Nowogródkiem, niedaleko działki przebiegała linia wąskotorowej kolejki, kończąca się w Lubczu. I tak się złożyło, że wujenka pojechała ~~tam~~ po tych chłopaków, bojąc się, że tam również mogą być jakieś ekscesy, i zabrała ich. Udało się im trafić na jakiś pociąg, który szedł stamtąd. Oczywiście zatrzymując się, w końcu to były niewielkie odległości, w granicach dwudziestu paru kilometrów. Część tej podróży przypadła nocą. W rezultacie ta kolejka gdzieś pod Nowogródkiem utknęła. Wujenka szła nocą z tymi dwoma zaspanymi chłopakami, z których jeden liczył sześć lat, a drugi mniej więcej cztery, w jakiejś eskorcie sowieckich żołnierzy, którzy co pewien czas rzucali się do lasu, bo gdzieś rozlegały się krzyki: "Ułany! Ułany!"

i całe to bohaterskie bractwo rzucało się do lasu. Kiedy wujenka po latach, już po wojnie opowiadała tę scenę, jak i cały tłum ludzi z tej kolejki, z tego pociągu wąskotorowego, rzucał się i miotał po lesie, to mnie ogarnął przypływ ogromnej satysfakcji, że ci ułani, których już tam w promieniu co najmniej paruset kilometrów nie było, że ta sama nazwa jeszcze była groźna dla wrogów. Bo jeżeli oni byli, to walczyli gdzieś na południu, trwały jeszcze walki i na Lubelszczyźnie, i na Kielecczyźnie, przecież trwały normalne walki z Niemcami, jeszcze się Warszawa broniła, jeszcze się Lwów bronił. Ja o tym będę mówił i będę powtarzał to moim synom i może moim wnukom, że to imię, ta nazwa ułanów naszej niezapomnianej, wspaniałek kawalerii, była groźna dla wrogów, wtedy kiedy już jej nie było fizycznie na tym terenie, a jednak jeszcze straszyła. Wujenka mówi, że tylko na krzyki "Ułany! Ułany!" eskorta z tymi nieobrobionymi szynelami gierojow rzucała się do lasu. Tak się, mimo wszystko, bali, jednak słyszeli, że ~~xx~~ ułani polscy są tak potwornie groźni, ktoś im jednak o tym mówił. I jeszcze ci ułani napędzali stracha do końca.

Wujenka mówi, że sobie doskonale przypomina, iż oni utknęli tuż pod samym Nowogródkiem, w Kuszelewie, i tam właśnie słyszeli tę całą strzelaninę. Prawdopodobnie rzeczywiście to musiały być jakieś grupy uzbrojone, prawdopodobnie chłopskie, po rozbrojeniu jakichś posterunków policyjnych, w ten sposób mogli wejść w posiadanie broni, być może tu i ówdzie mieli ^{również} tro-szkę broni ukrytej. I tu nastąpiło jakieś zderzenie, nieporozumienie między jakimś oddziałem sowieckim, który w tym czasie tkwił w mieście, a tymi grupami. Ale musielibyśmy się nad tym jeszcze zastanowić i popytać Nowogródzian, musiałbym popytać ludzi, jakie znają wersje, bo może ktoś zna wersję bardziej

prawdopodobną, zbliżoną do prawdy.

Wracając jeszcze do tych pierwszych dni, były one oczywiście pełne trwogi. Przede wszystkim zaczęły się aresztowania, które dotknęły również moją bliską rodzinę. Mój dziadek i babcia także uciekli ze swojej działki, którą musieli opuścić w trybie nagłym, ponieważ miejscowi, co było bardzo charakterystyczną sytuacją, miejscowi chłopci ze wsi Klukowicze, z którymi dziadek utrzymywał jak najlepsze stosunki, uprzedzili go, że „panoczku, przyjdą ci-tamci z Nissuticz”. A to była wieś mocno skomunizowana i bardzo bojowa. „Niech pan, panoczku, uciekaj, bo oni tu mogą rozmaite rzeczy robić”. I rzeczywiście - wieczorem rozległy się jakieś hałasy, krzyki. Dziadek z babką zobaczyli, że idzie tłum ludzi z widłami, normalna zakieria, z widłami, z cepami, ktoś może miał broń. Idą oczywiście robić pogrom. Więc dziadek złapał jakąś świtkę i nałożył na ramiona, bo to było wieczorem. Rzucili się w krzaki, które porastały małą rzeczka, rosły wokół niej, i w tych krzakach przeczekali pogrom, który tam się odbywał. Tamci rozbili całe mieszkanie, zastrzelili psa, który próbował je bronić, to był bardzo miły pies. I szukali oczywiście, gdzie pany, w celach zupełnie niedwuznacznych. Prawdopodobnie to by się skończyło zamordowaniem dziadka i babki. A byli to ludzie, z którymi oni nie mieli nic wspólnego, którym nie zrobili żadnej krzywdy. Ale tego rodzaju ruchy typu rewolucyjnego, powstańczego, mają to do siebie, że przeważnie pochłaniają ludzi niewinnych.

[To były ruchy prowokowane? - rozm.]

Oczywiście, one były na pewno prowokowane, ale również wybuchwały spontanicznie. Bo jednak, co tu dużo mówić, ludzie chcieli trochę i pograbić, i zająć trochę dobra, i wywieźć parę mebli, te rzeczy się tam zdarzały. Znam to z różnych opowia-

dań, jak obywatele ziemscy nieraz w sposób nagły musieli opuścić swoje majątki, bo im po prostu grożono. Nie zawsze to byli miejscowi; jeżeli się miało dobre stosunki z daną wsią, to ci ludzie miejscowi nieraz nawet i bronili. Do dziadka przyjechało paru chłopów, paru, nie jeden jakiś zaufany, zaprzyjaźniony, tylko paru, którzy mówili: "Panoczku, niech pan ucieka, bo tamci nie są , mogą wam zrobić krzywdę. My nic, bo my jesteśmy z wami dobrze. Ale tamci mogą wam zrobić krzywdę". Wiem także od jednej z moich koleżanek, której ojciec miał majątek, mająteczek, że ludność miejscowa ich prawie na rękach nosiła i później przynosiła im rzeczy do miasta, zaopatrywała ich w żywność. Tego rodzaju rzeczy były , to są sprawy bardzo skomplikowane, bo to jest po prostu cała tkanka międzyludzkich stosunków. Ale były i takie wypadki, że rzeczywiście pojawiały się ekscesy. Tam, gdzie nie umiał dany obywatel ziemski, dany ziemianin, ułożyć sobie stosunków ze wsią, gdzie zachowywał się wobec chłopów nieraz i brutalnie, i niesprawiedliwie, tam zdarzały się rzeczy nieraz i drastyczne.

Do mego dziadka, do mieszkania, które zamieszkiwali dziadkowie z wujostwem, przyszedł jakiś patrol, już nie pamiętam, czy to byli mundurowi NKWD-yści, czy "społeczni" towarzysze. Dość, że aresztowali i dziadka mego, i wuja. Wuj był inżynierem rolnikiem, dublańczykiem, pracował w kółkach rolniczych czy coś takiego, w każdym razie był w tych instytucjach rolniczych. Z tego, co słyszałem, to bardzo starał się i umożliwić i awans społeczny młodym chłopom, i starał się i kształcić ludzi zdolniejszych, jednym słowem robił to, co powinien porządny urzędnik robić, starając się wejść w położenie tych ludzi. Więc to aresztowanie było dość niezrozumiałe, dlaczego właśnie dotknęło jego? Tymczasem okazało się, że był prowokator, któ-

rego nazwisko niechętnie chciałybym utrwalić, niechby ono przypadło raczej w niepamięci, taki Hardziej, kanalia, po prostu kanalia, nic więcej, który chciał się tym nowym władzom przypodobać i zaraz oczywiście tam poszedł i powiedział, że „Biełyńskiego weźcie z ojcem, ojciec to pomieszczik, a ten jest osadnik”. Bo wuj miał tę działkę, dostał ją jako żołnierz z 10 Pułku Ułanów z 20 roku. I myśmy zetknęli się od razu z sytuacją bardzo dramatyczną. Dziadek, który wtedy miał blisko siedemdziesiąt pięć lat, wuj, stosunkowo jeszcze w sile wieku pan, trafili do tego więzienia. Później zaczęło się oczywiście chodzenie do tego więzienia, noszenie paczek. No i szukanie możliwości wyciągnięcia ich stamtąd. I tu była rzecz ciekawa, że zdarzały się przypadki, bardzo rzadkie, one później były coraz rzadsze, gdy w pewnych jeszcze sytuacjach w tym czasie jednak można było coś wygrać. Oczywiście trafiliśmy [na trop] przez Żydów. Stosunki między nami były też oczywiście bardzo różne, miało się przecież i zaprzyjaźnionych Żydów, i Żydów, u których się stał^e kupowało, i którzy zawsze przysyłali macę. Jak pamiętam dziś, każda firma, u której się kupowało, czy sklep warzywniczy czy owocowy, to w czasie tych świąt żydowskich, kiedy pieczono macę, zawsze przysyłała ją i myśmy z tej macy też coś robili, pamiętam, że była doskonała, zajadaliśmy się nią wtedy. A więc zaczęliśmy szukać dojsć poprzez Żydów, to było zrozumiałe. Mieliśmy takiego Żyda, którego nazwisko chciałybym szczególnie tutaj uwiecznić, Asa, on się nazywał As, miał piekarnkę, myśmy się tam zaopatrywali, a także wujostwo. "Co robić?" - pytamy. "Panoczku, ja będę starał się pana i pana Biełyńskiego, i starego, i młodego wyciągnąć. Ale muszę tutaj znaleźć kontakt". I okazało się, że jak on zaczął robić dochodzenie poprzez swoich znajomych, ujawniło się, że ten Hardziej,

który był tym prowokatorem i donosicielem, denuncjatorem dziadka i wuja, był zamieszany w bardzo brudną sprawę. Powtarzam oczywiście to, co zasłyszałem w dzieciństwie. Mówiło się o tym, że on podobno na ochotnika zgłosił się do wieszania skazańców w jakimś procesie. Tak się złożyło, że po prostu zabrakło wykonawcy wyroku. Nie wiem, czy pan kat Maciejowski był zajęty, czy był chory, a trzeba było wyrok wykonać, to była chyba jakaś polityczna sprawa, bardzo gruba. I ten Hardziej się zgłosił do odpowiednich władz, że on to zrobi. Była to oczywiście wyjątkowa kanalia, a tutaj chciał się od razu wkupić w łaski nowych panów. Z tych strzępów różnych, w końcu przecież takiego smarkacza jak ja nie wtajemniczano w te wszystkie bardzo zawiłe i trudne sprawy, ale z tego co zasłyszałem, to zdaje się, że As zdołał znaleźć świadków, to znaczy dotrzeć do jakichś rodzin tych skazańców, którzy zostali rzeczywiście straceni z wyroku sądów polskich. Świadcowie ci mieli na pieńku z Hardzikiem, o którym wiedzieli, że się zgłosił jako wykonawca wyroku, i złożyli odpowiednie zeznania w odpowiednim urzędzie, jakim było niezapomniane NKWD. W związku z tym Hardzieja wzięto "za cztery litery" i, zdaje się, wykończono go. Dość, że mój i wuj, i dziadek po paru tygodniach, chyba to było już w połowie października, wyszli żywi i cali. Później opowiem o jeszcze jednym przypadku, też wyjątkowym.

Z tym, że dziadek wyszedł z bardzo nadszarpniętym zdrowiem, bo oni siedzieli w okropnych wyrunkach, w okropnym tłoku. Przecież to było więzienie małe, więzienie w Nowogródku było małym więzieniem, a tam masa ludzi siedziała, i uciekinierów, i lo-ret siedział, o którym wspominałem, ten naczelnik lasów państwowych, chyba dyrektor naczelny Dyrekcji Lasów Państwowych. Siedziała tam oczywiście masa urzędników i obywateli ziemskich, czyli ziemian. Ale cały czas siedzieli na szczęście w Nowogród-

ku, nie wywieźli ich ani do Baranowicz, ani do Mińska, gdzie już wywożono w tym czasie więźniów.

I dziadek z wujem wrócili. Z tym, że wuj na szczęście postanowił nie mieszkać w Nowogródku, tylko zaczepił się, znalazł jakąś pracę w Słonimiu. Chodziło o to, żeby nie tkwić na tym terenie, gdzie się zanađto znano. W ten sposób ta sprawa się jakoś uspokoiła. Z tym, że oczywiście te areszty zdarzały się, czasem przybierały na sile, czasem słyszało się mniej o aresztach.

Już na jesieni zaczęło się "wyciekanie" szczególnie inteligencji z miasta. Po prostu ludzie cichuteńko, bez zbytniego rozgłosu znikali z miasta. I dopiero po paru dniach mówiło się: "O, zdaje się, że ci znów wyjechali". Przeważnie oczywiście nie mówiąc, dokąd jadą, w jakim kierunku wyjeżdżają. I miasto zaczęło jakoś pustoszeć. Coraz mniej się widywało znajomych, coraz częściej mówiło się: "A ten wyjechał, tamtego już nie ma, ten wyjechał, ten wyjechał". Zmniejszał się krąg ludzi, których się kiedyś znało i z którymi się przyjaźniło, aż w końcu zacieśnił się tylko do kilku dosłownie domów. I to właśnie, co zapamiętałem, to pustoszenie miasta. Z tego co było tą substancją, tą zylą, tkanką. Co stanowiło o tej, nazwijmy ją, warstwie urzędniczej, to była dość wąska warstwa urzędnicza, która stanowiła tę jakąś elitę ludności Nowogródka. A zaczęły się pojawiać już rodziny oficerów sowieckich, tak zwanych komandirów, bo wtedy "oficer" był absolutnie niedw^owolonym terminem. Nie mówiło się ani "sołdat", ani "ofcer". "Oficer" to był carski oficer, to był ten "białogwardiejew". Mówiło się albo "komandir", albo "Bajec". "Bajec" to był żołnierz, "komandir" to był oficer. My często używaliśmy tego określenia "lejtnanty". To było ogólne określenie na całą kadrę dowódczą sowiecką.

I my także doznaliśmy pewnej uciążliwości, gdy w pewnym momencie wezwano mamę, nie pamiętam już, do jakiej instytucji, i powiedziano, żeby mama poszukała sobie w ciągu najbliższych paru dni czy paru tygodni mieszkania, ponieważ ^{nasz} ten dom będzie przydzielony rodzinom oficerów. Więc mama zaczęła gwałtownie szukać jakiegoś lokum, myśmy w końcu mieli tam przyzwoite trzy-pokojowe, ładne, duże mieszkanie na kolonii urzędniczej i to mieszkanie zajął oczywiście po nas jakiś pułkownik sowiecki. Pamiętam, że nawet kiedyś zjawiliśmy się tam u niego, już po przeniesieniu. Zjawiliśmy się, bo mama zapomniała wymontować tak zwaną złodziejkę z klosza, z kuchni czy skądś, krótko mówiąc i bardziej literacko - rozgałęziacz. Przyszliśmy do tego oficera, który nas przyjął, pamiętam, że siedział w walonkach. W mieszkaniu był nieprawdopodobny upał, ruska bania po prostu. On przebił jakoś jedną ścianę, z przerażeniem zobaczyłem, że to mieszkanie zmieniło trochę swój kształt. Ale grzecznie nas potraktował, pozwolił nam wymontować ten rozgałęziacz. I to był ostatni mój kontakt z mieszkaniem, w którym moje najładniejsze i najprzyjemniejsze lata dzieciństwa upłynęły.

Zamieszkaliśmy na peryferiach miasta, na uliczce Objazdowej, zamieszkałej głównie przez ludność tatarską, trudniącą się ogrodnictwem. Mieliśmy tam troszkę znajomych, moja ciotka mieszkała tam, krewni nasi mieszkali o parę domów dalej, także znaleźliśmy się w przyjemnym środowisku. I tam zaczęły nam płynąć te dni pełne ogromnego, przygnębiającego smutku. Przypominam sobie, że pierwsze te tygodnie były dla mnie najbardziej chyba rozdzierającym, w sensie psychicznym, okresem, jaki sobie przypominam. To był nieprawdopodobny ból i tęsknota za utraconą ojczyzną. Miałem świadomość, że jakąś niesłychaną wartość, jakąś niesłychaną cenność straciłem. Że ta Polska, w której

tkwiłem, która dla mnie była normalnym powietrzem, znikła, że jej nie ma, że nie wiadomo, czy kiedykolwiek powróci. Ta potworna obcość nieprzyjacielskich wojsk, administracji, która się zaczęła pojawiać, nieznanego w końcu języka, który zaczął po-
brzmiewać w mieście. Bo przecież zaczęło się już słyszeć język rosyjski na ulicach i powiedzmy sobie prawdę, znaczne odłamy ludności żydowskiej od razu przestawiły się na język rosyjski. Wtedy dla mnie to było bardzo nieprzyjemne, bardzo bolesne i to mogło nawet pobudzać pewne resentymy, może to nie jest właściwe określenie, ale raczej wywoływać antypatie antysemityczne. Ale to była ludność w dużym stopniu związana kulturowo z Rosją. Bo to w dużym stopniu byli Litwacy, ci Żydzi, którzy nieraz pochodzili z Rosji, z głębi Rosji, którzy byli z nią związani i językowo, i kulturowo, a którzy przed rewolucją mogli zamieszkiwać tak zwane „czieru osiedłości”, czyli te obszary, na których wolno było ludności żydowskiej mieszkać. Wiadomo przecież, że były całe obszary, gdzie ludności żydowskiej mieszkać nie było wolno i na tym polegała carska jej dyskryminacja. I oni, i myśmy ich z dobrodziejstwem inwentarza przejęli na tych kresach wschodnich. I co w tym dziwnego, że dla nich ten język rosyjski był językiem w jakiś sposób swojskim.

Oprócz tego wiadomą jest rzeczą, że Żydzi w pewnej swojej masie dwa tysiące lat tkwili w diasporze i , trzeba to powiedzieć szczerze, mają w sobie coś, mają zakodowaną zdolność mimikry, zdolność do dostosowania się. To warunkowało ich przeżycie w Hiszpaniach, Arabiach czy jakichś tam innych krajach, w zachodniej Europie. A także i w samej Polsce. Przecież oni się jakos dostosowali, nie tracąc swojej tożsamości. Teraz to rozumiem, tym niemniej były to rzeczy, które człowiek odczuwał jako przykre. Wszelkie w ogóle wypieranie się polskości wtedy

Wtedy było odbierane przez nas niesłychanie boleśnie. A przecież byli ludzie, nawet z nazwiskami, którzy nagle pojawiali się na ulicach z czerwoną kokardką w klapie. Mówiło się: "Panie, co pan wyprawia" i słyszało: "Cicho, cicho pani sędzino, bo mnie aresztują". "Panie, ale pana aresztują i z tą czerwoną szmatką", ale ludzie się łamali, ludzie tchórzyli. Później nastąpiła w listopadzie wstępna paszportyzacja i ludzie nagle zaczęli wpisywać narodowość białoruską. Polacy. Ale bali się. Bali się, po prostu się bali. Tutaj po raz pierwszy zetknąłem się z kruszeniem pewnych postaw i z kolei z pewnym męstwem i odwagą ludzi, którzy świadomie szli na ryzyko, a także, niestety, z ludzką małością, bojaźnią, lękiem, tchórzostwem, chęcią przeżycia za wszelką cenę, dostosowania się. Ludzie zmieniali sobie nieraz kształt nazwiska, żeby lepiej przmiało.

Miałem kolegę, który się nazywał Wotygodzki, Jurek Wotygodzki. Jego rodzina miała może jakąś świadomość białoruską, matka była nauczycielką, zresztą później chyba w jakiejś szkole białoruskiej. Były później szkoły polska i białoruska, za chwilę będę o tym mówił. Ona była nauczycielką w szkole rosyjskiej albo białoruskiej. Z tym chłopakiem bawiłem się i mówiliśmy ciągle po polsku. Ale pamiętam, jak go kiedyś poprosiłem, żeby się wpisał do mego dzienniczka czy pamiętniczka, to się wpisał "Jurek Wotigodzki". Ja pytam: "Dlaczego nie przez y, tylko przez i?". "A, bo wiesz, bo to moja rodzina, białoruska...". Ja mówię: "Jaki ty Białorus jesteś, przecież po polsku mówisz jak ja". "A, bo wiesz, my to chyba jednak Białorusini...", widać było, że zaczerwienił się chłopak. Nie dyskutowaliśmy więcej na ten temat. Ale tego rodzaju sytuacje się zdarzały. Trudno się dziwić ludziom, ja w tej chwili na te rzeczy patrzę zupełnie inaczej. Lecz wtedy takie odstępstwo od polskości, a

szczególnie, gdy nieraz było drastyczne, na przykład połączone z ostentacyjnym mówieniem po białorusku, głośno, [odczuwaliśmy jako dramatyczne]. Owszem, pamiętam, że i moja matka czasem, na przykład jak szła ulicą, to też mówiła po białorusku. Lecz to jest co innego. Ludzie nie afiszowali się swoim pochodzeniem, które mogło ściągnąć pewne represje, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

[Pod okupacją niemiecką to byli tak zwani volksdeutsche - rozm.] Volksdeutsche, tak. U nas może ta sprawa była mniej [drastyczna], bo Volksdeutsch to było rzeczywiście wyparcie się [polskości]. To wymieszanie polsko-niemieckie miało trochę inny charakter niż wymieszanie polsko-białorusko-żydowskie. Tym niemniej nikt się przecież nie chciał narażać na aresztowanie czy szykany.

Ale było nie do pomyślenia, żebym ja poszedł do jakiegokolwiek innej szkoły niż szkoła polska. I rzeczywiście gdzieś pod koniec października, mniej więcej w drugiej połowie, zaczęły się zajęcia w szkole, które wspominam bardzo miło. Wzięliśmy wtedy za punkt honoru [nie przejmowanie się nauką] - wojna jest, to są ważniejsze sprawy, więc czyż warto tak się specjalnie wysilać, kuć, uczyć się dobrze? To było jakies małostkowe - uczenie się na stopień. Także ja, który byłem rzeczywiście prymusem w swojej klasie, uczyłem się bardzo dobrze, zacząłem uczyć się bardzo przeciętnie, bo było wiele rzeczy ciekawych, myśmy oddawali się niesłychanym zabawom V

I wtedy człowiek zaczął się wciągać już w te rejony, jak to nazywam, „wielkiej polityki”, zaczął czytać prasę. Przecież miałem wtedy dziewięć lat, dziesięć lat skończyłem na przełomie trzydziestego ⁱczterdziestego roku, gdy nauczyłem się rosyjskiego, w gruncie rzeczy zachłannie czytając pra-

sę. Bo mnie chodziło o czytanie komunikatów wojennych. "Czerwony Sztandar", który obecnie jest wiodącą gazetą Polaków na Litwie, jedynym zresztą organem drukowanym w języku polskim, który był oczywiście potworną szmatą, zaczął się ukazywać w Mińsk^t wiosną czterdziestego pierwszego roku, dokładnie nie pamiętam, nie, zaczął się ukazywać już w czterdziestym roku. A przeważnie się czytało "Prawdę", "Izwięstie", głównie to. Bo kazano również nieraz i radia oddawać. Myśmy mieli tylko bardzo zresztą dobry aparat Telefunkena, dobry przedwojenny aparat, trzy lampy i czwarta prostownicza. Telefunken, świetna firma niemiecka, która zresztą była popularna tam u nas. Myśmy tego radia nie oddali i nie zgłosiliśmy go. Także słuchaliśmy go tak trochę konspiracyjnie, póki jeszcze te lampy działały, na prąd, bez uziemnienia, bez anteny. Słuchaliśmy pierwszych komunikatów, które dochodziły z Zachodu.

Ale chciałbym tu wrócić do przerwanej wcześniej wątku. Otóż niesłychanie ciężkim okresem były dla mnie te pierwsze tygodnie. Tym bardziej, że myśmy sobie zdawali sprawę z tego, iż jeszcze wojna trwa. Bo przecież Warszawa skapitulowała w dzień dni mniej więcej po zajęciu kresów wschodnich przez Sowie-
tów. I jak myśmy łapali te urywkowe komunikaty, od czasu do czasu udawało się łapać Warszawę, to to, pamiętam, robiło na nas niezwykle wrażenie. Bo to nam pozwoliło przetrwać najgorszy dołek psychiczny, jaki nastąpił w ciągu tych pierwszych dni okupacji sowieckiej. Polski nie ma, bo Polska została podzielona przez dwóch wrogów. Co do tego, że to są wrogowie, to myśmy nie mieli w ciągu najbliższych paru dni żadnych wątpliwości. Owszem, były wypadki, że ludność wychodziła i witała sowiedie czołgi, i pytała się: "Wy co? Wy protiwnas?" - "Nie! My na Germanca!" Takie wypadki zdarzały się, potwierdzone są przez różnych świadków. Że sami Rosjanie, to znaczy sami żołnierze nie

bardzo wiedzieli właściwie [dokąd idą], bo powiedziano im, że ruszają na jakiś oswobodzicielski pochód, ale czy wkraczają przeciwko Niemcom, czy wkraczają jako sprzymierzeńcy Polaków walczących z Niemcami, to niejednokrotnie nie było bardzo wyraźnie zaakcentowane. I ten element, chciałem tutaj to podkreślić, się zdarzał. I myśmy nawet jeszcze siedemnastego września, czekając na nich, zadawali sobie pytanie: "A może oni wkraczają, żeby nam pomóc? A może to jest jakiś nagły zwrot w wojnie, oni właściwie nam pomagają, to są wojska, które po to wkraczają?". Więc ten element również się zdarzał. Oczywiście on bardzo szybko [zaniknął], smutna rzeczywistość przemówiła do nas tymi aresztowaniami. Zresztą nie ulegało wątpliwości już od pierwszych godzin, że oni wkraczają jako nasi okupanci, a nie jako nasi sojusznicy. Ale ten element jakoś przejawiał się.

Natomiast te pierwsze dni były dniami potwornego zupełnie upadku. Ja to rzeczywiście przypominam sobie jako skończony koszmarny. Pamiętam, zawdzięczam [wiele] do dzisiaj mojej ciotce, która potrafiła mnie podtrzymywać [na duchu], mówiła: "Henryczku, zobacz, tu jeszcze nasi walczą, jeszcze broni się Warszawa, jeszcze przecież nie wszystko stracone, jeszcze się może ta karta odwrócić, a nawet jeżeli Polska będzie okupowana, to okupowana czasowo, nasi się wycofują w kierunku granicy rumuńskiej, jeszcze się broni Lwów" itd., więc ciotka niesłychanie intuicyjnie potrafiła mnie uspokoić, mówiąc, że nie wszystko stracone, że wojna trwa, że nie przegraliśmy wszystkiego, że na pewno zwycięstwo będzie nasze. I muszę powiedzieć szczerze, że ten moment zbiegł się prawdopodobnie później z tym co nastąpiło w sensie już politycznym, to znaczy: powstanie nowego rządu, ale stanowiącego oczywiście legalną kontynuację rządu Rzeczypospolitej już w Paryżu, już zjawilo się na falach eteru nazwisko Si-

korski, już wiedzieliśmy, że istnieje rząd polski w Paryżu, w każdym razie we Francji, że już odtwarza się armia polska. W związku z tym jeszcze nie zginęła.

Pora, by zrekapitulować to, o czym mówiliśmy przedtem. Zatrzymaliśmy się na okresie późnej jesieni trzydziestego dziewiątego roku. Wiadomo, że przeprowadziliśmy się na przedmieście, periferie Nowogródka. Jesteśmy sami z matką, zostali tylko jeszcze dziadek i babcia oraz wujostwo, którzy mieszkali sami. W ten sposób jakoś dobrnęliśmy do Bożego Narodzenia. Chciałbym zatrzymać się nad Bożym Narodzeniem, ponieważ było to ostatnie Boże Narodzenie, jakie spędziliśmy w większym rodzinnym gronie. Oczywiście bez ojca, ale z dziadkami, z wujoswem, z moimi braćmi. Wigilię spędziliśmy w mieszkaniu wujostwa, była to wigilia bardzo skupiona, bardzo spokojna, oczywiście daleka od wystawności, ale jeszcze jakoś przypominająca prawdziwą Wigilię.

Był to okres, w którym mniej więcej przestałem chodzić do szkoły. To znaczy wznowiliśmy rok szkolny gdzieś w październiku; ja chodziłem, jak mówiłem, do szkoły polskiej, bo jednak szkoła z językiem wykładowym polskim istniała. Ale później nastąpiła zima, a ja zawsze w okresie zimowym często zapadałem [na zdrowiu]. Jednym słowem, gdzieś w grudniu przestałem do szkoły chodzić. Nastąpiła bardzo surowa zima, która w gruncie rzeczy na dłuższy czas w ogóle zawiesiła działalność szkół.

W ten sposób zaczęliśmy się zbliżać do tego, co dla nas było absolutnie rzeczą niespodziewaną, absolutnym wstrząsem, to znaczy do wywozu. Zima coraz bardziej tężała, styczeń był chłodny, ^{ale,} w lutym nastąpiła seria bardzo silnych i ciężkich mrozów, które były wyjątkowymi mrozami właściwie od wielu dziesiątków lat. Zdaje się, że taka ostatnia zima była w 1929 roku, też bardzo surowa, gdy mrozy dochodziły do czterdziestu stopni, co

w naszym klimacie w końcu jest dość rzadkie, nawet na kresach wschodnich, gdzie zimy były piękne i rzeczywiście mroźne, po dwadzieścia stopni to bywało często. Ale jednak czterdzieści stopni to już było coś ekstra. I właśnie w tym czasie uderza, jak grom z jasnego nieba, wywóz. Myśmy zupełnie byli nieprzygotowani psychicznie, przyzwyczailiśmy się już do aresztowań, do sytuacji tego rodzaju, że ludzi wzywano na jakieś rozmówki. Oczywiście zdarzały się propozycje, wiadome propozycje, to znaczy współpracy. Ludzie odmawiali, czasem się wykręcali, oczywiście przeważnie szli w końcu do więzień. Te sytuacje się trochę nasilały, czasem nieco słabły, ^zczasem człowiek słyszał o jakichś częstszych aresztowaniach wśród znajomych, czasem zdarzały się okresy pozornej ciszy.

Tak się złożyło, że w okresie wywozu moi wujostwo zdecydowali się na ucieczkę. Już wtedy myśmy wiedzieli, że ludzie "wyciekają" z Nowogródka, "wyciekają" w ogóle z miejscowości, w których przedtem przebywali, starając się przedostać przez tak zwaną "zieloną granicę" do Generalnej Guberni. Ponieważ, i tutaj trochę trzeba byłoby zastanowić się nad sytuacją informacyjną -propagandową, gdyż to jest dość istotne, ponieważ wiedzieliśmy, że przynajmniej nie grożą na tamym obszarze pod okupacją niemiecką wywózki. Na pewno przez wiele miesięcy myśmy mieli zupełnie inny obraz okupacji niemieckiej niż ten rzeczywisty. Myśmy po prostu tej okupacji niemieckiej nie znali. Jednak istniała korespondencja, mogliśmy korespondować z Warszawą i nie^[tylko] z Warszawą, te listy szły oczywiście cenzurowane, ale jednak przechodziły. Wiadomo, że przeważnie były pisane jakąś mową umowną, to są rzeczy zrozumiałe, ale nikt oczywiście nie pisał o tym, co się dzieje i co tam Niemcy zaczynają wyprawiać. To były te pierwsze miesiące okupacji, znaczone mordem w Wawrze, o czym

myśmy też nie bardzo wiedzieli.

[No i Bydgoszcz chyba - rozm.]

O Bydgoszczy myśmy też prawie nie wiedzieli. O Oświęcimiu, który powstał dopiero w czterdziestym roku, o ile sobie przypominam z historii najnowszej, też się nie wiedziało. Wiedzieliśmy o tym, że Niemcy na pewno są surowym okupantem, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Natomiast nam, patrzącym z kolei przez pryzmat naszych doświadczeń z okupantem sowieckim, wydawało się, że to jest po prostu okupant bardziej cywilizowany, może przestrzegający bardziej reguł gry. Także nawet jeżeli dochodziły takie informacje, jakieś pogłoski, że kogoś gdzieś rozstrzelali, to uważaliśmy, że to *á la guerre comme á la guerre*. W końcu jesteśmy wrogami, oni w stosunku do nas zachowują się jak wrogowie. Jeżeli tam istnieje jakaś konspiracja, to trudno im się dziwić, że Niemcy mogą działać w sposób taki, który ich do tego skłania. To jest w końcu wojna. Prowadzimy wojnę z Niemcami i tutaj ofiary są zrozumiałe. Natomiast nie zdawaliśmy sobie sprawy z grozy, ze straszliwej grozy, w jakiej znajdowało się całe społeczeństwo polskie, z narastającej grozy, nie mówiąc już o wzmagających się prześladowaniach Żydów. I to tłumaczy, dlaczego ten ruch w kierunku Generalnej Guberni był zimą 1939/1940 roku tak bardzo intensywny. Cała masa inteligencji, ludzi zagrożonych, po prostu uciekała, bo wiedziała, że wcześniej czy później zostanie aresztowana, zostanie wywieziona, ryzykując jakąś nieznaną śmierć.

[Ale z drugiej strony przeciwbieżny był ruch ludności przede wszystkim żydowskiej - rozm.]

Tak, przeciwbieżnie nasilał się ten ruch, to jeszcze nie było wtedy takie bardzo silne. Bo przecież przez te pierwsze miesiące Żydzi byli dyskryminowani, nosili gwiazdy Dawidowe na ple-

cach, ale getta zaczęły się tworzyć, zdaje się, dopiero w czterdziestym roku. Myśmy o tym wszystkim jeszcze wtedy nie wiedzieli.

Oprócz tego trzeba podkreślić i uświadomić sobie jedną rzecz, że przecież to byli s o j u s z n i c y i że stosunek propagandy niemieckiej bynajmniej nie sprzyjał przedstawianiu się prawdy o okupacji niemieckiej. Przeciwnie. Nigdy nie zapomnę podręcznika, który miałem w rękach, podręcznika geografii, gdzie, o tym mogę mówić, bo to rzeczywiście jest tak charakterystyczne, że warte przypomnienia, przy omawianiu poszczególnych stolic europejskich była mowa o tym, że n.p. Paryż jest ważnym miastem, stolicą Francji, ważnym węzłem kolejowym, taki i taki przemysł itd, itd. A później następuje następuje akapit, ustęp, w którym czytamy, że robotnicze dzielnice Paryża stanowią jedno wielkie rumowisko, gdzie opuchnięte z głodu dzieci snują się po straszliwych rynsztokach itd. Dalej: Londyn - Stolica Wielkiej Brytanii, wielki port, przemysł stoczniowy. Dzielnice robotnicze Londynu stanowią nieprawdopodobne siedlisko nędzy, upadku, poniewierki. W Rzymie też oczywiście potworne dzielnice nędzy robotniczej. Berlin - wielkie przemysłowe centrum, ważny węzeł dróg kolejowych i samochodowych, ważne centrum kulturalne. "Roboczi je kwartały Berlina niebłogo ustrojenny", co znaczy "nie są zbyt wygodne". Ha, ha! Na tle tej p o t w o r n e j nędzy, tych dzieci opuchniętych, żażących z nabrzmiętymi z głodu brzuchami - ten Berlin! No, trzeba było powiedzieć, że te „roboczi je kwartały” mogą być tylko w Moskwie luksusowe, a w Berlinie nie są z b y t w y g o d n e , to trudno nawet przetłumaczyć na polski, nie - błogoustrojenny.

[A przy tych poprzednich opisach, panie Henryku, nie sądzi pan, że oni po prostu opisywali to, co u siebie mieli, wzorce? - rozm.]

Oczywiście, to co mieli u siebie, wzorce, tak, tak. Tylko te „roboocziye kwartały”, dzielnice robotnicze Berlina nie są zbyt wygodne. Nie wypadało powiedzieć, że są luksusowe, że robotnik niemiecki żyje rzeczywiście jak pan, a tak w dużym stopniu było. Przecież wiemy, jak na ziemiach zachodnich wyglądały niemieckie dzielnice robotnicze. To jest tylko taka dygresja, mniejsza z tym. Ale to wszystko świadczyło o tym, jak dalece sowiecka propaganda była po stronie niemieckiej, niewątpliwie. Owszem, oni rzeczywiście w prasie podawali zawsze „swotki”, czyli komunikaty, zarówno strony brytyjskiej czy francusko-brytyjskiej, jak i strony niemieckiej. Ale tym niemniej myśmy mogli w wielu przypadkach nie wiedzieć, co się dzieje po tamtej stronie.

I rzeczywiście w czasie tych strasznych mrozów udało się zarówno memu wujowi, jak i wujence z dwoma synami przedostać przez „zieloną granicę”. Ale pozostali struszkowie dziadkowie, którzy wtedy przenieśli się już do nas i zamieszkali z nami na ulicy Objazdowej. Zlikwidowali mieszkanie i przenieśli się do nas. W ten sposób myśmy zamieszkali we czwórkę, w poszczególnych miesiącach mieszkała z nami jeszcze siostra ojca, ciotka moja, która czasami wyjeżdżała, bo miała rodzinę również i w innych, nie daleko położonych miejscach na kresach. Ale dość często przebywała z nami.

Wstrząs wywozu był okropny. Człowiek w ciągu dwóch, trzech dni zorientował się, kogo zabrano, kogo wywieziono. Tak się złożyło, że wśród naszych znajomych zdarzały się takie osoby, wśród naszych bliższych znajomych. Lecz to był wywóz, który głównie dotknął ludzi ze służby leśnej, rodziny policjantów, rodziny leśniczych. To był zresztą najbardziej straszny wywóz, bo odbywał się w okresie tych potwornych mrozów, wywóz do Archangielska. Oni jechali naprzeciwko jeszcze gorszej sytuacji klimatycz-

nej, jechali do krainy o rzeczywiście bardzo surowym klimacie. Także tam działy się potworne rzeczy, tam ludzie umierali, zamrzali w wagonach, to były rzeczy zupełnie makabryczne. My zresztą o tym wywozie stosunkowo najmniej wiemy, po prostu dlatego, że mało kto ocalał.

[Czy to jest ta lutowa wywózka? - rozm.]

To jest ta właśnie lutowa wywózka, dziesiątego-jedenastego lutego, chyba tak. I to był ten właśnie wywóz, który szedł, przy najmniej jeżeli chodzi o obszar Nowogródka, Nowogródzczyzny, na Archangielsk. I tam ludzie, którzy przeżyli tę zimę czterdziestego roku i czterdziestego pierwszego, to rzeczywiście w czterdziestym pierwszym roku, ci, którzy ocaleli, zdołali dotrzeć i wyjść z Armią Andersa. Bo to był ten obszar, skąd najwięcej Polaków zdołało wrócić, bardzo niewielu ich było, ale w każdym razie wszyscy, którzy pozostali, [wrócili]. Mieliśmy na przykład znajomych, panią Kubasową, której zresztą matka później się znalazła z nami na Syberii, nasza powinowata do pewnego stopnia. Przeżyła z córką Archangielsk i już w czterdziestym pierwszym roku udało jej się przedostać na południe, w czterdziestym drugim roku latem z Armią Andersa znalazła się w Persji.

To był ten pierwszy wywóz lutowy. Potem natępiła cisza. Ludzie przeżyli wstrząs okropny, ale czepiali się jakiejś nadziei. Może to była jakaś jednostkowa sytuacja, jednostkowa akcja, może to znów nie nastąpi? Tym niemniej napięcie jest bardzo duże. W tym okresie po wywoźce masa ludzi znów ucieka, znów słyszy się tu i ówdzie, gdzieś od kogoś, że ktoś wyjechał, ktoś zniknął, ktoś, kogo się widywało przede wszystkim w kościele. Tego kogoś już nie ma, za tydzień^{go} nie ma, za dwa tygodnie nie ma. Acha, znaczy, że gdzieś wyjechał.

Takim ośrodkiem, gdzie się zbierali ludzie, gdzie można było

gdzieś w kruchcie poszeptać, wymienić jakieś informacje, podzielić się jakimiś wiadomościami, ktoś może słuchał radia, ktoś ciągle plotki - był kościół. Więc kościół tutaj znów zaczynał wychodzić zupełnie poza swoje czysto konfesjonalne zadania, a stawał się ośrodkiem mniej lub więcej swobodnej wymiany myśli, swobodnej wymiany informacji. Ludzie tam chodzili, spotykali się, szeptali po ciemniejszych zakątkach. W ten sposób minął miesiąc czy półtora.

Nie bardzo pamiętam, to można byłoby sprawdzić w kalendarzu, kiedy w czterdziestym roku była Wielkanoc. Czy była w drugiej połowie kwietnia, czy [wcześniej]? W każdym razie nastąpił wtedy drugi wywóz. Zdaje się jednak, że to było chyba przed Wielkanocą, o ile sobie przypominam. Więc znów oczywiście szalony wstrząs. [Akcja ta] uderza głównie w grupy inteligencji, w tych, którzy nie zdążyli wyjechać.

Mieliśmy znajomych, jak chociażby tę rodzinę, o której wspominałem, państwa Skarżyńskich. On był radcą wojewody, zresztą przedtem jeszcze był starostą w Łomży. Pan Witold Skarżyński, bardzo piękny mężczyzna, bardzo taka reprezentacyjna, piękna, polska twarz, siwy pan, ułan 15 Pułku Ułanów w czasie wojny. I też został. Jego aresztowano w tak zwanym międzyczasie, już nie pamiętam, kiedy to było, czy przed pierwszym wywozem, czy przed drugim. Dość, że jego żona z dwiema córkami została wywieziona w tym wywozie kwietniowym.

To był dla nas znów potworny wstrząs. Po tym wywozie przyjechała moja ciotka, o której wspominałem, siostra ojca, która, okazuje się, pojechała do swojej córki, mieszkającej w Stolinie, i już nie zastała jej, bo córka została wywieziona. Ciotka jakoś próbowała łapać ten ^eszelon między Łunińcem a Baranowiczami, biegała gdzieś po jakichś dworcach, gdzie te eszelony stały, krzyczała, wołała, ludzie usiłowali coś jeszcze dowiedzieć tym wywie-

zionym. Przyjechała do nas zupełnie zmiażdżona, nerwowo rozbita. I znów u nas na dłużej zamieszkała. Wtedy właściwie myśmy sobie uświadomili, że powinniśmy się liczyć z tym, że tym razem to już nas nie minie. Że albo rzeczywiście nie powtórzą się wywozy, albo będziemy musieli być przygotowani na to, co nastąpi. Pamiętam, dziadek zaczął zbierać bardzo systematycznie skórynki, to znaczy skórki od chleba. To jest takie kresowe określenie "skórynki", które w polszczyźnie centralnej jest może mniej używane. I myśmy go [sumiennie] słuchali. Z myślą o tym, że to się może nam przydać. Daj Boże, żeby się nie przydało, ale może się przyda. Tak zresztą robiło wiele osób, które uważały po prostu, że z racji swego statusu społecznego są następnymi na liście. Tym bardziej, że było rzeczą nieomal dziwną: jak to? rodzina sędziego została oszczędzona w ciągu dwóch wywozów, które bądź co bądź dotknęły jak najbardziej inteligencję, właśnie urzędników i rodziny urzędników, rodziny policjantów, rodziny również i sędowników. Dlaczego tak cię stało, Bóg raczy wiedzieć, do dziś dnia oczywiście nie wiem. Być może tajemnica tkwi gdzieś w jakichś spisach, jakichś niedopatrzeniach w NKWD, ale już nie będziemy w to wnikali.

Wchodzimy w ten czterdziesty rok, ja się w dalszym ciągu nie uczę, bo już nie wróciłem do szkoły po tych wszystkich przejściach i dłuższym okresie chorowania, zaziębień, grypy, katarów, bronchitów. Zima jest długa, wiosna bardzo chłodna, pamiętam, i wegetacja jest bardzo opóźniona. Zresztą to był okres, kiedy na kresach nie było żadnych owoców. Mrozy wymroziły drzewa owocowe i pamiętam, że myśmy w czterdziestym roku w ogóle nie mieli żadnych jabłek, gruszek, niczego. Nie było w ogóle żadnych owoców. Tylko jagody, ruń leśna. Grzyby później zresztą bardzo obficie obrodziły, jesienią czterdziestego roku. Wiosna wybuchła bardzo

piękna, maj, czerwiec były cudowne. Pamiętam, wtedy chodziłem na majowe nabożeństwa, później na czerwcowe. To życie religijne było bardzo intensywne, myśmy po prostu chodzili do kościoła, pomijając wszystkie względy towarzyskie, po to, żeby się modlić. Modlić się o przetrwanie, modlić się o to, żeby nas nie wywieźli, modlić się o to, żeby ojciec ocalał. Wiedzieliśmy, że początkowo przez dłuższy czas ojciec był na Litwie. Te wiadomości były bardzo urywkowe.

I tu muszę cofnąć się. Był taki moment, kiedy późną jesienią trzydziestego dziewiątego roku Wilno zostało oddane Litwinom; Rosjanie zrobili gest i oddali Litwie Wilno wraz z obszarem wileńszczyzny. Granica między Litwą i obszarem okupacji sowieckiej nie była zbyt silnie obsadzona w tym czasie, była dość płynna, przebiegała w końcu jeszcze na zupełnie żywym ciele naszych kresów, gdzie była dość sztuczną przeciw granicą. Oni, owszem, kontrolowali, na jakichś dworcach itd., ale matce udało się jakoś przedostać do Wilna i tam spotkać się z ojcem, który naturalnie absolutnie chciał wracać. Ojciec spotkał jakichś Żydów nowogródzkich, którzy zapewniali jego, że był dobrym człowiekiem, sprawiedliwym sędzią, "Panie sędzio, panu nikt nic nie zrobi, każdy może zaświadczyć, że pan był sprawiedliwy, że pan nikogo nie skrzywdził". I ojciec, człowiek, który przeżywał strasznie rozstanie z nami i tę swoją ucieczkę, psychologicznie zupełnie zrozumiała, ojciec nie miał innego wyjścia, ale chciał wrócić. Więc matka oczywiście absolutnie i kategorycznie ojcu to wyperswadowała, powiedziała, że w tej sytuacji my będziemy na pewno mu kulą u nogi, on musi mieć absolutną swobodę ruchu, takie są wymogi sytuacji wojennej. I ojciec został w Wilnie. Później Litwini nakazali uciekinierom, którzy się znaleźli tam spoza Wilna, którzy nie byli zameldowani, którzy nie byli stały-

mi mieszkańcami Wilna, przenieść się w głąb Litwy. Ojciec później gościł w różnych majątkach Polaków na Litwie, którzy byli niesłychanie życzliwi i naszych uciekinierów karmili, poili i utrzymywali. Wracając do tego, co mówiłem wcześniej o siedemnastym wrześniu, do tego wątku, chciałbym tutaj jeszcze dodać, że ojciec rzeczywiście poszedł wtedy do sądu, tam podjął pensję, którą wypłacano chyba za trzy miesiące i tam spotkał się z kilkoma kolegami, zdecydowanymi z miejsca uciekać pierwszym lepszym środkiem transportu, jaki się nadarzy. I udało im się uprosić jakiegoś znajomego dorożkarza, wiem, że wśród nich był sędzia Pawlikowski i ktoś tam jeszcze bym, ale tego nie pamiętam, kiedyś może to odtworzę. Dość, że oni we trójkę chyba ruszyli w kierunku Wilna. Tą dorożką, Byle jak najdalej od Nowogródka. Dorożkarz oczywiście nie bardzo chciał jechać zbyt daleko, w końcu do Lidy było pięćdziesiąt kilometrów, ale wiedziano, że w Lidzie jest duży garnizon, lotnisko, że tam oni będą mogli złapać jakieś inne środki transportu, gdzieś może się do kogoś domeldują i pojedą dalej. I trzeba było trafu, że ten autobus, którym myśmy jechali z sądu pod kolonię urzędniczą i z którego myśmy wysiedli, oczywiście ich dopędził po drodze. I jakaż była rozpacz ojca, gdy kierowca powiedział mu: "Panie sędzio, przecież pana żona jechała razem z nami i wysiadła". Więc oni od razu odprawili dorożkarza i tym autobusem ojciec do Wilna dotarł. Takie były koleje losu mojego ojca, który został już w Wilnie, wszystko to dopiero się okazało, jak mama przyjechała i mnie wszystko opowiedziała. I myśmy byli zdecydowani na rozłączenie z ojcem przez dłuższy czas. I tak się stało, że rzeczywiście ten czas się wydłużył aż prawie do siedmiu lat.

Tymczasem jesteśmy w roku 1940. Następuje coś, co dla nas również było potwornym psychicznym szokiem, mianowicie klęska

Francji. Do tego momentu człowiek właściwie wierzył w to, że ta wojna, która się rozpocznie już na dobre z wiosną, przyniesie nam jakiś przełom sytuacji, że nastąpi rozbitcie Niemców i oczywiście coś się stanie ekstra, odzyskamy wolność i Rosjanie czy wycofają się, czy zostaną wyrzuceni, czy zostaną pobici, to wszystko jedno. Nigdy nie traktowaliśmy rozłącznie tych dwóch naszych okupantów, uważaliśmy, że są to sojusznicy, którzy dokonali rozbioru Polski. Taka była świadomość polskiej ludności kresowej, oczywiście mówię o tej ludności, która myślała patriotycznie, kategoriami polskimi. W końcu byli ludzie, którzy zrezygnowali z uznawania Polski za swoją ojczyznę i starali się znaleźć jakiś ^e miejsce dla siebie w nowej sytuacji, w nowym państwie. Oczywiście to był raczej margines. Dlatego myśmy z dużym sceptycyzmem patrzyli na kolaborację z władzami sowieckimi, na przykład na jakiś występ w teatrach sowieckich. Nawet później, pamiętam, dość sceptycznie odnosiliśmy się do Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie w końcu jednak gdzieś w czterdziestym pierwszym roku były jakieś próby

To zresztą zbiegło się ze zmianą nieco stosunku [władz sowieckich do ludności polskiej]. To jest sprawa, którą należy jeszcze badać i poszczególne fazy ustosunkowania się władz sowieckich do ludności polskiej to jest jeszcze temat na osobne, bardzo gruntowne i ^{dość} trudne opracowanie na pewno. Bo tutaj należałoby sięgnąć do bardzo głębokich archiwów sowieckich, wydobyć [informacje], jak właściwie oni się ustosunkowywali do ludności polskiej, jakie były ich zamierzenie, jakie były koncepcje, jakie były instrukcje.

Trwaliśmy w nadziei, że wiosna i lato czterdziestego roku przyniesie nam jakiś przełom w wojnie. Niestety, stało się zupełnie odwrotnie. Francja upadła, co dla nas było potwornym

szokiem. Nie spodziewaliśmy się, że Francja aż tak prędko skapituluje i tak prędko zostanie pobita. Jediną otuchą pozostała "wyspa ostatniej nadziei", jaką stała się Anglia. I odtąd rósł nasz i podziw, i sympatia, raczej dość jednostronna, do tego kraju, który przygarnął resztki wojsk, Polaków, uciekinierów, emigrantów, przede wszystkim wojska, lotników, marynarzy, i z którym wiązały się już później wszystkie nasze nadzieje, oczywiście bardzo na wyrost. Ale Anglia nie skapitulowała, przetrwała, czego myśmy dowiedzieli się już później, przetrwała tę wielką bitwę, która zadecydowała w pewnym sensie o losach wojny, mianowicie Bitwę o Anglię, wielką bitwę powietrzną. Tu już te odgłosy dochodziły, bo myśmy nastawiali się na słuchanie radia brytyjskiego, Londynu, oprócz tego się czytało prasę, stale tę sowiecką, która jedna mimo wszystko przekazywała pewne informacje. Oczywiście nie czytało się z zasady komunikatów niemieckich, tylko angielskie, ale coś niecoś, jakieś wiadomości człowiek miał. A poza tem zaczęła się później kampania włoska, kampania libijska, to wszystko człowiek bardzo uważnie śledził. Właśnie wtedy zmuszałem się do czytania po rosyjsku, opanowałem już jako tako podstawową terminologię wojskową tych komunikatów, by je trochę rozumieć. Pomagała mi w tym oczywiście ciotka Maryna, siostra ojca, o której tu wspominałem. Tak samo jak ojciec mój znała świetnie rosyjski, skończyła szkołę średnią i wyższe studia w Petersburgu, bardzo pięknie mówiła po rosyjsku, więc mi trochę pomagała. Także ten rosyjski zaczynałem znać przynajmniej biernie, zupełnie nieźle już sobie z nim radziłem, przede wszystkim oczywiście czytając te komunikaty i prasę.

Lato upłynęło na krzątaniu, z tym że stan mego dziadka [pogorszył się]. Dziadek bardzo przeżył wywóz i okres, jaki spędził w więzieniu i który na pewno uderzył bardzo poważnie

w dziadka zdrowie, podkopał je. Później doznał na pewno wielkiego szoku, kiedy wujenka musiała mu powiedzieć: "Papoczku, my uciekamy, bo nam grozi wywóz". Dla dziadka to był szok, bo nagle i syn, i synowa, i wnuki musieli dosłownie w ciągu iluśtam godzin zniknąć z miasta. I dziadek zaczął chorować, to były prawdopodobnie jakieś sprawy krążeniowe, jak teraz sobie przypominam. Pod koniec sierpnia nastąpiło bardzo wyraźne pogorszenie zdrowia dziadka i w dniu pierwszej rocznicy wybuchu wojny dziadek zmarł. Pierwszego września. To dla mnie był wielki wstrząs, bardzo byłem przywiązany do obojga dziadków. Była to także pierwsza śmierć, z którą jako młody chłopak zetknąłem się z bliska. Dziadek umierał w sposób bardzo patriarchalny, powiedziałbym, celowo wyreżyserowany, umierał spokojnie, błogosławiąc całą rodzinę, trzymając gromnicę. Była to zupełnie wyjątkowa śmierć na własnym łóżku, w sytuacji pełnej jakiegoś majestatu i wielkiego zawierzenia Bogu. To dla mnie był bardzo silny i ciężki cios, po którym nastąpiło coś, co mnie wciągnęło w inny rytm, mianowicie poszedłem z powrotem do szkoły, która rozpoczęła się w pierwszych dniach września, do polskiej szkoły. Ten rytm, ta atmosfera szkoły, młodzież, chłopaki, to pomogło mi bardzo jakoś przetrwać ten okres załamania po śmierci dziadka. Oczywiście myśmy bardzo się nie wysilali z nauką, trzeba się uczyć, bo trzeba, ale nie wypada w czasie wojny uczyć się za dobrze, o tym już mówiłem, o tego rodzaju nastawieniu. Było dużo w tej naszej szkole i czasu na zabawy, i na jakieś rozrywki, na bieganie, na jakieś bijatyki, czasem i na wagary. Ale wszystko jakoś szło. Zaprzyjaźniłem się z paroma kolegami. W ten sposób minął nam ten rok czterdziesty i zaczął się rok czterdziesty pierwszy. Raczej wyglądało, jakby się troszeczkę zmieniało na lepsze.

To znaczy: cały rok, przede wszystkim przełom trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku był niezwykle ciężki pod względem materialnym. Po prostu w ogóle, jak to mówiłem, nie było towarów. Ślepy^{ck} były właściwie zamknięte na głucho, nie było towarów zadnych. Od czasu do czasu "rzucano" to naftę, to cukier, to sól. Kolejki ustawiały się wieczorem. Tu muszę powiedzieć, jak to matka szła, umawiając się ze znajomymi, kto ma dyżurować, kto ma zająć kolejkę, kto ma później podmienić. Dosłownie szło się wieczorem, o ósmej, o dziewiątej godzinie. To była przecież zima, trzydziesty dziewiąty na czterdziesty rok to właśnie była ta surowa zima.

[Nie, czterdziesty na czterdziesty pierwszy - rozm.]

Nie, ja jeszcze wracam, to był trzydziesty dziewiąty na czterdziesty rok. Później, w czterdziestym roku również sytuacja materialna była bardzo kiepska. Powiedziałbym, że może troszeczkę drgnęło gdzieś u schyłku czterdziestego roku, po tym, jak Sowieci zajęli Besarabię i Mołdawię pojawiły się jakieś soki pomidorowe, nagle, ni z tego, ni z owego. W ogóle w sklepie był tylko sok pomidorowy, butelkowany sok pomidorowy. Prawdopodobnie zajęli jakieś duże magazyny w Besarabii i w Mołdawii i "rzucali" ten towar, rozprowadzali tu i ówdzie.

Jak się żyło? Nie mówiłem właściwie o tym, za co myśmy żyli. A to jest w końcu dość istotne. Mama nie pracowała i żyliśmy właściwie ze sprzedawania rzeczy. Sprzedawało się rzeczy, sprzedawało się bieliznę, której w końcu było dużo przed wojną, sprzedawało się męskie ubrania, ojca, matka sprzedawała jakieś swoje sukienki, których również było sporo. A teraz się wymagania bardzo, bardzo [zmieniły].

[Kto kupował? - rozm.]

Kupowała wieś. Kupowała białoruska wieś. I tu bardzo słuszne

pytanie padło, bo przecież w końcu jakaś wymiana handlowa była. Oczywiście wieś w tej sytuacji była w lepszym położeniu niż miasto. Bo miasto było skazane tylko na bardzo skromne zarobki, które, powiedzmy sobie, dotyczyły osób pracujących w jakichś urzędach, w jakichś instytucjach sowieckich, były przecież takie instytucje, i drogowe, i takie, i owakie, gdzie Polacy też znajdowali jakie takie zatrudnienie. Ale ogólnie rzecz biorąc, ludność polska w dużym stopniu żyła troszkę "psim swędem", trochę handlując, trochę żyjąc z przedwojennych jeszcze zapasów. Ja na przykład pamiętam, że ^{wyjmowała} mama co pewien czas coś z jakichś kufarów, szła na bazar i sprzedawała. Pamiętam również, że robiła ze starych prześcieradeł chusteczki, wyszywała dziurki, motylki, kwiatki. Chodziła z tymi chusteczkami i innymi drobiazgami na bazar, na rynek, i kupowano to, po prostu kupowano. Był to handel wymienny, to znaczy za chusteczki czy za jakąś bluzeczkę otrzymywała pud mąki czy coś takiego, który ~~mama~~ przywoziła, czy kurę, czy kawałek mięsa, czy ser biały, czy masło. Owszem, rynek istniał. I myśmy właściwie tylko na ten rynek [chodzili]. Także można powiedzieć, że nieraz pozbawieni byliśmy cukru, że z cukrem było bardzo słabo, bo trzeba go było wystać w kolejkach. "Rzucano" go raz na miesiąc czy na półtora i stało się półtora dnia w kolejce po kilogram. Dlatego też herbatkę piło się bardzo słabo słodką, bo cukier bardzo się oszczędzało, po prostu nigdy nie było wiadomo, kiedy znów będzie go można dostać. Taki sam, poważny problem był z naftą. Gdy myśmy mieszkali na Objazdowej to, o ile wiem, do jednego pokoju przeprowadzona była elektryczność i była lampa elektryczna, natomiast inne pokoje oświte^ełało się za pomocą normalnych lamp naftowych. Podobnie w wypadku jakiegoś wyłączenia prądu, co też zdarzało się, brało się lampę naftową. Także ta nafta też była potrzebna.

Więc te tłumy ludzi, które stały po naftę, to było zrozumiałe, bo przecież dla chłopca nafta to było *conditio sine qua non*, on przecież nie mógł inaczej ułożyć sobie życia w czasie zimy.

Ale to ze wszystkim tak było. Podstawowe produkty, znaczy cukier, sól, nafta, dostawało się, wystawając w ciężkich kolejkach. Później, chyba w ciągu czterdziestego roku, troszeczkę się może [zmieniło]. Tak samo oczywiście kolejki były i trzeba było w tych kolejkach wystawać, ale jednak, mimo wszystko, ten rynek [ożywił się]. Właściwie nie dokonano na kresach całkowitej kolektywizacji gospodarstw, owszem, rozparcelowano majątki ziemskie i przez pewien czas może nawet lepiej powodziło się chłopom, z tego względu, że mieli więcej ziemi i mogli więcej tego produktu rzucić na rynek. W związku z tym myśmy jednak w roku czterdziestym nie cierpieli głodu, nie było głodu. Był niedostatek, był brak, ale nie było głodu. Przynajmniej na kresach. Tego sobie nie przypominam.

W ten sposób doczekaliśmy się czterdziestego pierwszego roku. Oczywiście ciągle słuchając radia i ciągle żyjąc wiadomościami z dalekich frontów. Wyglądało jakby troszeczkę zaczęła z nas opadać ta ustawiczna trwoga przed wywozem. Kiedy ten ostatni wywóz, kwietniowy czterdziestego roku, oddalał się w czasie, w nas jakby wstępowała pewna otucha, nadzieja, przecież człowiek musi się czegoś trzymać.

Tak się złożyło, że mieliśmy już kontakty, nawiązaliśmy już korespondencję z naszymi znajomymi wywiezionymi, także myśmy mniej więcej orientowali się [w sytuacji], szczególnie z tymi znajomymi, którzy zostali wywiezieni w kwietniu czterdziestego roku do Kazachstanu. Oczywiście wiadomości podlegały autocenzurze, ale wiedzieliśmy, że tam im się nie przelewa, że im jest tam bardzo ciężko. Nie zapomnę listu, który napisała

pani Skarżyńska do mojej matki. To była osoba bardzo miła, kulturalna, która zresztą wychowała się we Francji, taka bardzo "europejska" pani i trochę z francuska libertyńska nastawiona. Pamiętam, jak ona pisała, mama czytała nam to głośno, że "teraz, kiedy muszę nosić worki z kartoflami, od których aż pęka mi krzyż, to myślę o Chrystusie i o jego Golgocie". Tego rodzaju rzeczy robiły wrażenie i człowiek sobie dopiero wyobrażał, jak tam rzeczywiście oni ciężko pracują i jak im się tam powodzi, jakkolwiek te wiadomości były o tyle pocieszające, że oni tam jakoś żyją, że próbują się jakos zaadaptować. Więc kontakt był z tymi naszymi przyjaciółmi wywiezionymi.

[Panie Henryku, pan mówił - Kazachstan, a poprzednio pan mówił o Nowosybirsku - rozm.]

Mówiłem o Archangielsku.

[Czyli i tu, i tu wywożono? - rozm.]

Tak, ten drugi wywóz był skierowany do Kazachstanu. Kwietniowy wywóz poszedł do Kazachstanu, przede wszystkim do Aktiubinska.

[Akwolińska, Aktiubińska... - rozm.]

Głównie Aktiubińska. Akwolińsk - tam również znajdowali się Polacy, z innych może rejonów, z innych województw. Natomiast nasi znajomi, głównie z Nowogródka, znaleźli się w Aktiubińsku. Ale moja siostra cioteczna, o której wspominałem tutaj i która została wywieziona ze Stolina, znalazła się pod Akwolińskiem, w tak zwanym Si^{wie}ernom Kazachstanie. Bo był Jużnyj Kazachstan i Siewiernyj Kazachstan.

Mieliśmy wrażenie, że może coś się zmieni. Mówiło się o studiach we Lwowie, że tam ewentualnie młodzież polska będzie mogła studiować, na polskim uniwersytecie. Były jakiegś tego rodzaju posunięcia ze strony władz sowieckich, które mogły świadczyć o tym, że zmienia się ich nastawienie, polityka wo-

bec polskiej mniejszości.

I pamiętam okłice Palmowej niedzieli, w wielkim tygodniu zapadam na bardzo ciężką odrę, którą przechorowuję w ciągu paru tygodni, także przez całe święta leżę z dużą gorączką i z jakimś powikłaniem. Później pamiętam znów bardzo piękną wiosnę, piękny maj i piękny czerwiec, nadrabiający jakby zaległości z poprzedniego roku, bo widać, że drzewa kwitną wspaniale, na szczęście się zregenerowały, widać, że na pewno będą obfite zbiory i owoców, i jarzyn. Ale zaczynamy zastanawiać się, czy by jednak nie przenieść się do Wilna, mimo wszystko zmienić miejsce zamieszkania, przenieść się na wileńszczyznę, gdzie mieszkała siostra mojej matki, która tam się znalazła, była na Litwie. Później, kiedy Rosjanie w czterdziestym roku, w czasie kiedy Francja padała, uderzyli i dokonali okupacji krajów bałtyckich, tak się złożyło, że ojciec nie czekał, aż go tam aresztują, tylko przeszedł granice i znalazł się w Generalnej Guberni. I resztę wojny spędził pod okupacją niemiecką, w Warszawie, gdzie mieszkał u swojej siostry. Ale na razie nie będę o tym mówił bliżej.

Oczywiście ciągle plotki o wywozie co pewien czas się nasilały, znów czasami było o tym ciszej. Wystarczyło, że gdzieś ktoś zobaczył jakieś wagony, które się wydawały mu pociągami, to zaraz przychodziła wiadomość, że "słuchajcie, gdzieś w Nowojedni widziano cały eszelon ciepłuszek, czy tam przypadkiem nie szykuje się nowy wywóz" albo znów gdzieś w Baranowiczach widziano jakieś eszelony. Więc co jakiś czas myśmy byli szarpani tym niepokojem. Nie można ^(więc) powiedzieć, żeby nastąpiła pewna sielanka. Myśmy oczywiście czepiali się nadziei, że to może się nie powtórzy, ale tym niemniej co jakiś czas te plotki o wywozach pojawiały się.

Różni ludzie szukali różnych informatorów. Otóż moja mama miała taką taką Sarcie, młodą, ponoć przystojną Żydówkę, do której się zalecał jakiś oficer NKWD. I w czasie, kiedy nasilały się plotki o wywozie, to mama szła do tej swojej Sarci i pytała [się], jak to wszystko wygląda. Ona mówiła: "Pani, zaraz, niech ja się dowiem" i rzeczywiście informacje, przeważnie dementujące tego rodzaju pogłoski, sprawdzały się w stu procentach. I myśmy nabrali stuprocentowej pewności, że te informacje od Sarci są wiarygodne i miarodajne, rzeczywiście ten NKWD-ysta na razie jej nie okłamywał, mówi prawdę, bo dotychczas się nic nie stało. Zawsze wszystkie pogłoski były dementowane i wychodziło na to, że Sarcia dysponuje bardzo dobrym i bardzo miarodajnym źródłem.

I nastaje bardzo piękny dzień dziewiętnastego czerwca. Ja się bawię z kolegą na dworze, babcia gdzieś poszła, może po sąsiedzku do kogoś, w każdym razie jesteśmy we dwóch. Przycho-
dzą przyjaciółki mojej matki, zresztą żyjące do dziś dnia, w bardzo podeszłym wieku staruszki, i pytają się, gdzie matka. "Mama poszła na czerwcowe"- mówię. "No to powiedz, jak mama przyjdzie, żeby jednak zaszła do nas wieczorem, niezależnie od pory". Matka po pewnym czasie zjawia się po czerwcowym, ja mówię: "Mamo, ciocia Ancia była z ciocią Helą, prosiły, żebyś koniecznie do nich zaszła". Matka mówi: "Acha, to pójdę, a wiesz, na mieście są jakieś pogłoski, znów o wywozie". Mama pierwsza nawet porusza ten temat, ale mówi: "Jeszcze pójdę do ciotek, a później do tej mojej Sarci, to się dowiemy, zobaczymy, co się dzieje w ogóle". Zapada zmrok, zapada wieczór, bardzo piękny, jest dziewiętnasty czerwca, a więc bardzo długi dzień. Mama wraca późnym wieczorem i pytam się: "Mamo, co tam, powiedz, co tam?" Matka mówi: "Wiesz, owszem, są takie pogłoski, Sarcia

powiedziała mi tylko tyle, że jest jakaś banda w Puszczy Nalibodzkiej i będzie jakaś obława. I przyjadą oddziały NKWD, mogą przejechać wieczorem czy nocą przez Nowogródek. A rzeczywiście wiosną, a właściwie wczesnym latem czterdziestego pierwszego roku nasiliły się jakieś bardzo zuchwałe włamania. Musiała to być jakaś banda działająca dość sprawnie, banda fachowców, która organizowała zuchwałe włamania, z dość skomplikowanym otwieraniem lufcików. Ludzie spali, budzili się i mieli mieszkania oczyszczone. Nie wiem, czy używano jakichś środków nasennych, jakiegoś eteru czy czegoś innego, zaczynały się spekulacje i fantazje wokół tego, ale rzeczywiście taka fala takich dość zuchwałych włamań miała miejsce. Ludzie kojarzyli, że to może naprawdę jacyś bandyci. Ale ja spokojnie sobie zasypiam w łóżku, pamiętam, że mama siedzi w oknie, jest już zgaszone światło. Nasze mieszkanie było tak usytuowane, że reflektory samochodów jadących z kierunku Baranowicz, szosą baranowicką, i wjeżdżających na ulicę Piłsudskiego, pod górę, odbijały się na naszych oknach. I ja właśnie widzę tylko ~~xxx~~ profil matki w tych błyskach reflektorów samochodowych, widać, że idzie jakaś kolumna ciężarówek, która na czwartym biegu wspina się, bo tam było dość duże wzniesienie. I widzę, że mama obserwuje tę [szosę], która nie przebiegała bezpośrednio koło naszego domu, tylko trochę dalej, jakieś sto czy dwieście metrów. Ale widać błyski tych reflektorów i ja sobie spokojnie zasypiam. No może tak nie bardzo, ale widzę, że mama jest dość spokojna. W związku z tymi włamaniami była taka sytuacja, że moja matka i moja babka, bo ciotki w tym czasie znów nie było, wyjechała, dyżurowały, pół nocy jedna nie spała, [pół nocy druga]. Myśmy się zamykali, zabarykadowywali, w drzwiach i w oknach miednice, by w razie czego zrobić się hałas, robiliśmy

alarmowe pułapki. I w ogóle ktoś czuwał, matka czuwała pół nocy, o pierwszej czy drugiej budziła babkę, babka siedziała do rana. To było niewątpliwie dość męczące, ale była jakaś psychotyzacja, [strach przed] tymi włamaniami, napadami złodziejskimi.

Matka miała dyżurować do północy, no i ja sobie spokojnie zasnąłem. I budzi mnie łomot, jakieś głośnie stukanie. Budzę się, jest bardzo wczesny ranek, zupełnie wczesny, olady świt, matka wyszła już do drzwi. Słysząc, że mama z kimś rozmawia, słysząc obce zupełnie głosy, męskie głosy, a na ich tle również i głos mamy. Wstaję, siedzę na łóżku jeszcze, ale słyszę, że mama z kimś mówi po rosyjsku. To nie są Polacy, bo mama mówi z nimi po rosyjsku, coś jakby tłumaczy im, słysząc, że zdenerwowanym głosem, po czym słyszę, że głos mamy zbliża się do pokoju. Ja już czuję, że coś się stało, czuję ^{lód,} w całym ciele lód. Przypomniałem sobie, że któryś z bohaterów "Trylogii", którą czytaliśmy niesłychanie zachłannie, bo to był taki okres, kiedy się czytało "Trylogię", w jakiejś dramatycznej sytuacji powiedział: "A słowo stało się ciałem". I ja tak samo powiedziałem "A słowo się stało ciałem" i w tym momencie wchodzi matka i mówi: "Henio, nas wywożą". Łapie mnie jakby spazm płaczu, matka mówi: "Heniek, uspokój się, jesteś Polakiem, zachowuj się przyzwoicie, na ciebie patrzą ludzie". I to od razu doprowadziło mnie do porządku, spuściłem nogi, nogi mam zdrętwiałe zupełnie i cały czas ten straszliwy chłód w całym ciele. Matka przechodzi do drugiego pokoju i mówi: "Mameczka, wywożą nas". Babka zrywa się, "Ale mamó, mamy na liście nie ma, oni mamę zostawiają". I słyszę tylko głos babki: "No jakże, kocińka, czyz ja mogę ciebie samą [puścić]?" Zrywam się tak samo i tylko widzę, jak babka zdejmuje zdjęcie dziadka ze ściany i mówi: "Fracieczku, jakże ^z ja ciebie zostawię"] bo dziadek, mówiłem, rok temu

zmarł. Ale widać tę ogromną determinację babki, ona absolutnie nie ma żadnych wątpliwości, że musi być razem z nami. Rzeczywiście babcia może by tutaj mogła jakoś [zostać], byli jacyś krewni, nawet bliżsi krewni, którzy na pewno by babcię przygarnęli i kto wie, czy babcia by nie dożyła jeszcze bardzo sędziwej starości. Ale na razie nie uprzedzajmy wypadków.

[W tym momencie wchodzi dwóch [mężczyzn], jeden oficer NKWD i jeden cywil, i trochę dalej dwóch żołnierzy, takich normalnych żołnierzy, jeden zupełnie o mongolskich rysach, a drugi taki "biełabrysyj", jak to się mówi, taki wielkoru^es, blondyn, wysoki. Zupełny kontrast - Kazach, nie Kazach ze skośnymi oczyma, z bardzo mongolską twarzą, a tu taki wielkorus. I czarniawy, o wschodniej urodzie, Kaukaszczyka czy południowca, lejtnant. Dość nieprzyjemny, butny, arogancki cywil. "No, sabierajties", więc zaczynamy się ubierać, zaczynamy rzucać się do jakiegoś pakowania. Robi się już zupełnie jasno, wstaje bardzo ładny dzień, słoneczny, ciepły. Ktoś pobiegł do jakichś znajomych, którzy zaczynają przychodzić, pamiętam, pani Bulandowa, pani Kuwałdinowa, z którymi myśmy już po wojnie spotkali się, właściwie skontaktowali. [Pomagają nam pakować się, pomagają zbierać jakies rzeczy, bieliznę. Mnie tak bardzo nie pilnują, więc mogę wyjść, chodzę sobie, kręcę się, przychodzą do mnie koledzy, moi znajomi z sąsiedztwa, nawet komuś dają dzienniczek do wpisania się.] Pamiętam, jeden z moich przyjaciół, Edek Wójcik, z którym się niestety dotychczas jeszcze nie spiknąłem jakoś po wojnie, też mi się wpisuje. Bardzo go poszukiwałem przez różnych znajomych, ale oni gdzieś wyjechali w czasie okupacji, już później niemieckiej, i kontakt się całkowicie urwał. Nie natrafiłem na jego ślad po wojnie. [Widzę też swoją byłą, dziecienną sympatię, która też biegnie, zobaczywszy, że już się pakuję, i

widzę, że zapłakana. Widzę takie migawki. Z kimś zegnamy się, wychodzą sąsiedzi, trochę się boją do nas tak za dużo zolizyc. Ale widać, że nikogo nie wywożą poza nami. I matka, która wpadła w nastrój, kiedy następuje ten przełom, kiedy człowiek przestaje się bać, do pewnego czasu się boi, a później przestaje, następuje przełamanie strachu, matka poczyną sobie dość swobodnie, nawet, powiedziałbym, z pewną dezynwolturą, przekomarza się trochę z tym NKWD-ystą, żartuje, mówi: "No, chociaż wy robicie nam krzywdę, czy zdajesz sobie sprawę, że ty nas wywozisz, że ty nas wywozisz na obczyznę, ale ja tobie odpuszczam", łapie krucyfiks i jego żegⁿ! I ja widzę, jak ten enkawudysta zwija się jak ten przysłowiowy diabeł, którego polewają wodą święconą. Mama zresztą też doskonale mówiła po rosyjsku, przed rewolucją jeszcze skończyła gimnazjum rosyjskie, więc znała doskonale język. Na tyle ten enkawudysta był przyzwoity, że nam dał jednak czas na spakowanie i myśmy stosunkowo dużo rzeczy zabrali. To było bardzo ważne. Nie pamiętam nazwiska tego człowieka, trzeba było podpisać jakiś papierek czy coś takiego i on podawał swoje nazwisko, widocznie trzeba było zrobić jakiś protokół. Dość, że jego nazwisko brzmiało też jakoś tak trochę z gruzińska, Mundrzan czy coś takiego, w każdym razie z tego wynikałoby, że on też był jakimś kaukaszczykiem, chyba. Zachowywał się w sposób troszkę może szorstkawy, ale widać było, że mimo wszystko w tej roli niezbyt może dobrze się czuje. Dawał do zrozumienia, żebyśmy jednak brali te rzeczy. Mama mówi: "A może ja jeszcze samowar wezmę?", a on na to "Niet, w Tułu to s samowarom nie jedut", to takie rosyjskie porzekadło, że się do Tuły nie jeździ z samowarem, bo Tuła była wielkim ośrodkiem, gdzie się produkowało samowary.

Nie mówią jednak, ~~ani~~ gdzie nas wywożą, "no, uznajecie". Być może sami nie bardzo wiedzieli, to jest inna sprawa. W kaz-

dym razie [ten enkawudysta] na tyle zachował się przyzwoicie, że mimo wszystko w pamięci zachowałem go jeżeli nie z wdzięcznością, to przynajmniej bez jakiegos antypatii i wrogości. W rezultacie w pewnym momencie sprowadzają podwoję, na którą nas ładują i ruszamy, jak się okazało, w kierunku NKWD, gdzie na dziedzińcu zbierano już tych ludzi [wywozonych].

[Duża to była wywózka? - rozm.]

To była duża wywózka.

[Jak ukierunkowana? - rozm.]

Jak ukierunkowana? Wydaje mi się, że przede wszystkim wygarnięto tych ludzi, których nie zabrano w poprzednich wywózkach. To znaczy głównie oczywiście inteligencję. W końcu przecież też można byłoby zadać pytanie, dlaczego my, rodzina sędziego, oszliśmy się w czasie dwóch pierwszych, bardzo drastycznych wywózek. To już jest, ze tak powiem, tajemnica wiadomego urzędu, Wiadomego Narodowo Komisariata. Ale z tego, co widziałem, można tylko tyle powiedzieć, że byli to ci sami [ludzie] plus zamożni Żydzi, których pierwsze wywózki nie objęły. Bo jeżeli pierwsze wywózki, to znaczy z lutego i kwietnia czterdziestego roku, głównie uderzyły w służbę leśną, w rodziny policjantów, oczywiście również inteligencję, uciekinierów, urzędników, właściwie tę kategorię ludzi, również do pewnego stopnia nauczycieli, to ta trzecia wywózka objęła, jak powiedziałem, burżuazję żydowską. I myśmy znaleźli się nawet w niektórych sytuacjach w mniejszości w stosunku do Żydów, których wtedy wywieziono naprawdę bardzo dużo. Chociażby z Nowogródka - rodziny aptekarzy, rodziny zamożnych kupców nowogródzkich, zresztą nie tylko nowogródzkich, bo i baranowickich, i sionimskich. Tak można byłoby pokrótce scharakteryzować socjalny skład tej populacji, którą wywożono w czterdziestym pierwszym roku w czerwcu.

[Panie Henryku, czy można, wybiegając naprzód w czasie, powiedzieć, że to im życie uratowało? - rozm.]

Oczywiście, co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Dla nich to było po prostu uratowanie życia. Oczywiście zdarzało się, że tam również oni umierali w ciągu tych paru lat...

[...ale nie w tym procencie - rozm.]

Ale nie w tym procencie i nie groziła im oczywiście totalna zagłada. Także biorąc to pod uwagę, to ci, których wywieziono, mogli, że tak powiem, podziękować losowi i Panu Bogu za to, że tak się stało.

Jak to wyglądało dalej? [Nas spędzano, zwozono na ten dziedziniec urzędu NKWD, który się mieścił na ulicy Słonimskiej w jednym z przed wojną wybudowanych, nowoczesnych domów, już murowanych, których nie było za dużo w Nowogródku. I stamtąd przyjeżdżały ciężarówki, według jakiejś listy pakowano na te ciężarówki ludzi i bagaże i wieziono w kierunku Nowojelni, jak się okazało.] Myśmy się już spotkali tam na dziedzińcu z paroma naszymi znajomymi, z bardzo serdecznie z nami zaprzyjaźnioną rodziną kolegi mego ojca, ś.p. pana Henryka J. Konarkiewicza, który był wiceprezesem Sądu Okręgowego, kierownikiem Wydziału Cywilnego. Jego aresztowano parę miesięcy przedtem, a rodzina, to znaczy żona, teściowa, szwagierka i córka, mała dziewczynka, te cztery panie znalazły się razem z nami, myśmy później, na Syberii dzielili nasze losy. Widzieliśmy się tam jeszcze, trochę jakby poprzez płot, z pewnego oddalenia, z dwiema serdecznymi przyjaciółkami mojej mamy, które tam blisko mieszkały i widziały to wszystko, bo to dosłownie się rozgrywało na ich oczach. Ktoś jeszcze coś nam chyba podał. Wiem, że jakiś kontakt był, myśmy nie byli tak bardzo obstawieni, także istniał jakiś przepływ informacji, mówiło się trochę, kogo wywożą. Także ci ludzie

z zewnątrz odwazali się do nas podchodzić, bo też w końcu trzeba było trochę zaryzykować, w takich sytuacjach nie wiadomo, co komu strzeli do głowy, czy tym strażnikom nagle nie przyjdzie do głowy, żeby jeszcze kogoś zgarnąć. To są rzeczy żywiołowe.

Ładują nas wreszcie na ciężarówkę. Pamiętam, że doładowują do nas młodego chłopaka, jakieś dwa, trzy lata ode mnie starszego, który dźwiga pod pachami dwa bochenki chleba, jak dziś pamiętam. Nazwisko tego chłopaka brzmiało Dobrzyński. Wiele, wiele lat później, teraz, na Zjeździe Nowogródzian w Częstochowie, bo my mamy takie zjazdy, ale może później o tym wspomnę, udało mi się dogadać z jego krewnym i dowiedzieć, jakie były dalsze losy tego chłopaka. Ale nie będę wdawał się w dygresję.

W każdym razie ruszyliśmy. Pogoda cały czas jest piękna, cudowne lato. Nowogródek zaczyna się oddalać. Jak już tutaj wspominałem, Nowogródek jest położony na wzgórzu, oprócz tego teren Nowogródziny jest sfalowany, więc ta szosa, po której jedziemy, szosa idąca na Nowojelnię i na Słonim dalej wznosi się i opada i Nowogródek to znika, to znów jeszcze się pokazuje, oczywiście z coraz większego oddalenia, w kurzu, w słońcu. Tak jakoś ulokowałem się na tych bagazach, że siedzę z twarzą zwróconą wstecz, mam przed oczyma to zanikające miasto mego dzieciństwa. Ale, muszę powiedzieć, że w tym czasie więcej mnie pochłaniała cała przyjemność jazdy i tego pędu, i czegoś nieznanego, bo w końcu to napięcie, ten strach, to wszystko opadło i człowiek raczej oddał się przyszłości i tej wielkiej przygodzie. Tak przynajmniej odbierałem to jako jedenastoletni smarkacz.

[Dlaczego samochodami? - rozm.]

To właśnie były te ciężarówki, o których tu wspominałem i których przyjazd do Nowogródka obserwowała moja mama, siedząc [w oknie].

[A kolei nie było? - rozm.]

Była wąskotorówka, ale po prostu to było łatwiejsze, sprowadzić gdzieś z Mińska czy skądś kolumnę ciężarówek, które się zajmowały wywożeniem nas. No, bo kolejka, cóż, to była wąskotorówka, tam musiałyby być cała masa wagonów. Były oczywiście wagony towarowe, to po prostu im się nie opłacało, widocznie było jakoś łatwiej dowieźć ludzi w ciągu niecałej godziny do Nowojelni, dwadzieścia kilometrów, do stacji kolei szerokotorowej.

Juz po drodze, przed Nowojelnią, spostrzegam jakieś pojedyncze działa, jakieś zaprzęgi, od czasu do czasu zdarzają się tankietki. Widać, że ten teren jakby nasycy się trochę wojskiem. Ale myśmy już przedtem, na dobrych parę dni przed wywozem żyli w oczekiwaniu możliwości wojny, wiedzieliśmy o tym z radia londyńskiego ^{które} na podstawie nasłuchu radiowego informowało o koncentracji wojsk niemieckich nad granicą niemiecko-sowiecką. Także trzeba podkreślić, że myśmy czuli juz tę atmosferę zblizającej się wojny, zblizającego się konfliktu. Bo myśmy przez cały czas wiedzieli, że trwa wojna, dla nas wojna nie skończyła się, broń Boże, wejściem siedemnasego września Sowietów, tak jak to zresztą przedstawiali niejednokrotnie: „nareszcie wypawiliśmy was od wojny”. Pamiętam taki bardzo agresywny plakat „U nich - u nas”. Z jednej strony pożary, palące się miasto, wznośzący się gdzieś samolot, idąca kobieta z rozwianym włosom i trzymająca dziecko, ze ~~wzniesi~~ jedną ręką, jakby groziła temu wrogowi z nieba, pozoga wojenna - a „u nas” pokój, demonstracja pierwszomajowa, ryła, pyski roześmiane. I później, jak przypominałem sobie to w czterdziestym pierwszym roku, kiedy ich dotknęła wojna, to dopiero [odczułem] tę drastyczność, to chamstwo tej propagandy, jak możecie, psiakrew - [myślałem] - za-

rzekać się, że was nie spotka to, co was w rezultacie w rok potem spotkało. Bo to był gdzieś tak z czterdziestego roku plakat, "U nich i u nas".

Więc myśmy wiedzieli, że ta wojna się zbliża. Czternastego był ten słynny komunikat TASS, który świadczył o tym, że Rosjanie wierzą jednak w sojusz z Niemcami, że nie dadzą się sprowokować. To był ten słynny stalinowski komunikat, który, jak twierdzą historycy, do pewnego stopnia rozładował i niejednokrotnie uspił czujność, czysto strategiczną czujność sowieckich ośrodków wojskowych. Ale nie będziemy już na ten temat rozmawiać, bo to są kwestie czysto historyczne. Ale jest faktem, że nasza świadomość zbliżającego się konfliktu była bardzo wyraźna tuż przed wywozem i nawet w trakcie wywozu oraz w najbliższych godzinach mogliśmy spodziewać się, że może coś nastąpić, że być może ta wojna wybuchnie lada godzina, że my zostaniemy w jakiś sposób odbici i nas nie zdążą wywieźć. Na przykład starszą panią, którą myśmy później przygarnęli, mniej więcej w wieku mojej ś.p. babki, panią Helenę Woronowiczową, córka wyprawiała tak, jak ona stała, to znaczy w ubranku, jakiejś sukieneczynie, sweterku, jakimś płaszczku, z małym jasieczkiem i z talerzykiem, łyżeczką czy sztućcami, kubeczkami, mówiąc: "Mamo, lada chwila wybuchnie wojna, to za parę godzin będziemy znów razem". I tak się złożyło, że tę staruszkę wywozono, a córkę z mężem i z dziećmi zostawiono. Córkę, rodzoną córkę zostawiono, po prostu ona nie była na liście.

Pani Woronowiczowa była matką trzech synów, kolejno: kapitana, porucznika i podporucznika wojsk polskich. Tylko jeden z nich, najstarszy, kapitan Wacław Woronowicz ocalał, właściwie [trudno powiedzieć], że ocalał, przeszedł wojnę i zmarł już w Londynie jako major łączności, zresztą służył w I Dywizji Pan-

cernej generała Maczka. A dwaj młodszy synowie, Edward, który chyba służył w 77 Pułku w Lidzie, i Romuald, [zginęli]. Jeden z nich, zdaje się, zginął gdzieś pod Lwowem w trzydziestym dziewiątym roku, a drugi wrócił ranny do Nowogródka z kampanii wrześniowej i tam ze względu na swoją narzeczoną został, zamiast uciekać. Trochę by się odkurował, bo miał bodajże ścię-gno Achillesa zerwane, był w każdym razie ranny w nogę. I nie mógł się ciągle zdobyć na wyjazd, bo naprawdę wystarczyło tylko gdzieś wyjechać i być może oni daliby mu spokój czy straciliby go z oczu. Tymczasem go parę razy zaproszono do NKWD na rozmówki, kto on jest. Młody oficer, podporucznik dwudziestoparoletni. To puścili go, ale to była zupełnie zabawa kotka z myszką. Puścili go i on w dalszym ciągu siedzi następnych parę tygodni w domu. Znow go wzywają, tym razem aresztują go "na fest". I zaginął zupełnie, nie wiadomo absolutnie, co się z nim stało. Żadne późniejsze poszukiwania nie dały jakiegokolwiek rezultatu.

Córkę pani Woronowiczowej, starszą, panią Jadwigę Kubasową wywieziono w czterdziestym roku, natomiast panią Wandę Cie-slewiczową zostawiono, z mężem. Nawiasem mówiąc, mąż później miał bardzo ładną kartę, był jednym z tych, którzy organizowali AK na terenie Nowogródka, w czterdziestym czwartym czy piątym został aresztowany i skazany na karę śmierci zamienioną na dziesięć lat więzienia. Wrócił na szczęście, jeszcze nawet zastał swoją teściową, która z nami przybyła, ale nie uprzedzajmy wypadków.

Na razie nastroje były tego rodzaju, że córka, wyprawiając matkę bądź co bądź w niewiadome, była tak nieomalże pewna, bo oni mieli tam jakieś radio i dość regularnie słuchali komunikatów, była przekonana, że matka wróci za kilkanaście go-

dzin. Zanim wywiozą nas gdzieś dalej, nastąpi już [wybuch wojny]. Wszyscy zresztą, nawiasem mówiąc, co jest bardzo charakterystyczne, wszyscy niemal byli absolutnie przekonani, że ta wojna będzie klęską dla Rosjan, że w zderzeniu z Niemcami zacznie się od razu od ogromnej klęski, co zresztą się w zupełności potwierdziło. Przecież to, co się rozegrało w pierwszych dniach ostatniej dekady czerwca, to była potworna klęska i potworna ucieczka całych armii sowieckich.

[Ale na razie zawieziono nas do tej przepięknej Nowojelni, którą pamiętałem ze swoich wyjazdów wakacyjnych jeszcze z dzieciństwa. I tam z pokrzykiwaniami ładują nas do eszelonu, ładują nas do pociągu. Pociąg oczywiście stoi na dworcu, jest potworny upał, pakują nas z tymi naszymi bagażami do ciemnych wagonów z zamkniętymi oknami. To są normalne towarowe wagony, ale mają tak drzwi zaklinowane, że przejścia są stosunkowo wąskie. Nasze bagaże udało się zapakować do dwóch dużych, solidnych, fibrowych kufków, których nie można było wepchnąć, bo były tak wąskie przejścia. Więc myśmy musieli z tych kufków wywalać wszystko, ubrania, nie ubrania, rzucać to wszystko na kupę do tego ciemnego wagonu, a te kufry enkawudyści zabrali do swojego z kolei wagonu, powiedzieli, że je nam oddadzą na końcu podróży.

Więc pakujemy się [do wagonu] w dzięki przypadkowi dobrym towarzystwie. Bo tak się złożyło, że z nami była pani Janina Jotkowa z całą jej rodziną, więc już myśmy trzymali się razem, zresztą jechaliśmy razem tą ciężarówką i udało nam się wpakować do tego samego wagonu. Oni tam jakoś odliczali, a wszystko to odbywało się w potwornym chaosie, we wrzasku, w krzykach. Ale wpakowali nas do tego [wagonu], zamknęli drzwi i jesteśmy w okropnej ciemności, w zwałach tych rzeczy, zaczy-

namy się przekrzykiwać, kto tam jest, znów rozpoznajemy znajomych, państwa Łazowskich. Pana Łazowskiego z jego trzema siostrami, z tym że dwie to panny Łazowskie, jedna to pani Żonyrkiewiczowa. Jest ktoś jeszcze, ale to jakieś zupełnie nieznane osoby. Próbujemy coś jakoś uporządkować w tej ciemności okropnej, troszeczkę tylko przejaśnianej jakimiś promieniami słońca, przechodzącymi przez szczeliny w wagonie. I mniej więcej po jakichś paru godzinach tego kompletnego zamieszania i nieprawdopodobnego bałaganu zaczynają rozlegać się krzyki ludzi wywołujących nazwiska. Okazało się, że większość rodzin, jeżeli kogoś z bliskich miała wśród tych wywiezionych, to dowiedziawszy się, że nas odwieźli do Nowojelni, czym prędzej skrzykiwała się, wynajmowała jakieś podwozy i furmanki i przez te dwadzieścia kilometrów rwała w kierunku tej Nowojelni, żeby coś jeszcze dowieźć.

Mówiłem o tym, że ci enkawudyści, którzy nas wywozili byli stosunkowo jeszcze przyzwoici, to znaczy nie na tyle poganiaili nas, żebyśmy nie mogli zebrać najważniejszych rzeczy, ale zapomnieliśmy po prostu, nie zabraliśmy pościeli, żadnych kołder, żadnych koców, poduszek, niczego. Nie zabraliśmy tych worów, dwóch bodajże worów z sucharami, które jeszcze ś.p. mój dziadek suszył z myślą, że mogą nam się przydać. Ale na szczęście kuzynka mojej mamy, ś.p. ciocia Maryja Zielna porozumiała się z naszym kuzynem Piotrem Białynickim-Birula, zebrali to co myśmy tam zostawili jeszcze, wynajęli jakąś furmankę i właśnie kuzyn mój Piotruś, to znaczy kuzyn mojej mamy, ale ja go też jakoś tak nazywałem po imieniu, przyjechał z nauczycielką, znajomą ciotki Maryni, która też zechciała przyjechać. I oni przyjechali do Nowojelni i teraz wraz z tłumem podobnych biegają wzdłuż tego eszelonu i wykrzykują nazwiska. więc jest nie-

prawdopodobny gwar, wszyscy drą się, całe wagony, po kilkadziesiąt ludzi w wagonie drze się, wykrzykując z kolei swoje nazwiska, gdzie kto jest. Słyszę nazwisko "Bułhak! Bułhak!" i później nagle słyszę, że ten ktoś oddala się krzycząc, więc wrzeszczę przez to zamknięte okno i to trwa dosłownie godzinami. Gdzieś słychać jakiś łomot, widocznie ktoś w końcu otwiera te wagony. Mówię matce: "Mamo, ja słyszę, że nasze nazwisko wykrzykuje ktoś, chyba Piotruś przyjechał, bo to jakby jego gros". I w pewnym momencie drzwi się otwierają, "Bułhak!" - ktoś wrzeszczy, "tutaj! tutaj! tutaj!" - krzyczymy, przewracając się, rzucamy się do tego wyjścia i patrzymy, rzeczywiście Piotruś jest, stoi pod wagonem i wrzuca nam ten jeden czy dwa worki sucharów, enkawudzista trzyma drzwi otwarte, "skorzej! skorzej! skorzej!". My coś mówimy, pytamy się, Piotruś mówi "Słuchaj, jeszcze mam pościel", ale widocznie musi polecieć po nią do tej podwody. Więc znów zatrząskują drzwi, ogarnia nas niepewność, czy on odszuka nas, ale potem drugi raz otwierają te drzwi i tę pościel z największym trudem nam wciska, ten cały tłumok z pościelą. Jeszcze wrzucono nam jakieś jedzenie, ta nauczycielka, chyba pani Jadwiga się nazywała, zdołała coś jeszcze na dworcu nam kupić, jakieś masło czy nie masło. Udało nam się jeszcze zamienić kilkanaście czy kilkadziesiąt zuań i zegnamy się, zatrząskują nam znów te drzwi i zostajemy w ciemności. To wszystko, ten cały rozgardiasz trwał do wieczora, na wieczór troszeczkę jakoś się uspokoiło i zaczynamy się troszeczkę, trudno powiedzieć urządzić, bo w tak potwornej ciemności nie można ani nic odszukać, ani nic [zrobić]. [Więc siedzimy jakoś na tych swoich manatkach i tak około godziny jedenastej wieczorem, kiedy zaczął nas już sen morzyć ze zmęczenia i upału, ruszamy.] Chłodne powietrze przedostaje się przez szczeliny wagonu, jedziemy, trwa to może go-

dzinę, może trochę dłużej.

Łoskot buforów, zatrzymujemy się, gwizdy parowozów, a więc jakaś większa stacja. Domyślamy się, że to są Baranowicze. Pan Brama Łazowski czy ktoś inny pyta się, która godzina, ktoś zapala zapałkę, okazuje się, jedenasta. A więc myśmy musieli chyba jednak przed dziesiątą z tej Nowojelni ruszyć. Dopiero nad ranem zapadamy w sen, oczywiście niespokojny, przynajmniej ja zapadam. Rano w Baranowiczach w pewnym momencie słyszymy jakieś tupotanie nóg po suficie, to znaczy po dachu wagonu, w pewnym momencie otwierają nam okna. Tak jakby niewidomy odzyskał wzrok. Ogromna radość, mamy nareszcie te okna otwarte, oczywiście oni przykręcają dwie sztaby, że niby trochę to okno jest zakratowane, w każdym razie jest już powietrze, jest ta kłapa, którą ewentualnie można albo zamknąć, albo otworzyć, no i widzimy w końcu, co się dzieje na świecie. Oczywiście to są Baranowicze.

Myśmy w tych Baranowiczach stali do mniej więcej godzin południowych i chyba jakimś bardzo wczesnym popołudniem ruszamy. Domyślamy się, że to już jest jazda daleka. Ogarnia nas więc świadomość powagi chwili. Widać było, że manewrowaliśmy, dołączają jakieś wagony, po prostu formują eszelon, bo w końcu w tej Nowojelni było parę wagonów ^[ludzi] zwiezionych z Nowojelni, z Nowogródka i najbliższych jego okolic. Więc tam było parę wagonów, a ^{już} później formują cały pociąg, który, jak się okazało, miał co najmniej czterdzieści parę wagonów. Ten eszelon objął trzy ośrodki, to znaczy Nowogródek, Baranowicze i Słonim. To były te trzy ośrodki, z których skomponowano ten nasz eszelon. Myśmy na przykład jechali wagonem czterdziestym szóstym. Więc to był drugi pociąg. Chyba nawet więcej musiał mieć [wagonów]. Pamiętam, że później na jakimś zakręcie, nie przypominam sobie, czy to było na Uralu, czy gdzie indziej, gdzie były ser-

pentyny, to naliczyłem gdzieś w okolicach sześćdziesięciu wagonów. Ale nie wiem, może to były jakieś doczepione wagony, trudno powiedzieć. W każdym razie z tego terenu województwa nowogródzkiego było co najmniej czterdzieści parę wagonów.

No i jedziemy, cały czas pogoda piękna, mijamy te nasze stacje, Horodziej i inne, zbliżamy się do Stołpc, stacji granicznej na dawnej polsko-sowieckiej granicy. Upał doskwiera, wody oczywiście jest mało i pamiętam, zatrzymaliśmy się w tych Stopkach. Jakaś pani, widocznie kolejarka, chwyta za wiadra i roznosi wodę. Spuszczamy na sznurkach jakieś pojemniczki, butelki, i wołamy do niej: "Proszę pani, może pani [przyniesie] jeszcze dla nas jakieś wiaderko wody". I ona leci do studni^d, która stoi niedaleko, zaczyna pompować, lecz w tym właśnie momencie nasz pociąg rusza i widzimy, jak ta kobieta stoi i płacze. My machamy jej rękami, oczywiście dziękujemy. Jedziemy bez wody.

Każdy wie, dorośli wiedzą, że za Stołpcami zaczyna się już Sowiecki Sojuz. Bo to jest przecież ta przedwojenna granica. [Ktoś mówi: "Tu za parę kilometrów będzie dawna nasza granica".] Godzina była mniej więcej, jak tak obliczam, chyba czwarta, może piąta po południu, może nawet wcześniej to było, w każdym razie była bardzo jeszcze piękna pogoda. [I zdajemy sobie sprawę, że gdzieś mijamy tę granicę. Kto może, to ciśnie się do tych otwartych okien i w pewnym momencie zaczynamy śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła". Wiemy, że już jest dla nas przekroczenie jakiegoś etapu, opuszczamy ojczyznę] wkraczamy w ten kraj, który zresztą nie był tak bardzo obcy dla nas. Starsze pokolenie doskonale przecież pamiętało tę Mińszczyznę, z której i moja rodzina się wywodziła cała, myśmy jechali właściwie terenami, które były kiedyś tą najbliższą ojczyzną mojej rodziny.

Wieczorem, a właściwie o takim bardzo ładnym, jeszcze wcze-

snym zmierzchu, a może nawet jeszcze było zupełnie jasno, to jest przecież dwudziesty pierwszy czerwiec, wjeżdżamy do Mińska. W Mińsku staliśmy chyba do nocy, w nocy zdają się wyjechaliśmy. Dość, że rano dwudziestego drugiego czerwca zastał nas w Orszy. Pamiętam, że była pochmurna pogoda, po tych pięknych dniach. Matce wtedy udało się uprosić, żeby mnie wypuszczono z wagonu, jak to się mówi, za własną potrzebą, bo miałem pewne trudności, takie już nerwowe. Zresztą to był jedyny raz, kiedy w ciągu dwóch tygodni dotknąłem nogami ziemi.

W dalszym ciągu stoimy na tej stacji w Orszy i w pewnym momencie widzimy, że mija nas eszelon. Też z numerami wagonów, wymazanymi krełą. Polacy! Ogarnia nas więc ogromna radość, "Co? Skąd?" - "Brześć!". Brześć, eszelon z Brześcia. Zatrzymują się koło nas o parę torów dalej, pytają: "Słuchajcie, czy wiecie, co się stało?", my mówimy "Nie!". "Jak to?! - jakiś pan krzyczy - wojna! wojna jest!!!" Nieprawdopodobny zryw, eksplozja nieprawdopodobnej radości. Wojna, to czegośmy się spodziewali. "Kiedy?" - "No rano mówi - dzisiaj wybuchła wojna!" Wszyscy krzyczą przez siebie, no nareszcie stało się, nasi wrogowie się nareszcie zwarli w śmiertelnym chwycie. Przekrzykujemy się więc z tymi rodakami z Brześcia, później ich przetaczają gdzieś, kontakt się rwie, ale u nas ^{w wagonie,} jest euforia w dalszym ciągu i jak to u Polaków, od razu się tworzą dwie partie. Jedna partia twierdzi, że w tej chwili Sowieci stają się automatycznie naszymi sojusznikami i w związku z tym nasza sytuacja się od razu poprawi, bo przecież wrogowie naszych wrogów są naszymi wrogami. A inni twierdzą, że nie, że dobrze będzie, jeżeli Niemcy rozbiją Sowietów, a później Anglicy... To oczywiście takie domorosłe politykowanie. Ale właściwie większość uważa, że ta sytuacja jest niewątpliwie dla nas niebywale wy-

godna, że wcześniej czy później uzyskamy jakiś inny status, jako ci zesłańcy, i że w tej chwili powinniśmy mimo wszystko orientować się, w sensie politycznym, na Sowietów, którzy po prostu stają się automatycznie naszymi sojusznikami, a również staną się sojusznikami naszych sojuszników, to znaczy Anglików i Francuzów. Chociaż na Francuzów w tym czasie nie liczyło się, głównie na Anglików. I tak zresztą stało się.

To był ten moment, który nas niezwykle podbudował psychicznie, także przez te blisko dwa tygodnie jazdy w głąb Rosji panowała już zupełnie inna atmosfera. Jechaliśmy bardzo szybko, spotykaliśmy masy eszelonów z wojskiem, które szły ze wschodu na zachód. I tutaj taka mała dygresja. Że trzeba było być nieprawdopodobnie zaślepionym, żeby bądź co bądź na kilka dni przed możliwym wybuchem wojny, wprowadzić Stalin do końca wierzył, że tej wojny się da uniknąć, jeżeli Sowietów się nie dadzą sprowokować i zachowują absolutną lojalność, żeby na parę dni przed ewentualnym wybuchem wojny angażować tysiące, bo to w końcu szło w tysiącach, tysiące wagonów dla wywożenia ludności z tego pasa, nazwijmy go, granicznego, bo tak można określić kresy, które były tym najbliższym, bezpośrednim zapleczem granicy sowiecko-niemieckiej, wtedy, kiedy ten transport był potrzebny. Potrzebny do przetrzucania wojsk z Syberii i z innych rejonów do europejskiej części Rosji. Ale to już było zmartwienie sztabowców sowieckich, ale tym niemniej to był przecież nonsens w gruncie rzeczy. Prawdopodobnie ten nonsens, który ich porządnie kosztował. Na ileś tam tygodni te wagony były przecież uwiązane, wypadły z ruchu potrzebnego do transportu, do koncentracji sowieckiej itd.

Muszę powiedzieć, że zaczęto nam jednak dawać jedzenie i tu chcę dodać, jak mniej więcej wyglądała tak od strony tech-

niczno-organizacyjnej ta nasza wywózka. Rzeczywiście na paru stacjach dano nam jedzenie, choć to można policzyć nieomalże na palcach jednej ręki. Pamiętam, że pierwszy raz dostaliśmy chyba właśnie w Orszy jakiś obiad, właściwie nie obiad, ale jakąś kaszę, jakąś zupę, drugie danie to też przeważnie była kasza albo coś takiego. Ale zawsze to jedzenie gorące było. I oprócz tego rzeczywiście na większych stacjach wypuszczano po dwie przeważnie osoby z wagonu, które szły z wiadrami po tak zwany "kipiatok", czyli wrzątek. To jest taka normalna, sowiecka, rosyjska specjalność, że na wszystkich większych stacjach są duże i stamtąd ten wrzątek się bierze, i robi się herbatę. Dla nas to było istotne, bo myśmy to życie jakoś zaczęli organizować, w końcu trzeba było. Poza tym można było coś niecoś kupić na stacjach. Bo jednak, gdy stawaliśmy na większych stacjach, to babcie nosiły jakieś jedzenie, wszystko to było bardzo nędzne, ale przynajmniej jakieś sery, mleko można było czasem dokupić.

[Nie zapomnę sceny, którą muszę tutaj przytoczyć, bo głęboko zapadła [mi w pamięć]. Rozgrywała się ona na stacji, która, o ile zapamiętałem, nazywała się Pawlinowo, gdzieś za Smoleńskiem. Mniej więcej w dzień po opuszczeniu Smoleńska, gdzie byliśmy drugiego dnia, chyba dwudziestego drugiego wieczorem, też chyba staliśmy tam całą noc i może dopiero nad ranem ruszyliśmy dalej, w każdym razie zatrzymujemy się na jakiejś stacji i widzimy tłum ludzi czekających na pociąg. Babcie, stojące z jakimiś kobiałkami, koszykami, przypatrują się, my patrzymy na nie. Nieśmiało, ale zaczynają się do nas zbliżać, "kto wy taki-je?", my zaczynamy mówić, że jesteśmy z "Polszy". Osoby, które lepiej znają rosyjski, zaczynają przez okno konwersację z tymi babami, które się coraz bardziej zbliżają do nas, przechodzą

przez tory, bo stały na peronie, trochę dalej od nas. Moja mama zaczyna perorować, że jedziemy z kraju, gdzie są kościoły, gdzie się ludzie modlą, gdzie jesteśmy ludźmi wierzącymi. Jednym słowem [rozwiła] taką propagandę, zresztą mama w tym celowała, w tych rozmowach, znała doskonale rosyjski, także myśmy nawet śmieli się w wagonie, nazywając ją "apostołem Syberii". I te baby z coraz większym zrozumieniem słuchają tego wszystkiego i w pewnym momencie zaczynają nam wszystko rzucać, co mają z jedzenia. I ten moment zapamiętałem na całe życie. Taki wspomniały ludzki odruch tych biednych kołchoźnic, którym na pewno się nie powodziło dobrze i które pod wpływem tego nagłego odruchu serdecznego zaczynają nam dawać wszystko. One jechały, nie pamiętam, czy na jakiś rynek, czy bazar, czekały zresztą na jakiś pociąg idący w stronę Smoleńska, czyli w odwrotną stronę niż my. Pamiętam tylko, jak jakaś baba rzuca we mnie zawiniątkiem, okazało się, że to były landrynki, ^{takie,} [zbitte, zlepięne. Zaczynają nalewać nam do jakichś kanek, do butelek mleko, rzucają masło, sery, kawałki chleba.] Nas też ogarnia wzruszenie i w tym momencie gwizdek, wjeżdża z łomotem pociąg pośpieszny, który nas oddziela. One już później się cofają na peron, my coś do nich krzyczymy, oczywiście podziękowania i teraz nasz pociąg z kolei rusza. Ale to zetknięcie z takim prawdziwym odruchem serdeczności w gruncie rzeczy bardzo dobrego ludu rosyjskiego, bo to było właśnie zetknięcie z tym prawdziwym rosyjskim ludem, to byli chyba Rosjanie, trudno jednak przypuszczać, żeby to była ludność białoruska, raczej Rosjanie, bo rozmawialiśmy po rosyjsku, to musiało już być dość daleko za Smoleńskiem, na terenie już tej, nazwijmy to, właściwej Rosji, więc to zetknięcie, można powiedzieć chyba, że na całe życie w jakiś sposób zdeterminowało mój stosunek do Rosjan. W końcu ću-

żo różnych upokorzeń doznałem na Syberii, bo przecież nie zawsze te stosunki układały się dobrze. Ale ogólnie biorąc, wyniosłem i zarówno z moich doświadczeń tych syberyjskich, jak i właśnie z tego pierwszego doświadczenia, które było dla mnie bardzo wzruszające, wyniosłem przekonanie, że jest to naród na pewno o bardzo dużych, chociaż może nawet często głęboko tkwiących, nieraz przykrytych cechami, które wyrobiła ta ciężka niestety dola ludu rosyjskiego, o dużych pokładach dobroci. Naród rosyjski w moim przekonaniu jest au fond narodem dobrym, narodem skłonny do jakichś bardzo pięknych, ludzkich odruchów. Tylko, że niestety jest to naród, który był poddany tak daleko idącym psychicznym, charakterologicznym ciśnieniom, tak dalece był poddany różnym ciśnieniom, że wyrobił w sobie również i cechy brutalne.

Tutak można byłoby dodać i to trzeba nawet dodać, że ludność, z którą myśmy spotkali się na tej stacji, to było jednak pokolenie starsze. To było to pokolenie, które pamiętało prawdopodobnie przynajmniej czasy przedrewolucyjne i które zachowało ten pewien etos. Gorzej było już z tym pokoleniem, które właściwie ukształtowało się w okresie władzy radzieckiej, ale o tym będziemy mówili nieco później, kiedy z kolei będę dzielił się swoimi refleksjami z moich spostrzeżeń syberyjskich. Na razie to jest moje pierwsze zetknięcie z tym ludem rosyjskim, poprzez okna wagonu.

Jedziemy dalej, jedziemy dalej, omijamy Moskwę, zdajemy sobie sprawę, że przez Moskwę nas wieść nie będą. Pamiętam, bo później sobie zresztą odtwarzałem tę marszrutę na jakichś dość dokładnych mapach kolejowych Związku Sowieckiego. Zdaje się, że myśmy jednakowoż jechali również słynny i niestety dla nas pamiętny Kozielsk. Bo myśmy omijali trochę Moskwę od po-

ładnia i w rezultacie jechaliśmy przez Penzę, jechaliśmy przez dawną Samarę, czyli Kujbyszew, tam zresztą mieściła się polska ambasada, bo tam była jakby taka druga stolica w tym okresie najbardziej dramatycznym w końcu czterdziestego pierwszego roku, w czasie wojny. I tutaj nasuwa mi się jeszcze jedno wspomnienie. Te coraz większe przestrzenie, ten ogrom obszarów oddziaływał szalenie na wyobraźnię człowieka. To było zetknięcie z zupełnie innym wymiarem. My, jednak mieszkający w Europie Środkowej, jesteśmy przyzwyczajeni do troche innych wymiarów, do innej skali. Ta skala rosła nam w oczach. I te przestrzenie stawały się coraz bardziej ogromne, coraz bardziej nieogarnione. To tak, jak sformułował, zresztą bardzo przyzwoity i bardzo dobry poeta sowiecki, Twardowski, znany ze swojej bardzo liberalnej postawy, jeden z promotorów Sołżenicyna, on napisał taki poemat "Za dalju dal'". I rzeczywiście to doskonale oddaje, czym jest ta przestrzeń Euroazji, która zaczyna się gdzieś, jak powiadam, za Dnieprem, a kończy na Oceanie Spokojnym we Władywostoku. Oczywiście w Międzyczasie jest Ural, ale do Urалу jeszcze na razie się nie zbliżyliśmy, natomiast zbliżyliśmy się do czegoś, co tak samo zrobiło na mnie wrażenie, mianowicie do Wołgi. Pamiętam ten przejazd przez Wołgę, przez most, który zresztą poprzedzały ogromne, ogromne rozlewiska, całe obszary jakiejś gęstwiny niesamowitej, jakichś krzewów, zarośli nadrzecznych, bagien, szuwarów, [które rozciągały się] zanim myśmy dojechali do właściwego koryta samej Wołgi. Sam przejazd przez Wołgę trwał, o ile sobie przypominam, ktoś to chyba nawet obliczał, mniej więcej z pół godziny. Oczywiście pociąg jechał wolno, ale w każdym razie ten most był rzeczywiście [długi]. I to był też moment, powiedziałbym, ogromnego wzruszenia. Majestat tej wspaniałej, ogromnej rzeki, nie mającej mimo wszystko żadnej analogii w Polsce ani wśród

V
blizej nam znanych rzek europejskich, był tego rodzaju, że nawet myśmy zaczęli śpiewać "Wołga, Wołga ma ciarnaja", to taka znana [pieśń], bardzo piękna, krółą starsze pokolenie znało z taką smutną, bardzo zresztą charakterystyczną dla mentalności rosyjskiej pieśnią I my nucąc tę pieśń, przemierzyliśmy tę wspaniałą Wołgę.

Chyba w godzinę potem wyjechaliśmy do Kujbyszewa, zresztą chyba też tam dostaliśmy jakiś obiad. Poczym znaleźliśmy się na rozdrożu. Osoby, które miały jakieś mapy, dawały do zrozumienia, że tutaj zobaczymy, dokąd nas powiozą, czy pojedziemy na południe, raczej w kierunku Kazachstanu i dalej, tam, gdzie szły drogi naszych rodaków z kwietniowego wywozu, czy też pojedziemy bardziej na północ, na wschód, czyli na Syberię. I później, kiedyśmy ruszyli z Kujbyszewa i kiedy pojawiły się pierwsze stacje, to okazało się, że nas wiozą w stronę Ufy, a więc, że jedziemy na Syberię.

I rzeczywiście, w Ufie byliśmy chyba [tego] dnia wieczorem, potem, zdaje się, cały dzień upłynął nam na przemierzaniu Uralu, który jest pasmem bardzo charakterystycznym, bo to jest pasmo dość wąskich gór. Po drodze zatrzymaliśmy się w miejscowości Złotaust, to taka duża stacja, a już po drugiej stronie Uralu było duże miasto, znane zresztą ze swojej fabryki traktorów, Czelabińsk. Sam przejazd przez Ural był bardzo malowniczy, bo to piękne, stare góry, dość niewysokie. Linia kolejowa szła serpentynami, także myśmy mogli spokojnie liczyć sobie te wagony, od parowozu począwszy, a kończąc na ostatnim wagonie. To wszystko razem było rzeczywiście przyjemnym i, powiedziałbym, ładnym przeżyciem estetycznym, ten przejazd przez Ural. A później jechaliśmy na właściwą Syberię, która zresztą nie okazała się być od razu taka bardzo typowa, bo to były przecież tereny pozabawione już częstokroć lasu. Te wielkie lasy zaczynają się zaw-

sze dość daleko od transsyberyjskiej linii kolejowej, wzdłuż której właściwie zostały już wytrzebione, wycięte, także są to tereny raczej ustepowione, duże równiny porośnięte małymi laskami, tak zwanymi "tajoszkami", brzeziniakami itd. Osiedli coraz mniej, nawet mniej niż w Rosji europejskiej, stacje coraz rzadsze, nieraz jedzie się po parę godzin, po pięć, sześć godzin bez zatrzymania, gdzieś zatrzymujemy się na jakichś rozjazdach, ciągle mijają nas przeważnie eszelony wojskowe.

Tę lesistą Syberię dopiero zobaczyliśmy chyba w okolicach Omska, może dopiero nawet w okolicach Nowosybirska, gdzie lasy bardziej podchodzą pod tę linię. To zresztą różnie bywa, bo czasem i nie. Ale zetknięcie z właściwą tajgą nastąpiło o wiele później, kiedyśmy się znaleźli już na miejscu. [Na razie] krajobraz był raczej monotony, ale w jakiś sposób dość malowniczy.

I tak gdzieś czternastego dnia jazdy, chyba to było czwartego lipca rano, to można byłoby obliczyć, tak, czternasty dzień od wywozu, także to był chyba czwarty lipiec, zatrzymaliśmy się a właściwie w wagonie wczesnym rankiem na jakiejś stacji. W eszelonie^v było jakieś dziwne poruszenie, że chyba dobiliśmy do końca, do stacji docelowej. Zaczynają nas manewrować, przetaczają nas, co nie było specjalnie dla nas rzeczą nową. W pewnym momencie widzimy, że rozłączyli nas, bo ten eszelon, jak powiadam, miał te kilkadziesiąt wagonów. widzimy, że część z nich została, przekrzykujemy się, ale nas wiozą na bocznice. Wjeżdżamy i widzimy tłum enkawudzystów, głównie zresztą oficerów w tych charakterystycznych czapkach z niebieskimi denkami, nazywaliśmy ich od tego "niezapudki", czyli niezapominajki, bo oni mieli czerwone otoki i niebieskie denka czapek. No i tak obserwują nas, gdy przetaczają nas na bocznice, [dalej] jakieś baraki stoją. „No i rozdorzajsia!” Ot-

wierają nam wagony, no i rozgorzajšia. Więc wysiadamy i zaczynamy czym prędzej przenosić swoje toboły do tych baraków, które się napełniają tym szalonym gwarem ludzkim. Baraki są duże, jakby to były jakieś składy, później się okazało, że była to tak zwana "stara imielnica", czyli stary młyn, po prostu normalne, duże magazyny, drewniane, zupełnie prymitywnie zrobione z dużych bali. Co to jest za miejscowość? Mignął nam gdzieś [drogowskaz] z nazwą tej stacji, a więc to stacja Acziuńsk. Pakujemy się z ~~xyxi~~ naszymi manatkami do baraku, tworzą się zaraz jakieś małe alejki, przecież wszystko to jest zawalone, zagraco-
ne. Po godzinie, kiedy zabrali już nasz pusty skład, wtaczają jego resztę. My już czekamy na naszych współpodróżników, wtaczają ten skład, rozpoznajemy znajomych, bo dotychczas kontakty były [ograniczone], choć wiedzieliśmy, kto gdzie mniej więcej jedzie, bo od nas zawsze te dwie osoby wychodziły, przeważnie zresztą moja mama, pani Janina Jotkowa wychodziła też dość często. Tak się złożyło, że było parę osób starszych, więc wychodziły te osoby w sile wieku. I z kolei dużo było, w naszym wagonie przynajmniej, dzieci, więc nas raczej nie wypuszczali. Może na wszelki wypadek mógłbym tutaj przy okazji wymienić nazwiska tych osób, z którymi myśmy odbyli tę podróż na Syberię. Więc tak: nas było troje, to znaczy moja ś.p. babka Aleksandra z Tomaszewskich Białyńska-Birula, moja mama Konstancja Bułhakowa, ja - Henryk, pani Janina Narkiewicz-Jotkowa, jej matka Zofia Wierzbowska, jej siostra Maria Wisłocka i Maria Jotkówna, córeczka; pan Erazm Łazowski, jego siostra Anna Łazowska, Janina Łazowska i Jadwiga Żołnierkiewiczowa; pani Szegidiwiczowa z córką Tamarą, mniej więcej w moim wieku ta córka była, Tatarka; pani Marciniakowa, samotna, której mąż, zdaje się, był aresztowany równolegle, pani Lepioszkowa, nauczycielka, z córeczką Lalą Lepio-

szkówną, myśmy już później zupełnie stracili z nimi kontakt i absolutnie nie wiemy nic o ich losach; pani Stępniowa z dwójgiem synów, z Markiem Stępnem i Tadkiem Stępnem; no i pani Szereszewska, żona zamożnego kupca bławatnego z Baranowicz, z dwoma synkami, z których jeden nazywał się Oś, a drugi Joś, tacy dwaj chłopcy mali, dzieciaki. Tak wybiegając, [powiem], jakie były koleje [ich losów], bo właściwie później nie będę miał okazji specjalnie wracać do niektórych przynajmniej osób.

Z tego co wiem, to pani Marciniakowa, zresztą bardzo miła pani, spotkała się ze swoim mężem już później, chyba gdzieś tak na przełomie czterdziestego pierwszego i czterdziestego drugiego roku. Podążyła z nim w kierunku południowych rejonów Związku Radzieckiego, gdzie się formowała Armia Andersa, krótko mówiąc gdzieś w kierunku Taszkientu, Uzbekistanu, i tam, zdaje się, oni oboje zmarli, chyba na tyfus czy biegunkę. Wiadomość, że oni zmarli, otrzymaliśmy w Aczyńsku.

Co się stało z panią Szegidiwiczową i z córką Tamarą, nie wiem. Zupełnie w pewnym momencie się nasze drogi rozeszły i jakikolwiek kontakt się urwał, nigdy się po wojnie nie spotkałyśmy. Tak samo nie wiem, co się stało z panią Lepioszkową i z jej córką.

Państwo Łazowscy nie wrócili. Zmarli wszyscy. Dwie siostry, o ile wiem, zmarły na Syberii w Kozulce czy pod Kozulką, gdzie oni mieszkali. Pan Erazm z jedną^z sióstr, chyba z panią Żołnierkiewiczową, a może to i jedna siostra zmarła na Syberii, musiałbym tego dowiedzieć się u kogoś, kto z nimi był jeszcze w bliższych kontaktach, w każdym razie ich później, w czterdziestym chyba czwartym roku zabrano na Ukrainę i tam pan Erazm zmarł. [Ta wywózka na Ukrainę] to była taka zupełnie jednorazowa historia, która dotyczyła grupy Polaków z Kozulki, spod Krasno-

jarska, z naszego zresztą wywozu. Także, o ile sobie przypominam, to jedna pani Żołnierkiewiczowa wróciła i zmarła już po wojnie w ojczyźnie.

Pani Stępniova z synami wróciła na krótko przed nami do kraju, oni zresztą mieszkali później w . Ja w zupełnie ciekawej sytuacji, w wiele, wiele lat po wojnie, dosłownie parę lat temu ich odszukałem i teraz jestem w bardzo serdecznych i bliskich stosunkach szczególnie z Markiem Stępnem, który mieszka w Miliczu i często przyjeżdża do nas. Ale to dosłownie w kilkadziesiąt lat po tych wszystkich wydarzeniach udało mi się jego odszukać, zupełnie przypadkowo. To była ciekawa historia, którą przy jakiejś innej okazji opowiem.

Pani Jotkowa natomiast straciła tam matkę, tak samo jak myśmy stracili naszą ś.p. babcię. Ale nasze rodziny wróciły w czterdziestym szóstym roku. Również wróciła do kraju pani Szereszewska z mężem; tam zresztą spotkała się z mężem, który był aresztowany i z tymi dwoma synkami. I nawet tak się złożyło, że tylko z nimi jednymi wracaliśmy również w jednym wagonie w czterdziestym szóstym roku.

To była taka minispołeczność, która się na te dwa tygodnie połączyła ze sobą w jednym wagonie. I takie mniej więcej były nasze losy.

Na razie następuje okres, kiedy zaczynamy aklimatyzować się w nowym otoczeniu. Oczywiście wiemy, że to wszystko jest zupełnie czasowe, że nas będą rozdzielać gdzieś do kołchozów. Spędzamy pierwszą noc na Syberii, niejako w punkcie docelowym. Ale przed wieczorem jeszcze mamy atrakcję, bo do naszych baraków przywożą eszelon z Łotyszami, z ludnością łotewską z Rygi, głównie chyba z Rygi. [Ich] język jest absolutnie niekomunikatywny [dla nas], więc usiłujemy z tymi Łotyszami porozumiewać się trochę po rosyjsku, niektórzy, starsi, ten język rosyjski znali. Jest

to inteligencja łotewska, nie ulega wątpliwości. Co mnie uderzyło, co nas wszystkich zresztą uderzyło, to to, że oni jeszcze zachowali europejski styl w ubieraniu się, w noszeniu się. Myśmy po prostu już w ciągu tego półtora roku kochanej okupacji najbardziej postępowego kraju zdołali nieprawdopodobnie zoiędnieć, nieprawdopodobnie zjechać cywilizacyjnie. Dlatego też myśmy patrzyli na tych łotyszów, ubranych jak spod igiełki, w eleganckie rzeczy, w płaszczach, kapeluszach, panie, panowie. O tym się po prostu zapomniało, nawet jak człowiek wyglądał standardowo przed wojną. Szczególnie, że, to trzeba sobie powiedzieć szczerze, ta inteligencja, ta niedobita, mieszkająca na kresach, też nie siliła się specjalnie, żeby rzucać się w oczy. To był taki element, który dobrze pamiętam, że raczej chodziło się ubranym skromnie. Żeby zanadto się nie rzucało w oczy, że o, proszę bardzo, chodzisz po burżujsku ubrany. Tym bardziej, że myśmy przecież widzieli, jak ubiera się ta napływowa ludność rosyjska, która też pojawiła się w Nowogródku razem z oficerami, w końcu oficerami garnizonu. W Nowogródku stała jakaś jednostka w koszarach, które były przygotowywane dla 3 Pułku Strzelców Konnych, mającego być przeniesionym tuż przed wojną tutaj z Wołowyska. I myśmy już widzieli, jak wyglądały te tak zwane "kamandirusze", te oficerowe sowieckie, jak one się ubierają, jak im się oczy rozbiegały, gdy widziały, w czym myśmy chodzili normalnie. Zresztą oni bardzo chętnie kupowali to wszystko, myśmy nawet do pewnego stopnia, jak mówiłem, utrzymywali się ze sprzedawania rzeczy rozmaitych. I dlatego to zetknięcie z Łotyszami troszeczkę jakby cofnęło nas wstecz do jakichś bardziej cywilizowanych czasów.

Strasznie nam było żal tych biednych Łotyszów, bo baraki były na tyle zapchane, że oni na tę noc zostali pod gołym niebem. I właśnie przyszła straszliwa ulewa, okropna ulewa, taka normalna letnia ulewa. Człowiek z przykrością patrzył rano,

jak oni biedni, wymoknięci siedzieli, i suszyli się pod jakimiś naprędce skleconymi namiocikami, kocami, Boże święty, dzieci, nie dzieci, to wszystko siedziało na tych tobozach, bo ich wyładowano po prostu i zostawiono pod gołym niebem. Nie było ich gdzie przyjąć, nawet do nas, bo te baraki były tak zapchane, że nie było gdzie wsadzić nawet palca. Myśmy ledwie chodzili między tymi rzeczami. To były duże baraki, ale tym niemniej nas było po prostu bardzo dużo. Później oni pobudowali sobie jakieś zadaszenia, namiociki i przez dłuższy czas tam siedzieli. Nas zaczęli stopniowo już [wywozić], w parę dni potem zaczęły przyjeżdżać pierwsze , nas liczyli, nie liczyli, były jakieś spisy, nie spisy, ciągle nam się ci enkawudyści kręcili.

Nawet taki jeden enkawudysta też mi utkwiał w pamięci, wspominał go raczej pozytywnie, był chyba w stopniu starszego lejtnanta albo kapitana, miał albo trzy romby, albo cztery. No i on powiedział do matki "Ja znaju, szto wy s rebionkom, ja was naprawlaj w charoszyj kołchoz", znaczy "skieruję panią do dobrego kołchozu", co było istotne. Myśmy nie bardzo wiedzieli, co to znaczy "dobry kołchoz", co to znaczy "zły kołchoz", później się dopiero okazało, co to znaczy. To nieraz zresztą było bardzo ważne. "Dobry kołchoz" to był taki kołchoz, który znajdował się blisko większego skupiska [ludzi], znaczy blisko chociaż Baczyńska, które było stosunkowo dużym, takim średniej wielkości miastem, dwudziesto-, trzydziestotysięcznym, ale był węzłową stacją kolejową. "Dobry kołchoz" to był taki kołchoz, który miał stosunkowo dobre kierownictwo. "Dobry kołchoz" to był taki, gdzie w końcu mniej kradzino albo kradziono [w taki sposób], żeby było "równo wszystkim". Myśmy zaczęli dopiero później poznawać te kategorie pojęciowe, w których kształtowało i mie-

ci^{się} codzienne życie sowieckie. Ale najważniejsze było, co myśmy sobie doskonale uświadamiali, żeby nas nie zawieziono zbyt daleko, żeby było bliżej jakichś skupisk ludności, szpitali itd., bo to było w końcu bardzo istotne.

Ile myśmy dokładnie spędzili czasu w tych barakach w Aczyńsku? Mnie się zdaje, że około tygodnia. Potem zaczęli ludzie już wyjeżdżać, zabierano [ich], żegnaliśmy się, przyjeżdżały podwozy z kołchoźnikami, znaczy z tymi, którzy zabierali tych, którzy mieli przydział, skierowanie do takiego czy innego kołchozu. To była taka giełda, dopytywano się „co? gdzie? jak daleko?” Cały czas byliśmy oczywiście niesłychanie zaangażowani w to, co się z nami stanie. Były pierwsze kontakty z tą ludnością, chociaż teren był ogrodzony, ale kontakt nawiązywaliśmy przez płot, Specjalnie bardzo nas już nie pilnowano, kręciło się trochę obstawy enkawudystów, ale w końcu nie było już sensu żadnego uciekać. Uciekać można było jeszcze gdzieś w środkowej Rosji, to jeszcze, gdyby jakiś młody człowiek zaryzykował ucieczkę. [Chociaż/ nie słyszałem o tym, żeby coś [takiego] się stało. A tutaj to już myśmy właściwie byli całkowicie dla nich bezpieczni. I ta ludność nas wypytywała: „Skąd wy?” I co mi utkwiło w uszach i co mi niesłychanie utkwiło w pamięci, to to, że oni pytali: „Kagda Niemcy pridut?” Pytali, kiedy przyjdą Niemcy. Więc my, mastawieni bądź co bądź do Niemców wrogo, bo przecież oni nie przestali być nigdy naszymi wrogami, [nie mogliśmy tego zrozumieć]. Jakkolwiek były różne zdania, kto jest gorszy, to ta polska ciągnęła dyskusja, kto jest gorszy, czy Niemcy, czy Rosjanie, czy Sowietci, Myśmy na ogół zawsze używali terminu Sowietci, który był bardzo powszechny. Nie mówiliśmy „Ruskie” czy „Rosjanie”, tylko „Sowietci”. Bo to było

pewne pojęcie, które pozwalało niejako wyeliminować tę antypatię w stosunku do właściwych Rosjan, do których myśmy w końcu nie mieli pretensji, bo poznaliśmy, że oni również od dziesiątków lat żyli w biedzie, w nieprawdopodobnym ucisku.

[Ale jednocześnie to słowo maskowało właściwy udział imperia-
lizmu rosyjskiego - rozm.]

Tak, w pewnym sensie tak. Ale myśmy raczej patrzyli na Rosję przez pryzmat samej formacji państwowej, to znaczy Sowieckowemu Sojuzowi. To było dla nas najważniejsze, a nie ten Rosjanin, który w końcu był takim samym [człowiekiem jak my]. Zresztą później się zupełnie różnie kształtował nasz emocjonalny stosunek do Rosjan, który zależał od tego po prostu, z jakim człowiekiem myśmy się spotykali. Jak spotykało się łobuza czy człowieka złego, czy człowieka brutalnego, chamskiego, tośmy mieli w stosunku do niego jednoznaczne uczucia. A kiedy się spotykało ludzi, którzy okazywali nam i serdeczność, i na miarę swoich możliwości jakieś współczucie, i nawet pomoc, tak jak te biedne baby ze stacji Pawlinowo, to wtedy nawiązywały się i przyjaźnie, i serdeczne stosunki. Ale o tym będę mówił za chwilę, bo to są sprawy moim zdaniem warte odnotowania i warte jakiejś próby analizy.

To, że oni czekają jednak na klęskę własnego kraju, własnego w końcu państwa, to nas trochę szokowało. Mówimy: "Jak to? Przecież Niemceccy waszyj wrogowie" - " Dobrościwoje, szto! Pożijotie, uwiditje". Takie były reakcje tych bab, nie bab, które do nas przychodziły. Zaczęliśmy trochę handlować z nimi, bo przynosiły jakieś jedzenie, można było czasem coś kupić od nich przez płot.

Wieczorem przyjeżdżają jakieś furmanki i okazuje się, że nas tym razem zabierają. Wcześniej myśmy umówili się, że po-

jedziemy z panią Jotkową i z całą jej rodziną. Przygarnęliśmy też panią Woronowiczową, o której mówiłem, panią Helenę Woronowiczową, która wyjechała wyjechała sama jedna, zupełnie jak palec, z tą swoją poduszczką nocną, tym jasieczkiem, z jakimiś sztućcami, talerzykiem i kubeczkiem. I jeszcze do nas dołączyła pani Kaczmarska z wnuczką Lalą. Kaczmarscy mieli ogrodnictwo na ulicy Wojewódzkiej, Mieczysław Kaczmarski, syn pani Kaczmarskiej, i właśnie to była jego córka Lala Kaczmarska, z którą myśmy spotkali się po wojnie. Oni chyba mieszkają gdzieś w Warszawie, później jakoś znów rozerwał się ten kontakt. W każdym razie i pani Kaczmarska wróciła, i Lala wróciła, całe i zdrowe. One zresztą później przeniosły się do Kazachstanu latem czterdziestego pierwszego roku. Ale o tym będę później mówić.

A my jedziemy, chyba dwoma wozami nas zabrano, jedziemy do tego kołchozu naszego. Okazało się, że jedziemy do kołchozu do wsi Nowajelinka, "kałchoz ". To jest "sielsowiet" taka gmina. Tam jest niby taki lepszy kołchoz, w tym sensie, że to jest centrum gminy, raptem 30 kilometrów od Aczyńska. Na syberyjską skalę to jest tuż koło Aczyńska, bo myśmy się dopiero też musieli uczyć tej syberyjskiej skali. Kiedy się mówiło "koło", to znaczyło 150 kilometrów. "Riadam", tuż, to było te 30 kilometrów. Te 30 kilometrów to w końcu było bardzo blisko rzeczywiście.

Zapała zmrok, okolica jest lesista, ładna, ciepło jest, piękna letnia pogoda. Jesteśmy pełni oczywiście wrażeń, bo czekamy, co tam będzie w tym kołchozie. Ci woźnicy są dość sympatyczni, troszkę z nami pogadują, oczywiście widać, że trzymają język za zębami, ale coś niecoś zagadujemy do nich. W pewnym momencie jakaś babina idzie, tak wzdłuż [drogi], idzie

po prostu razem z nami, więc zaczynamy też z nią rozmawiać. Pamiętam, jak w pewnej chwili rzuciła maksymę, gdy spytaliśmy się, jak wam się żyje, jak tego, jak owego: "Żywi, da pamałki-waj", czyli "żyj i milcz". To była bardzo mądra maksyma, którą myśmy doskonale zapamiętali i którą rzeczywiście później usiłowaliśmy wcielić w życie. To było takie pierwsze zetknięcie z normalnym [życiem], dość swobodny kontakt, bo przecież nie mieliśmy już żadnej obstawy, żadnego NKWD już nie było.

Wcześniej zresztą nas pouczano, to znaczy ci oficerowie NKWD, którzy się zajmowali naszym rozdziałem do kołchozów, nas poinformowali, że jesteśmy pod o p i e k ą NKWD. Że jeżeli nas jakakolwiek krzywda spotka ze strony na przykład miejscowych władz, to mamy p r a w o , niejako ze p r z y w i l e j jako ci zwracać się bezpośrednio do władz NKWD. I że oprócz tego oni będą przyjeżdżali od czasu do czasu, by obserwować nas, jak żyjemy i jak się nam powodzi. Niby nas tak zapewniano, że nie jesteśmy bynajmniej tak rzućeni na "prazwoł", czyli, że jesteśmy w dalszym ciągu w gestii NKWD i oni będą nami się zajmowali w jakiś sposób.

Przespaliśmy się jakoś, siedząc, kiwając się na tych wozach konie puszczono do lasu "na zieloną trawkę". I rano przyjeżdżamy do tego kołchozu. Las. Wokół las. Na dość dużym obszarze wieś, która okazała się bardzo rozległą; ^ewiś pobudowana jakby trochę w podkowę, to znaczy jakby jedna ulica, jakiś duży majdan, i ta ulica jakby zakręca pod kątem prostym w drugą ulicę. Coś na kształt bumerangu. Z tym, że w środku stał mały elewator zbożowy i jakieś zabudowania, chyba służące jako schronienia dla ^wdóch traktorów, które należały chyba do kołchozu; stały zresztą tam nieruchome, zepsute.

Ulokowano nas w szkole, która też stała tak mniej więcej

pośrodku wsi, zresztą bardzo przyzwoity budynek—drewniany, solidnie zbudowany, przyzwoicie wykończony, także nawet to nam rzuciło się w oczy. Nawiasem mówiąc, te budynki tam były dość solidnawe, chociaż właściwie różne, bo były też chałupy nieomalże, można powiedzieć, na kurzej nóżce, to różnie wyglądało, ale było kilka obejść bardzo takich przyzwoitych, solidnych, gruntownych, dobrze zbudowanych, dość wygodnych, bynajmniej to nie były jakieś kurne chaty, tylko przyzwoite domy.

Przynajmniej przez jakiś pierwszy miesiąc mieszkaliśmy w tej szkole. To była taka typowa szkoła, czteroklasowa, więc tam były dwa, może nawet jedno pomieszczenie, jakby taka mała kancelaryjka i duża salka, mała kuchenka. Ponieważ to był okres letni, więc już żadne zajęcia w szkole się nie odbywały. I tam dali nam mniej więcej tydzień na zaaklimatyzowanie się, chyba jednak przydzielali nam jakieś jedzenie, już nie pamiętam, czy chleb, czy coś takiego. Nawiązaliśmy zaraz kontakty z ludnością miejscową, która tam do nas przychodziła.

Pamiętam, że najbardziej uciążliwa była nieustanna obserwacja ludności miejscowej. To znaczy przychodziło przeciętnie kilkanaście osób, które ustawiały się na ganeczku, bo był taki mały ganeczek i schodeczki były. Część ^[tych ludzi] wchodziła nawet do kuchni i stawała jakby w takich dwóch rzędach, tworzyła szpaler. To było może jakichś dziesięć osób, dwanaście osób naraz, początkowo trochę więcej, to były i starsze i młodsze osoby, i dzieci, i oni w milczeniu przyglądali się temu, co my w ogóle robimy, jakbyśmy byli jakimiś stworami. Tak jak się obserwuje zachowanie szympanсів czy małp, czy jakichś innach orangutanów w ZOO. I to przeważnie odbywało się w całkowitym milczeniu, czasami padało jakieś pytanie, czasem myśmy zagadywali do nich. Ale przeważnie to była po prostu obserwacja, później zmieniali się, bo ktoś na przykład zmęczył się tym stanem, więc sobie szedł do

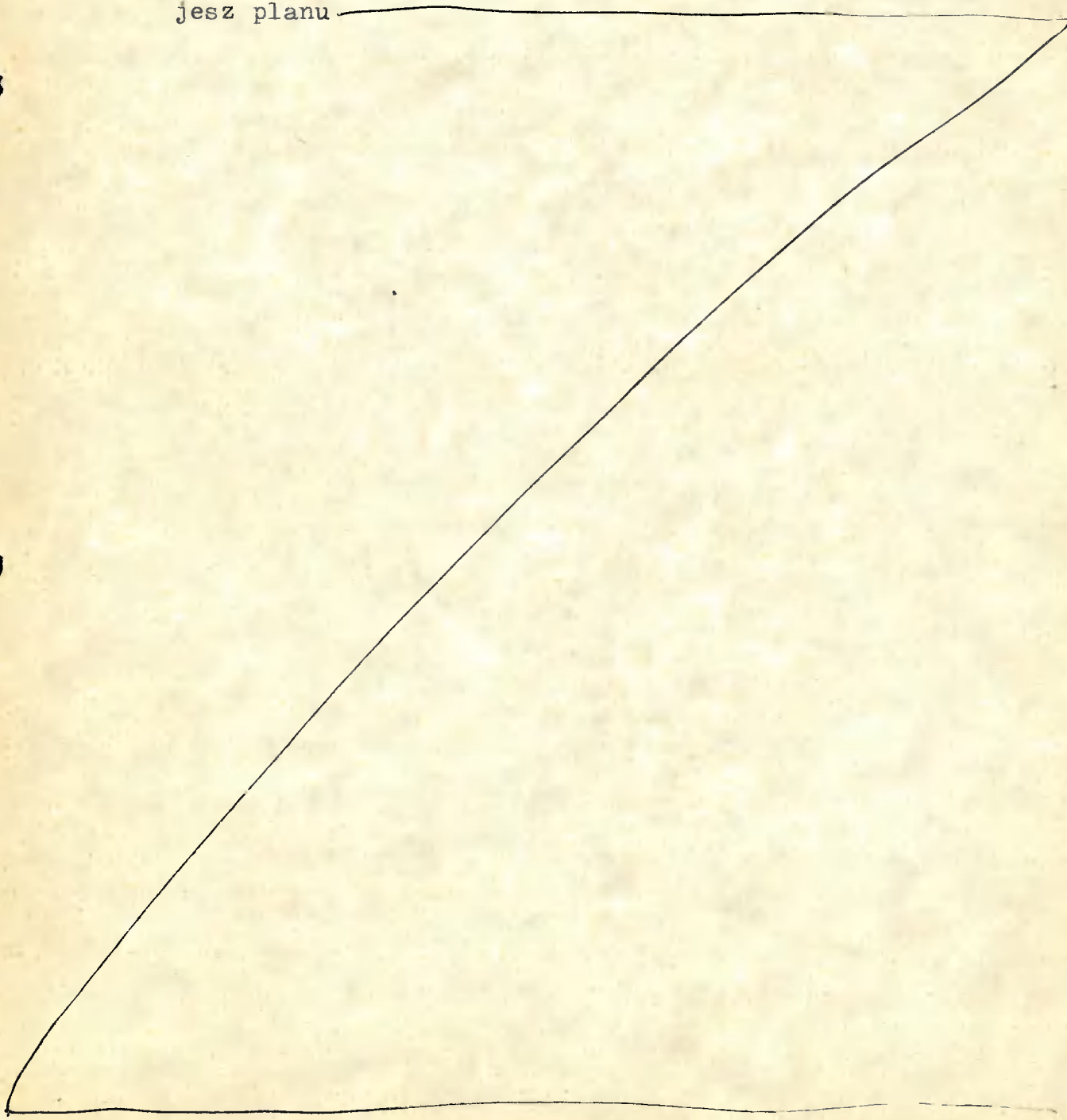
domu, a przychodził na jego miejsce ktoś inny. To zależało również od czasu, bo przecież rano ta ludność szła pracować, poważnie wychodziła do pracy, te baby, nie baby. ~~już~~ W tym czasie mężczyźni było bardzo niewiele, bo ^{już} pierwsza mobilizacja nastąpiła, pierwszy rzut mężczyźni poszedł na front, poszedł już do wojska. Ale to była taka publika do pewnego stopnia młodzieżowa, jakieś dziewczuchy, takie kilkunastoletnie, dzieci rozmaite, nieraz nawet jakieś starsze kobieciny, które miały więcej czasu, bo nie szły już do pracy, tylko przychodziły [do nas]. Początkowo myśmy próbowali jakoś ich zagadywać, trochę rozmawiało się, ale w końcu jak długo można gadać. Rozmawiało się z poszczególnymi osobami, bo tak samo chodziło nam o to, żeby poznać ~~te~~ realia tego życia, żeby jakoś się trochę zaadaptować, wiedzieć, jakie tu są reguły gry. Ale to trwało, nie przesadzę, jeśli powiem, że co najmniej dwa tygodnie. I to było niesłychanie uciążliwe, bo każda czynność była obserwowana dokładnie przez przynajmniej kilkanaście par oczu. Cały czas. I w zupełnym milczeniu. Czy na lewo przeszła, czy na drugą [stronę], co wzięła, czym my posługujemy się, jakimi przedmiotami, jak my jemy, jak my rozmawiamy. Cały czas, to było niesamowite. Ale później oni jakby zaczęli się z nami oswajać, czy my zaczęliśmy się oswajać, ^[to] oni może na nas patrzyli jak na jakieś dziwne zwierzęta. Wiedzieli przecież, że [↑], gadaliśmy, opowiadaliśmy, że jesteśmy z "Polszy", nikt oczywiście nie używał jakichś terminów "Zapadniaja Białoruś" czy "Zapadnia Ukraina", mówiło się "prijechali s Polszy, my Poliaki". Ale okazało się, że tam wśród tej ludności, że tam również jest trochę ludności białoruskiej. Bo chyba na początku XX wieku, w czasie wielkich głodów, bo tam był taki okres wielkich głodów, już nie pamiętam, który to był rok, musieliby mi historycy podpowiedzieć,

tam bardzo dużo z Białorusi, zresztą nawet i dalszej Białorusi, bardziej wschodniej, to znaczy z Mińszczyzny, z Witebszczyzny, z Mochilowszczyzny, z Bobrójszczyzny, sporo ludności emigrowało na Syberię, która w tym czasie ^{wydawała się} była takim Eldorado, bo tam były duże obszary, na których można było osiedlać się, brać tyle ziemi, ile się chciało, ile się wykarczowało. I rzeczywiście, sporo Białorusinów z pochodzenia myśmy tam później spotykali. Również i w tym kołchozie były rodziny, które miały pewną świadomość pochodzenia z tamtych terenów i z którymi można było nawet trochę porozmawiać po białorusku, bo jednak troszeczkę jeszcze te pozostałości językowe mieli w sobie jakoś utrwalone. Ale mieliśmy na przykład mieliśmy takich parę rodzin na Waczyńsku, z którymi moja matka chętnie rozmawiała po białorusku, i oni też mówili [chętnie], bo to dla nich było przypomnienie sobie poprzez ruszczyznę tego właściwego, rodzinnego języka białoruskiego. Ale już nie wpadajmy w zbyt dalekie dygresje.

W końcu te naszych parę pań, które były w sile wieku, to znaczy moja matka i pani Janina musiały ruszyć do pracy, jako ~~te~~ głowy rodziny. Bo pani Minia, czyli pani Maria Wisłocka, została w domu, żeby niby opiekować się tymi staruszkami, znaczy panią Wierzbowską, która miała te swoje siedemdziesiąt parę lat, i moją babką, która zresztą była w doskonałej formie, wtedy jeszcze w doskonałej formie fizycznej. No i reszta: pani Kaczmarska, też po siedemdziesiątce staruszka, pani Woronowiczowa, również w okolicach siedemdziesięciu czy nawet po siedemdziesiątce, i nas troje, to znaczy ja, jedenastoletka, Lala Kaczmarska, sześć czy siedmioletnia dziewczynka i Mitka Jotkówna, pięć czy czteroletnia.

Te nasze panie poszły do pracy i od razu zetknęły się z bardzo nieprzyjemnym "pretidatiem kołchoza". To był taki "ba-

łasow", rudzielec, bardzo chamowaty, który zaczął zachowywać się w sposób bardzo arogancki i, jak powiedziałem, chamski w stosunku do naszych pań. Przede wszystkim to awanturowanie się o ~~to~~ ranne przychodzenie do pracy. Bo oni bardzo wcześnie przychodzili, taki brygadir szedł o szóstej czy o którejś tam rano i łomotał w drzwi czy w okno i wołał: "Wychadi! na rabotu, na rabotu!" Więc matka z panią Janiną wychodziły, ale nie były to panie przyzwyczajone^{do,} takiej normalnej, ciężkiej pracy na roli, także słyszały, że a to nie wykonujesz normy, a to nie wykonujesz planu



Oprócz tego były takie zaczepki damsko-męskie, parę razy próbowali zach^ować się dość swobodnie, tak że matka powiedziała kiedyś temu Bałaszowowi: "Jeśli mnie kiedyś ruszysz to dam ci w mordę" i to zresztą zrobiło doskonałe wrażenie. Ot, chamskie zachowanie się takiego pretiedatiela, któremu wszystko wolno. Więc nasze panie musiały się trzymać dzielnie, żeby narzucić pewien dystans. Z miejscowymi stosunki układały się życzliwie. Np. byliśmy po naszym przyjeździe zaproszeni przez pewną Siewronię do "bani". Myśmy oczywiście po tych raru tygodniach jazdy byli odpowiednio brudni. Więc zrobiła nam taką typową rosyjską banię, w której ja chyba byłem raz jedyny i to mi zupełnie wystarczyło, bo to było potężne przeżycie. Po prostu mnie zatkało. Bo zrobiła dobrą banię, tzn. nagrzała te kamienie, zaczęła lać wodę i zrobiła się para dosłownie jak mleko, tak że nie było czym oddychać. To było coś strasznego, myślałem, że tam pęknę, że mi rozsądzi płuca. Typowa russkaja bania. Oczywiście mama mnie tam odpowiednio wykokoszyła, wymyła itd. Ale później nie miałem do tego żadnego namaszczenia, to było dla mnie coś okropnego.

Tak że były życzliwe odruchy. Później oczywiście poznaliśmy bliżej mieszkających sąsiadów, zaczął się jakiś handel wymienny, Trzeba było coś kupić, a to ser, a to masło - przecież był to okres przed zbiorami, więc było bardzo trudno. I rzeczywiście w końcu zetknąłem się z taką sytuacją, że byłem całymi dniami bardzo, ale to bardzo głodny. I tu muszę powiedzieć zupełnie szczerze, że w ciągu tych 5 lat na Syberii Bóg dał, że myśmy nie zaznali prawdziwego dotkliwego głodu, co było po prostu szczęśliwym zdarzeniem losu, boskim zrzędzeniem. Bo wystarczyło, że ktoś mieszkał parędziesiąt kilometrów dalej, gdzieindziej i tam - bywało - ludzie puchli z głodu. Po prostu nie mieli co jeść. U nas bywały takie wieczory, kiedy naprawdę człowiek miotał się po całym mieszkaniu i nie było niczego. No ale następnego dnia był już ten

kawałek chleba, coś się wykombinowało. Tak samo było i w kołchozie. W kołchozie bywały okresy, kiedy ludzie nie sprzedawali chleba. Piekli na swój własny użytek i im samym ledwo ledwo wystarczało. Nie bardzo mogliśmy wyrwać wtedy trochę chleba. Pierwsze tygodnie upłynęły na wciąganiu się do pracy. Później nagle radosna wiadomość, że Bałaszowa biorą do wojska. To były pierwsze tygodnie wojny, więc wszystko zmieniało się błyskawicznie. Bałaszowa bardzo szybko wzięto do wojska. Nawet reakcje miejscowych były takie: "Żeby jego pierwsza kula nie ominęła". To była po prostu swołocz znienawidzona powszechnie - w odróżnieniu od jego zwierzchnika, który był przewodniczącym tego siel-sowieta, czyli jakby wójtem, ale który był widocznie słabszy partyjnie. Bałaszow był partyjny i stąd jakby ważniejszy od swego zwierzchnika. Ten był pretiedatiel sowieta, miał kilka kołchozów pod sobą. Fuszyn był przyzwoitszy, bardziej ludzki. Ale na szczęście wzięli tego Bałaszowa do wojska, więc zrobiło się trochę swobodniej w kołchozie, bo był ciężki dla wszystkich. Myśmy zastali tam już parę rodzin naszych rodaków, którzy przyjechali na kilka dni wcześniej do Nowelinki. Była, pamiętam, rodzina Klimowiczów, chyba była pani Porębowa z córką. Mieszkali trochę dalej, oczywiście mieliśmy z nimi kontakt. W sumie było nas 5, 6 rodzin. Oni już byli ulokowani u innych kołchoźników, przeważnie kątem, a nam po pewnym czasie dano taką lekko wyremontowaną chałupę, stojącą prawie na skraju wsi, tuż koło zagajnika, w której mieścił się przedtem chyba kurnik. Ale to była prawdziwa chałupa, tylko zaniedbana, nikt tam nie mieszkał, pobielono, jakiś piec wyreperowano, była jakaś płyta, były ruskaja pieczka. Dwie duże izby, maleńka sionka i tyle. Było to o tyle wygodne, że byliśmy mniej wystawieni na ciągłe wizyty kołchoźników, którzy nas oglądali itp. Byliśmy na uboczu, ale to nam dawało trochę więcej jakiejś swobody, izolacji. A z kolei bliskość zagajnika była o tyle wygodna, że tam się szło z siekierą i rąbało drzewo. Ja zacząłem odpowiadać za zaopatrzenie w opał.

Byłem właściwie jedynym mężczyzną w tym całym domu. Bo mieszkaliśmy tam my, pani Jotkowa, pani Kaczmarek i pani Woronowiczowa. Do zagajnika chodziła również moja mama z siekierą, moja śp. babunia, która była rosłą i bardzo silną fizycznie osobą. Pamiętam - jak rąbała drzewo, to strach było koło niej stać, tak wióry latały. Jakieś pnie smolne rąbała na podpałkę, była imponująco silna. Ja tam robiłem, co mogłem, ścinałem brzoźki, piłowało się, rąbało, suszyło i wszystko było w mojej gestii. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w szkole przyszła wiadomość, która była absolutnym przełomem w naszym życiu, mianowicie amnestia związana z porozumieniem między rządem emigracyjnym, gen. Sikorskim a rządem sowieckim. Przyniósł, ktoś do nas gazetę, w której był pierwszy komunikat: że nawiązano stosunki, w związku z tym ludność, która znalazła się czasowo na terenie Związku Radzieckiego zostaje amnestionowana. Był to chyba jeden z najszczęśliwszych dni w moim życiu. Stało się to, cośmy mogli przewidzieć przyjmując wiadomość o wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. W parę dni po komunikacie przeczytanym w jakiejś miejscowej gazecie przyjechał oficer NKWD, który odbył jakby zebranie z kołchoźnikami i z nami i oświadczył, że my od tego czasu właściwie jesteście zupełnie wolni i możemy ruszać się, gdzie chcemy. Oczywiście uprasza się nas, żebyśmy nie rzucali dotychczasowej pracy, bo praca jest potrzebna dla frontu w związku z ogromnym odpływem mężczyzn. Każda para rąk jest potrzebna szczególnie teraz, kiedy zbliżają się zbiorczy. Ale otrzymamy zupełnie nowe dokumenty, które pozwolą nam ruszać się swobodnie - i tak dalej. No i to był ten wielki przełom, który do pewnego stopnia uczynił z nas na pewien czas ludność^{o/} nawet uprzywilejowaną. Mówiąc o tym, że staliśmy się ludnością wolną, a nawet uprzywilejowaną, mam na myśli to, że w pierwszym okresie po zastąpieniu się w kołchozie myśmy właściwie byli g l e b a e a d s c r i p t i. Oczywiście istniała możliwość pewnego poruszania się, ale to była możliwość ograniczona. Jak ktoś chciał gdzieś jechać to

4

musiał mieć uzasadnienie, zgodę ze strony zwierzchnictwa kołchozu. Myśmy chcieli mieć jakiś kontakt, np. znaleźć się od czasu w tym Aczyńsku, miejscu, gdzie można było czegoś się dowiedzieć, posłuchać jakichś rozmów - i takie możliwości w zasadzie były. Bywały sprawy, które tam trzeba było załatwić, odwieźć coś, czasami zdać jakieś zboże czy mąkę, bo wyskrobywano resztki i oddawano je do centrali i gdzieś tam dalej - na front. Tak że moja mama parokrotnie była w Aczyńsku. To była ogromna atrakcja jak wyjeżdżała (a właściwie wychodziła, bo całą drogę, te 30 km szło się piechota). Wracaliśmy tego samego dnia, a czasem tam można było przenocować w tzw. kołchoznym domu (coś w rodzaju domu chłopca w Sowietach), takim hotelu dla kołchoźników i dla ludzi ze wsi, którzy nieraz z bardzo odległych terenów przyjeżdżali do miasta. Była tam herbaciarnia, w niej najczęściej spotykano się. Tłumy ludzi, masy, szły na front. Fale nowobraców kierowano do koszar i dalej. Mama tam nieraz przychodziła i wdawała się w różne rozmowy znając doskonale rosyjski. Tego rodzaju wycieczki do Aczyńska były bardzo atrakcyjne. Wsie były rozrzucone na ogromnych obszarach, ciągle musimy pamiętać, że tam jest zupełnie inna skala odległości. Pamiętam wizytę trzech pań, które zjawiły się u nas z jakiegoś odległego kołchozu (kilkadziesiąt kilometrów). Szły dzień czy półtora dnia, gdzieś tam po drodze nocując. Pamiętam, że była to pani Haraburdowa, pani Kaczmarek, żona Zygmunta Kaczmarek, pani Humpolowa, żona brata słynnego księdza Humpoli. Znana to była postać, ksiądz Humpol był kapłanem prezydenta Rzeczypospolitej. Zmarł po wojnie na Podhalu, stamtąd pochodził. Jego brat był lotnik, zresztą z połamanymi nogami, mieszkał w Nowogródku, tam zajmował się modelarstwem, kształcił młodzież w kierunku zbliżenia się do lotnictwa. I pamiętam, jaka to była atrakcja dla nas te trzy panie. Był nagle kontakt z kimś z innego ośrodka - "Co u was, jakie stosunki w kołchozie, jak ludność".

Opowiadaliśmy sobie, one^u nas przenocowały, nakarmiliśmy je w miarę możliwości i potem ruszyły.

Kiedy otrzymaliśmy tę wolność nasunął nam się pomysł ewentualnego przeniesienia się z kołchozu do miasta. Wprawdzie był to jeszcze lata okres, ale ciągle nas prześladowało widmo syberyjskiej zimy, która nieuchronnie musiała nastąpić, straszycie to widmo. Zaczęliśmy się już wtedy zastanawiać, myśleć o tym, żeby zainstalować się w mieście. Mama i pani Jotkowa w dalszym ciągu starały się pracować w tym samym rytmie. Tylko one z tej naszej chałupy chodziły do pracy. Oczywiście nie mogły być traktowane z góry, jak to było dotąd, ale chodziły, pracowały, przynosiły coś czasem. Był to okres, sierpień, wrzesień, październik, kiedy rzeczywiście było nam "skabowito" z jedzeniem, było niedobrze. Pamiętam, że myśmy się trochę podnajmowali, pamiętam jedną taką pracę u małakanki, mleczarki, która zajmowała się dostawami mleka, bardzo miła kobiecina. Mówiło się o niej "ciocia małakanka". Cały czas była w rozjazdach ze wsi do miasta, ogród miała zapuszczony okropnie, ~~raz~~ pełko się u niej ogród. Narobiliśmy się, miałem ręce pokaleczone ostami. Pamiętam zupełną jarzynową, którą ona nas ugościła - będę ja pamiętał do końca życia. To są takie przeżycia, których się nie zapomina.

Zaczęliśmy więc coraz bardziej myśleć o wyjeździe do Aczyńska. Jesień była bardzo piękna, zresztą i upalne lato, od czasu do czasu pojawiały się nad naszym kołchozem jakieś samoloty transportowe, dla nas to był jakiś kontakt ze światem. Było poczucie studni zielonej, w której człowiek został pogrążony, nigdy mnie nie opuszczało. Miałem wrażenie, że człowiek jest pogrążony w głębokiej - zresztą pięknej - zielonej studni i że nie ma z niej wyjścia. Nad nami bladobłękitne niebo i od czasu do czasu pojawiające się samoloty.

Wiadomości z frontu przychodziły - coraz gorsze. Myśmy to traktowali jako rzecz zasłużoną: dobrze, że ich leją. Jakkolwiek zmie-

niały się już nasze nastawienia międzyludzkie, powiedziałbym. Nie powinienem może wdawać się w jakieś epizody o charakterze sentymentalnym, jednak ten epizod wskaże może, jak myśmy "łapali kontakt" z tymi ludźmi. Myśmy nie mieli do nich antypatii, niemniej stanowili dla nas ludność kraju wrogiego. To było i c h państwo, które n a s uciskało, ciemniżyło, ale bardzo szybko zdaliśmy sobie sprawę, że to jest państwo, które również ich ciemniży, że my dzielimy po prostu ich los. Że ten los jest wspólny. I od tej jakiejś konstatacji (psychicznoemocjonalnej), było bardzo blisko do następnego kroku: że ich los nas jakoś dotyczy, że nie możemy przechodzić obojętnie z c u y s t o ludzkich względów wobec ich bólu, nieszczęść, wojny. I tu wracam do epizodu ze śp. moja mama. Mama przyszła do Aczyńska, siedzi w tym kołchozdomie, popija cienki czaj. Kłębi się tam tłum ludzi, odprowadzających itd. Przy sasiednim stoliku siedzi nobliwie wyglądająca para, widać, że to żona, która odprowadza męża. Ktoś na harmoszce zagrywa jakąś serce szczeniakiem melodię, "jakszczika", zresztą b. ładną, jak wszystkie ich piosenki rosyjskie. Wytwarza się nastrój specyficzny, bo to są rozstania, żzy itd. - janszczik gdzieś w stepie umiera i przekazuje obrączkę swojej ukochanej żonie. Matka patrzy, przygląda się tej parze. Ona patrzy z ogromną miłością na tego męża. "We mnie coś drgnęło, czuję, że jestem z nimi, że coś mnie z nimi łączy, że to tragedia, normalny ludzki dramat. Może rzeczywiście jesteśmy po t e j linii frontu? Może ofiarą tego Rosjanina, który idzie na front zmieni coś również w naszym życiu, skoro już staliśmy się jakimiś sojusznikami?" To refleksja mamy, która przecież nie była żadnym politykiem, ale opowiadając mówiła: "Coś mnie wiąże z tymi ludźmi". I to jest właśnie to, co dużą część nas, zesłańców, związało na całe życie z Rosjanami. Na całe życie. Np. mnie w tej chwili trochę głos drga, bo to są przeżycia, które we mnie zapadły i przez tę emocjonalną soczewkę spoglądam na ten naród, różne jego

koleje losów. To nas ustawiło w tym społeczeństwie. Myśmy zaczęli wchodzić w jego sprawy, w jego jednostkowe losy, cierpienia, troski. Było nam na pewno gorzej niż miejscowym, co do tego nie było wątpliwości. Mało kto mógł z nas powiedzieć, że się "dobrze urządził", czy lepiej urządził. Ale to, że oni również cierpieli, również żyli nędznie - to tworzyło jakąś wspólnotę psychiczną, która w pewnym sensie została. Tak że ja, jeśli wywołuje z pamięci nazwiska niektórych, to myślę o nich przeważnie jednak z sympatią, z jakimś nawet sentymentem. Żeby zakończyć ten wątek: mama mi opowiadała o tej sytuacji (z pożegnaniem żony z mężem) jeszcze w Rosji. Pod koniec naszego pobytu matka wraca do domu i powiada: Wiesz, spotkałam kobietę, z którą kiedyś w kołchznym domu zaczęłam rozmawiać, ona wtedy odprowadzała męża - mówiła, że nie otrzymuje od tego męża wiadomości, zaczęłam ją pocieszać, mówić, że na pewno wróci. Potem mama spotkała ją gdzieś na bazarze i mówi: Wyobraź sobie, on wrócił - bez nogi, okaleczony, ale wrócił! I to jest pinta, która zamyka ten epizod. W 41 roku rozstanie, w 44 czy 45 powrót. "Ranny, ale jednak wrócił!" Takich epizodów można by przytaczać dziesiątkami.

Wracam do biegu wydarzeń. Jesień bardzo piękna, zaczyna się robić trochę chłodniej, dni są coraz krótsze, tajga stoi w tak olśniewających barwach, że jak człowiek patrzył, dostawał oczopląsu od tych cudownych kolorów; drzewa iglaste i liściaste, ogromna cisza w przyrodzie - ta cisza tam była charakterystyczna, bo to mało ptactwa w tajdze, głuchy las. To nnie była prawdziwa tajga, tam się jeszcze chodziło. Ta prawdziwa była o parędziesiąt kilometrów, to był rzeczywiście ogromny, dziki, głuchy bór. Nigdy więcej niż kilometr dwa nie zapuszczaliśmy się w te lasy, zabłądzić łatwo.

Matka i pani Janina Jotkowa ruszają do miasta wyszukiwać mieszkanie. Pod koniec października już zaczęły się lekkie przymrozki. Udaje się mamie wytrzasnąć ciężarówkę, z ogromnymi zresztą trudno-

ściami, bo były ograniczenia, nie można było wyjeżdżać poza miasto, trzeba było mieć te komandirówki, specjalne zlecenia, więc bardzo trudno było zorganizować transport. 30 km ze skromnymi bagażami trzeba było przewieźć. W rezultacie namie udało się wynająć taki berkiel na ulicy Smiena w osiedlu, które się nazywało Aczyńsk Wta-^{śsi}roj (Aczinsk Wtaroj), przy stacji. Miasto miało dwie stacje: Aczy 1 i Aczyńsk 2. Był to przeskok cywilizacyjny - chałupa przyzwoita, jakaś bardziej zadbana. Gospodyni nasza miała dwie córki, mąż jej siedział gdzieś na dalekim wschodzie, zresztą był podoficerem, zawodowym wojskowym. Zaczęliśmy się jakoś tam urządzać w mieście. Wtedy jeszcze było można coś niecoś kupić na dworcu kolejowym, który tam zawsze stanowi pewien ośrodek życia i towarzyskiego i handlowego. Najlepiej mówi o tym słynna piosenka "Cyplonok, Cyplonok dutyj, łaptiom obutyj paszoł na stancju gulat". Tam się na stację szło jak na Plac Pigalle, na Broadway. Na stacji zawsze było coś ciekawego, można było wypić jakieś piwo, czasem można było coś kupić, jakieś pieczywo białe itd.

Ale zima szła błyskawicznie: początek listopada już przymrozków, a potem od razu stuknęła ogromna zima z potężnym śniegiem, mrozami - w przeciągu kilku dni zrobiło się zupełnie biało i cała miejscowość utonęła w śniegu. Mrozy, jak twierdziła ludność miejscowa, były "ulgowe" dla nas, dwadzieścia parę, trzydzieści stopni. Zaczęliśmy żyć ze sprzedawania rzeczy. Matka nie pracowała, dużo czasu zajmowały jej "kontakty", bo jednak coraz więcej Polaków spływało z kołchozów, normalny ciąg: przed zimą schronić się do większego miasta, być przy kolei, szpitalu. W końcu to był ośrodek jakiejś cywilizacji. W kołchozie myśmy odczuwali kompletną głuszę, osamotnienie, izolację. Sporo Polaków zostało na wsiach, ale to raczej większych, gdzie były emteesy, większe ośrodki rejonowe. W każdym razie pod koniec 41 roku wytworzyła się już duża kolonia zesłańcza Polaków. Zaczęliśmy się szybko organizować, bo Polacy

potrafią bardzo szybko łąpać kontakt, organizować się. Zaczęliśmy zimować. Poza Niemcami Nadwołżańskimi (jedna rodzina była jeszcze w kolchozie, później widywałem spośród nich jednego chłopaka, starszego ode mnie, antypatyczny żulik, chuliganowaty niemczura), których tam przywieziono i oni tam mieszkali, widywaliśmy ich, i Łotyżami, o których wspominałem, a z którymi nie mieliśmy w ciągu tych lat żadnego kontaktu, bo zostali wywiezieni gdzieś dalej - nie stykaliśmy się w Aczyńsku z innymi grupami narodowościowymi. Przez naszą miejscowość przechodziły jakieś eszelony Kałmuków chyba w 43 roku. O ile dobrze pamiętam, wywożono ich za kolaborację, za karę po Stalingradzie. Bo była taka akcja, że te kolaborujące narodowości z obszarów, które znajdowały się czasowo pod okupacją niemiecką, wywozili. Z Kaukazu itd. Ale żadnych grup ludnościowych większych myśmy na terenie Aczyńska nie widzieli. Oczywiście była tam kolonia żydowska, mieli swój własny kolchoz, Stalindorf się nazywał, w którym znaleźli zatrudnienie również nasi Żydzi. Bardzo chętnie ich zatrudniali. Zresztą był to kolchoz bardzo dobrze prowadzony, jakiś warzywniczy. Był w mieście w gruncie rzeczy, bardzo trudno było się tam dostać.

Tu sprawa bardzo bolesna dla mnie : choroba i śmierć mojej babki. Babcia zaziębiła się, bardzo łatwo było się przeziębienie, rozchorowała się w Trzech Króli, 6 stycznia i dostała zapalenia płuc. Choroba trwała blisko dwa miesiące i 28 lutego babcia zmarła, zresztą na moich rękach. Tak się złożyło, że w tym czasie matka poszła na bicie poduszkę z tlenem - to był okres, kiedy babcia już z trudem oddychała. Sytuacja była dramatyczna, bo nie było lekarstw, nie można było doprosić się lekarza, babcia po siedemdziesiątce. Jakkolwiek miała silny organizm - i dlatego to trwało tak długo - choroba okazała się silniejsza. W ciągu tych 2 mies. choroby może 3, 4 razy był lekarz. Myśmy mieli szpital na miejscu, w Aczyńsku. Szpital wojsko-

wy, przez który przewijało się setki rannych. Przywożono ich w okropnym stanie po kilkotygodniowej podróży z frontu na Syberię, więc amputacje. To był szpital wojskowy z miejscowości Klemieńczuk z Ukrainy. Później nawiązaliśmy nawet stosunki towarzyskie z chirurgiem, drem Stawczańskim. No ale oni byli potwornie zapracowani. Mówię, żeby zobrazować, jak to rzeczywiście wyglądało. Były to głębokie tyły, od frontu dzieliło nas kilka tysięcy kilometrów - i przyjeżdżały transporty rannych, z których sporo umierało, masa amputacji itd. Do bardzo miłej dr Gosz, też zresztą chirurga, biegaliśmy ciągle z błaganiami, żeby zechciała przyjść (te parę ulic) osłuchać babcię, dać jakąś miksturkę - lekarstw nie było - a ona si po prostu waliła z nóg, taki miała "przerób" tych operacji.

Ores choroby bąbki zbiegł się z procesem, który na przełomie 41 - 42 roku bardzo się nasilał, mianowicie jazdy na południe. W nas było dążenie, żeby się wyrwać z Syberii i jechać gdzieś na południe. Potęgowała to świadomość, że gdzieś nad Wołgą tworzy się armia polska. Pierwsza wiadomość była w Gazecie Polskiej, która wydawała ~~się~~ ambasada Rzeczypospolitej w Kujbyszewie i której redaktorem był Ksawery Pruszyński. Zaczęła do nas dochodzić gdzieś pod koniec grudnia, to było dla nas objawienie. Każdy numer był za czytywany doszczętnie (hasło: każda gazeta musi obsłużyć mniej więcej 50 osób). Zorientowaliśmy się, że tworzy się armia Andersa, jest gdzieś w Buzułuku, Tockoje, że częściowo zaczyna się przemieszczać na południe. I właśnie głęboką jesienią pod koniec 41 roku i na przełomie 41/42 masa osób "skrzykiwała się". Pan Klimowicz (wspominałem o p. Klimowiczach, byli z nami w kołchozie) również zorganizował taką grupę. Szło się na dworzec, dawano się grube łapówki osobom odpowiedzialnym za transport: kolejarzom, zwiadowcom, naczelnikom stacji i wynajmowało się wagony. Taka była możliwość, kiedy ten kraj już był w wojnie, szły transporty wojskowe! Można było wykombinować taki wagon, gdzie się kilkanaście rodzin pols-

skich ładowało i później się ruszało w gruncie rzeczy - w nieznanym kierunku. No, ogólny kierunek Taszkient, czy Dżalal-Abad, Dżambuł, Kermine. Trwało to nieraz tygodnie całe, czasem kończyło się wyniesieniem delikwentów na jakiejś nieznannej stacji na linii Turksibu i zakopaniem w stepie. Ludność jadąca była w okropnych warunkach higienicznych, bo te wagony podczepiano do jakichś pociągów itd, masa ludzi chorowała na tyfus i biegunki. Przełom 41/42 to był okres tragiczny, bo z jednej strony to powroty z łagrów, wyrwania się ludzi z łagrów, a z drugiej wędrówki, które bardzo często kończyły się śmiercią. Np. jechaliśmy z Nowogródka na Syberię z p. Marciniakowa. Później spotkała się z mężem, mieliśmy wiadomość, że pojechali na południe. Potem w Aczyńsku dowiedzieliśmy się, że zmarli. Po prostu w drodze. I takich przypadków były setki, tysiące. Myśmy również nie chcieli jechać, ale choroba babki i okropny okres po jej śmierci, kiedy byliśmy szalenie załamani - zdeterminowały nasze losy na następnych kilka lat. Później, już wczesną wiosną, gdzieś w marcu, wyszły jakieś zarządzenia, obostrzenia, rozporządzenia NKWD, które ucinały ruch swobodnego przemieszczania się ludności, w tym również ludności polskiej. Trzeba było mieć specjalne zezwolenie NKWD, żeby w ogóle wykupić ważny bilet. Wtedy te sprawy zostały "uziemione", tak że ci, którzy nie wyrwali się się, nie wyruszyli przed wiosną 42 roku, mieli już bardzo niewielkie szanse, żeby się wyrwać, chyba że dostawali jakieś specjalne wezwanie z podpisami wojskowymi. Czasem zdarzały się wypadki, że stamtąd przyjeżdżali wojskowi, którzy tu niejako werbowali mężczyzn. Bo w odróżnieniu od późniejszego naboru do armii Berlinga, Kościuszkowskiej, rekrutacja do armii ~~XXXX~~ Andersa była nie ułatwiana, ale wręcz utrudniana, szczególnie przez rozmaite miejscowe władze. To nie było tak, że wojenkomat załatwiała to od razu i dostawało się skierowanie, tylko ludzie imali się rozmaitych forteli, żeby mieć kawłeczek papierka, żeby móc

jechać, nawet na własne ryzyko. Np mój starszy kolega, Kostek Wołoszuch (mieszka w tej chwili we Wrocławiu, mam z nim kontakt) z kilku takimi jak on chłopakami z różnych, zresztą dość rozrzuconych miejscowości, ale też z krasnojarskiego kraju, pojechali jako junacy, byli już chyba w Kernine, tam siedzieli i czekali na papiery, żeby wyjechać z ewakuującą się już wtedy armią Andersa. To było lato 42 roku. Siedzieli, nieomalże głodowali w okropnych warunkach, te papierki nie nadchodziły. I oni w pewnym momencie podjęli dramatyczną decyzję: wracamy do matek, do rodzin. I wyjechali. W parę dni potem te papiery przyszły, jak się potem dowiedzieli. Znaleźli by się pod Monte Cassino, a tu większość z nich znalazła się w armii Berlinga. Takie losy.

Zaczął się okres niezwykle intensywnego życia narodowego, okres wiosny i lata 42 roku, okres największej swobody jeśli chodzi o możliwości naszego zrzeszania się, organizowania życia kulturalnego i towarzyskiego. Powstał urząd męża zaufania, tzn. osoby, która wobec władz władz sowieckich reprezentowała tę naszą polską społeczność. Powstały delegatury ambasady Rzeczypospolitej na poszczególne obszary. Na Krasnojarski Kraj kierownikiem takiej delegatury był pan Mieszkowski, który zresztą przyjechał z Anglii. Zaczęła napływać jakaś pomoc w postaci np. mleka w proszku, ubrań, smalcu. Dla nas to były niesłychanie ważne rzeczy, szczególnie jeśli chodzi o ubrania. Potworzyły się komisje opieki społecznej, komitety kulturalne, uzyskaliśmy dostęp do lokalu szkoły, która w okresie letnim był a nieczynna. Co tydzień odbywały się akademie, zebrania, powstały jakieś kółka śpiewacze - to, co Polacy potrafią zrobić w pewnych warunkach z dużą fantazją, lotnością, wyobraźnią. Było przecież sporo inteligencji, więc i referaty ciekawe. To wszystko niezwykle nam wypełniało czas, to były stałe wędrówki, bo myśmy musieli te parę kilometrów z Aczyńska Drugiego do miasta iść. Przeważnie linią kolejową się szło a potem się wpadało w te polskie sprawy

śpiewy, chóry, akademie - wszystko to bardzo sympatyczne. Prowa-
dzono też bardzo intensywną akcję spisywania Polaków, zbierania
jakichś informacji. Mama tam zresztą działała, początkowo była
szefem kancelarii męża zaufania, którym była pani Janina Jotkowa
przyjaciółka mamy, zresztą energiczna osoba. W szystko to razem
w pewnym momencie doznało potężnego szoku. Mianowicie chyba pod
koniec lata, na początku jesieni, nastąpiły aresztowania słynne
poszczególnych delegatów rządu w Rosji. To aresztowanie dotknęło
również i Mieszkowskiego. To była oczywiście prowokacja sowiecka
ale - jak w tej chwili niektórzy badacze tych spraw zaczynają do-
wodzić - niektórzy z tych pańów, zwłaszcza tych, którzy przyje-
chali z Londynu - może mieli zleczone zadania obserwacyjne, jak
to tam wygląda w tym Związku Radzieckim, może pisali jakieś ra-
porty. W oczach Sowietów to było absolutne szpiegostwo na rzecz
obcego, jakkolwiek sojuszniczego, ~~xxxx~~ państwa, jakim była Anglia.
To się przewija w literaturze, nawet emigracyjnej, historycznej
i wspomnieniowej, że prof. Kot dał się wciągnąć w jakąś małą ro-
bótkę, zlecał pisanie raportów, które są normalne dla działalno-
ści konsulów. Ale przy tak nieprawdopodobnej czujności, tej obse-
sji antyszpiegowskiej, która stale przecież istniała w Sowietach
szereg osób zostało zamkniętych, delegatury ~~rozwiązane~~ pozawie-
szone, nastąpiło ogromne zamieszanie. Mężowie zaufania zostawali
bez "głowy", bo delegat, to było coś w rodzaju konsula, więc
właściwie, zdawałoby się, osoba nietykalna. Ale to był duży szok
bo te stosunki, które, zdawało się, ewoluują w kierunku jakiejś
życzliwości, zrozumienia, może nawet chęci wyrównania krzywd -
to jest w dalszym ciągu teniec na linie. U nas chyba było parę
osób aresztowanych, chyba pan Pawlak, który wyszedł po pewnym
czasie. Aresztowano pana Tureckiego, ale po iluś tam tygodniach
udało mu się jakoś, dostał chyba jakiś specjalny glejt. To było
chyba pod koniec lata 42 - pamiętam jak z więzienia wyszedł i ju

14

miał wszystkie papiery, już jechał do Kujbyszewa. Myśmy mu dawali jakieś listy do kraju, to była jakaś możliwość, w pewnym momencie dano nam do zrozumienia, że możemy dawać listy, które trafia do kraju. Moją iść oczywiście całe miesiące, ale przez Czerwony Krzyż jakoś do kraju dotrą. Napisaliśmy do ojca mego, który występował zawsze pod pseudonimem - mieliśmy jego adres - nie wiedzieliśmy, czy aktualny, czy nie - i rzeczywiście ojciec od nas raz czy dwa otrzymał wiadomość w ciągu tego całego czasu. W każdym razie pan Turecki jechał obciążony tymi listami, później wyjechał do Persji. Nie wiem, jakie były dalsze jego losy. Bardzo cieszyliśmy się, że udało się go wyrwać z tych pazurów. Gorzej było z Mieszkowskim, który siedział chyba przez 10 lat, wrócił dopiero po Październiku. Zupełnie przypadkowo spotkałem go w Warszawie, w Klubie Krzywego Koła czy gdzieś. Miał sztywną rękę, był ranny w 39 roku.

Poza działalnością kulturalno-oświatową, mieliśmy swoją stołówkę, wydawaliśmy stosunkowo tanie obiady. Był, możnaby powiedzieć klub polski, bo tam się masa ludzi schodziła, przyjeżdżali z kołchozów, zajeżdżali do naszej stołówki. To był jaśniejszy okres w tym naszym bytowaniu sowieckim.

Teraz przechodzę do roku 1943, który dla nas zaznaczył się bardzo ciężkim ciosem, jakim była ponowna paszportyzacja. To wszystko rozgrywało się na tle różnych stanów w stosunkach polsko-sowieckich. Jak wiemy obecnie, pogorszyły się one znacznie od momentu, kiedy armia Andersa wyszła z Rosji, to znaczy latem, wczesną jesienią 42 roku. Dla nas to był okres, kiedy Stalin jeszcze nie wiedział, jak rozegra kartę polską. Ale już w 43 zaczęła mu się widocznie rysować koncepcja rozegrania tejże karty i w pewnym momencie nastąpiła paszportyzacja. Był marzec, wczesne przedwiośnie, kiedy gruchnęła wieść, że wzywają głowy rodzin na milicję i proponują przyjęcie paszportu. Jak to? Była przecież akcja, dawano nam

13

takie karty drukowane zresztą w kilku językach: po angielsku, rosyjsku, polsku (jeśli się nie mylę), no i to był rodzaj dowodu, który nas identyfikował. Myśmy cały czas żywili nadzieję i ta nadzieja trwała aż do momentu zerwania stosunków z rządem polskim na emigracji, że nas zabiorą z Rosji. Było to oczywiście złudzenie, pobożne życzenie, ale ciągle nam się zdawało, że ci Anglicy i Amerykanie nie myślą o niczym innym, tylko o tym, żeby nas z tego domu niewoli wyprowadzić. Udało się części ludności z armią Andersa per fas et nefas jakoś się do Persji, do Afryki, Meksyku, Indii - dostać. Myśmy się uważali za straszliwie pokrzywdzonych (bo tak rzeczywiście było) i były takie sugestie, że te sprawy się rozpatruje. Dopiero teraz, czytając korespondencję Kota itp., widzę, na jakich to szczeblach te decyzje zapadały, jak bardzo się złudziliśmy. Ale ta nadzieja ciągle nas podtrzymywała: że nas zabiorą, wyprowadzą do tej Persji, Afryki. Teraz kiedy wszystko się zawaliło (bo i wojna z Japonią wybuchła) - trzeba było zacisnąć zęby, tkwić i czekać, aż dalszy bieg wojny przyniesie nam jakieś rozwiązanie naszego losu.

[Tymczasem paszportyzacja. Potworny szok. Szereg osób idzie od razu siedzieć, bo od razu powiedziano: Jeśli państwo nie przyjmiecie paszportu, to wg naszego prawa grozi wam 2 lata łagru, więzienia. Więc co? Przyjąć paszport sowiecki, to zaprzeczyć, że jesteśmy Polakami, że jesteśmy tutaj absolutnie czasowo. To znaczy wrócić do stanu z 41 roku, tak? Cały cynizm tego posunięcia - to były ciosy wymierzone w rząd polski, żeby go skłonić do jakiegoś protestu, któryby jeszcze bardziej te stosunki nadwątlił. Aż one rzeczywiście pękły, ale pękły na skutek sprawy Katynia, która wtedy wypłynęła. Tym niemniej widać było tutaj absolutną złą wolę ze strony sowieckiej, która zupełnie niepotrzebnie nagle zaczęła się paszportyzacją. Zupełny chaos, bo ludzie nie wiedzieli, czy ryzykować i iść rzeczywiście do więzień, żeby jakoś zademonstrować, że my absolutnie

tnie

nie chcemy być obywatelami sowieckimi, że protestujemy itd. Z drugiej strony, co dalej? Zostawić rodziny bez środków do życia, bez osób, które te rodziny utrzymywały? W naszym wypadku np. matka utrzymywała tę rodzinę. W końcu 43 roku wyszły już kartki, kartki dostawała tylko osoba pracująca i ona mogła brać kartki na osoby, które były na jej utrzymaniu. Więc moja matka dostawała kartki na chleb (bo były tylko na chleb) na mnie i na taką staruszkę, która myśmy przygarnęli i która z nami już do końca była. Sp. pani Woronowiczowa, miała trzech synów w wojsku. Ocalał jeden - major z dywizji Maczka, Wacław Woronowicz. Dwaj zginęli.

Więc co robić? Matka też dostała takie zaproszenie-wezwanie, więc zapakowała jakieś niezbędne rzeczy, żeby móc posiedzieć przynajmniej demonstracyjnie. Myślała, żeby dać się zamknąć na 24, 48 godzin. Tak np. postąpiła mąż zaufania, na którą były zwrócone oczy tej naszej całej społeczności. Później opowiadała mi: Słuchaj, to była dla mnie potworna sytuacja, bo wiedziałam, że ~~nikt~~ moje zachowanie się będzie miarodajne dla wielu osób. Że muszę podjąć decyzję, ~~czy~~ czy ryzykować do pewnego stopnia i życiem własnej rodziny (miała jeszcze siostrę i córkę, ewentualnie ta siostra mogłaby tę córkę utrzymać, ale siostra musiałaby przyjąć paszport). Z drugiej strony znaczy - kapituluję. No i pani Janina chyba 24 godziny siedziała, rozmawiano z nią. Przekonywano: Wasz protest jest zupełnie bezsensowny, niepożyteczny, bo pójdzie pani na dwa lata do więzienia, a potem i tak będzie pani musiała ten paszport przyjąć. Więc niech to pani zrobi teraz. Pamiętam, że kiedy rozstawałem się z mamą (to był ciężki, szary dzień), mama szła do miasta i mówiła: Bądź spokojny Henryczku, ja zobaczę, przemyślę tę sprawę, spotkamy się tam z kilkoma osobami, będziemy mogli przemyśleć jak to zrobić. Czy rzeczywiście skapitulować i przyjąć te paszporty. Bądź dobrej myśli opiekuj się panią Woronowiczową. Po iluś godzinach, wieczorem, matka wraca."Zdecydowaliśmy. Ponieważ pani Janina przyjęła paszport,

zdecydowała, że to nie ma absolutnie sensu, że po prostu tylko będą niepotrzebne ofiary, że wy powymieracie, powykańczacie się fizycznie, jeżeli my pójdziemy do więzienia, a nie wiadomo, kto z nas wyjdzie cały i zdrów. Ja tylko powiedziałam wyraźnie, że jestem Polką, żeby mi wpisali wyraźnie "polska nacionalnost" i oni mi to wpisali do tego paszportu. I ten milicjant powiada "No, wy wiernutsie wojna akończytsia, wy wiernutis na rodinu, za czem wy nam nużny". No, uspokojenie było formalne, ale tak właśnie ta sprawa u nas, w Aczyńsku się rozegrała.] Znam przypadek w rodzinie mego przyjaciela (mieszkającego obecnie w Ciechanowie Wiesława Burzaburzicza), którego przyszły szwagier nie przyjął paszportu. Mieszkali wtedy gdzieś albo koło Siemiepałatyńska, albo koło Barnaułu, gdzieś w Ałtańskim Kraju. I przesiedział dwa lata w łegrze z bandytami, urkami z najgorszymi mętami - zupełnie niepotrzebnie. A opowiadano mi również o takiej sytuacji, która się gdzieś, chyba w Kazachstanie, zdarzyła, że cała ludność męska, która tam jeszcze została, spakowała niezbędne rzeczy i stawiała się pod miejscowe więzienie. Miejscowe władze były zupełnie zszokowane. Bo w ten sposób wszystko staje: jakieś tam warsztaty, fabryczki, w których ci ludzie pracowali, gdzie na roli, w artielach - no i karmić trzeba w więzieniu. Stu pięćdziesięciu Polaków. I podobno machnęli ręką i oni do końca siedzieli bez paszportów. Dali spokój, machnęli ręką: uciec nie uciekniecie i tak w stepach głuchych. To jest relacja, za którą jako historyk nie biorę odpowiedzialności, ale to wszystko mogło być. Może kiedyś jakieś relacje wypłyną i to się potwierdzi. W każdym razie ktoś mi o tym opowiadał. Rozgadałem się może w ubocznych wątkach, a ale to były momenty ważne w historii naszego pobytu, naszego zesłania. Okres liberalizmu, swobody w 42 roku zmacony aresztowaniami i 43 rok - paszportyzacja. A wkrótce potem następuje afera katyńska, zerwanie z rządem na emigracji i pojawia się nowa jakość, której

myśmy się nie spodziewali - Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele, gen. Berlingiem itd. To znaczy, myśmy stykali się z ich działalnością, nie orientując się się zanadto w jej charakterze. W piśmie "Nowe Widnokreśli" można było wyczytać między wierszami, że jest to pismo bardzo proscowieckie, ale przynosiło również pewne informacje na temat i polskich sił zbrojnych na Zachodzie, walkach. To było oczywiście inne pismo niż "Polska", którą dostawaliśmy bardzo nieregularnie, od czasu do czasu poszczególne numery - które wydawała ambasada Rzeczypospolitej w Kujbyszewie. Redaktorem był najpierw Asawery Pruszyński, później Teodor Garnicki i Jan Erdman. Zginął śmiercią samobójczą, ale przedtem napisał tę piękną książkę "Droga do Ostrej Bramy". Zięć Wańkowicza. Trzy poważne, znaczące nazwiska. To pismo uważaliśmy za n a s z e. Natomiast "Nowe Widnokreśli" wydawały się jakieś lewe. Wychodziły w dużo lepszej szacie graficznej, bo miało np. dobrą czcionkę ("Polska" ukazywała się bez znaków ą i ę, za co zresztą przeprasza), nawet objętość była większa. Docierały łatwiej niż "Polska". Po zerwaniu stosunków z rządem Rzplitej nastąpiło parę tygodni jakiejś próżni, ale w tę próżnię od razu wskoczyła ZPP. Pojawiła się już w sprzedaży, w kolportażu "Wolna Polska", tygodnik ("Nowe Widnokreśli" były miesięcznikiem) zupełnie nieźle kolportowany, widocznie dystrybucja była oficjalna, szła sowieckimi kanałami. "Polska" była jakoś dziwnie kolportowana - zalegała, przychodziła z ogromnymi opóźnieniami. Podobnie jak nabór do armii Berlinga. Normalnie, przez wojenkomaty, z odpowiednimi powiestkami, czyli wezwaniami, które wysyłano do najbardziej odległych kolchozów. Ludzie stawiali się, szli bez ociągania się. Oczywiście Sowieci najchętniej braliby do Armii Czerwonej, ale cała rzecz polegała na tym, że oni starali się rzeczywiście, tak jak to się robi w ustroju sowieckim wiele rzeczy - z miejsca zrobić niesłychanie przyjemną, ciepłą atmosferę wokół tego.

Posypały się gesty: tu się tworzy wojsko polskie, nareszcie Polacy pod własnymi sztandarami, pod własnymi godłami, w polskich oczywiście mundurach na modłę przedwojenną, rusza najkrótsza droga itd od razu ruszyła bardzo intensywna propaganda.

Powiem, jak to się odbywało u nas, w Aczyńsku. Zaczęto wygarniać młodych ludzi, którzy nie zdążyli się załapać z Anderssem do Persji, i ci ludzie szli, bo wiedzieli, że jeśli nie pójdą do polskiego wojska, to ich po prostu wezmą do Armii Czerwonej, a oczywiście każdy Polak chciał znaleźć się wśród swoich, w formacji polskiej choćby narodowościowo. Ludzie z naszej emigracji często nie rozumieją, jak jednak istotną rzeczą jest znaleźć się w kupie, być z Polakami, wśród swoich. Tworzyć małe społeczności, ale swoje. Bo co czekało tych ludzi po zerwaniu z rządem. Czekali ich pobór do Armii Czerwonej, gdzie by ginęli anonimowo, zwaleni do grobów z bohaterskimi żołnierzami Armii Czerwonej - Kazachami, Turkmenami, Kirgizami. I koniec. Na pewno było to odczuwane jako mniejsze zło. Znam przypadki, kiedy ci nasi chłopcy jechali (a tu też były uroczyste odprowadzania, ładowali się do wagonów z jakimiś transparentami) śpiewali "Marsz marsz Sikorski z ziemi włoskiej do Polski", Sikorski wtedy jeszcze żył. Ci ludzie nie wyparli się swojej wier-
wobec
ności do legalnych władz Rzeczypospolitej, tym niemniej zdawali sobie sprawę - i myśmy też zdawali sobie sprawę - że oni będą może tą
tą jedyną kartą, jedynym czynnikiem, który nam pozwoli wrócić do kraju. To była jedyna legitymizacja, jedyny warunek: ich krew utworuje nam drogę do kraju. I myśmy sobie zdawali sprawę z tego, że to armia satelicka, uzależniona, że bez żadnych wątpliwości wchodzi tu w grę machinacje wielkiej polityki i sowiecka ręka trzyma wszystkie wodze, nie mieliśmy żadnych złudzeń co do tych pań i panów. Co do Wandy Wasilewskiej, to było wiadomo, że to była osoba, która poszła na całkowitą kolaborację jeszcze w 39 roku, wiedzieliśmy że to towarzystwo rozgrywa własną szansę. Ci ludzie dali alibi do

pozbawienia Polski 40 proc. terytorium. Ale prosty żołnierz miał szansę walczyć. "Może ja dojdę do tego kraju, jeśli nie zginę, i ewentualnie utworzę drogę mojej rodzinie, która wróci. To nam każe patrzeć również na armię Berlinga jak na Polaków z naszej krwi i naszej kości. Nie jako na tych, którzy później zrobili Polskę ludową, zasilili organy władzy, z której rekrutowali się obecni generałowie, cały establishment PRL-u. To byli po prostu nasi rodacy, którzy nam torowali drogę do Polski. Trzeba rozróżnić dwa pojęcia: żołnierze Berlinga i Armia Berlinga jako taka, jako najbardziej antypolska formacja satelitarna, mająca za zadanie zdezwamuwanie formacji zachodnich, pozbanienie podstaw wojskowych rządu w Londynie. Dywersja antypolska. Tak pan mówi. Była to po prostu karta, która w pewnym momencie rozpoczął Stalin grać na całego. Ale co innego są fakty, a co innego interpretacja tych faktów i ich skutków z głębszej i odleglejszej perspektywy historycznej.

Uwaga: koniec taśmy VII A i cała strona taśmy VII B to polityczno-historyczna perora, wykład na temat polityki Stalina wobec Polski w czasie II wojny, bardzo interesujący, ale nie należący do tematu. Nie spisuję.

No, ale wracajmy do tych syberyjskich wspomnień. Zatrzymaliśmy się na momencie, kiedy była ta potworna pasportyzacja, a później bardzo szybko potoczyły się wypadki, zaczęliśmy otrzymywać gazetę "Wolna Polska". Deklarację ZPP wyczytaliśmy w tej "Wolnej Polsce". To już musiało być przygotowane, zanim nastąpiło oficjalne zerwanie z rządem londyńskim. Pojawiają się jakieś osoby, które przyjeżdżają z kraju lub z Krasnojarska - organizowanie ZPP. Istnieje pewien opór, bo wchodzi jakaś nieznana nam organizacja, która nastawia nas od razu ~~pr~~ contra legalnym władzom Rzeczypospolitej. Propaganda przedstawia rząd na emigracji, jako rząd który działa antynarodowo na niekorzyść Polski, koalicji antyhitlerowskiej. Wtedy od razu wiemy o co chodzi, a jednocześnie jesteśmy przyswojeni do jakichś form

organizacji, istnieją te pewne struktury wybrane przez nas w sposób bardzo demokratyczny, komisje opieki społecznej, które grupowały się wokół męża zaufania. Teraz mąż zaufania przestaje być kimkolwiek, zaczyna się werbunek i zapisywanie do ZPP. Część ludzi oczywiście jest przeciwna, ale zaczyna się nam coraz bardziej dawać do zrozumienia: "wicie, rozumiecie", jeśli ktoś chce wrócić, to musimy tworzyć jakieś organizacje społeczne i dbać w dalszym ciągu o naszą sytuację bytową. Będziemy działali w dalszym ciągu w tym kierunku (opieki społecznej), rozwijać szkolnictwo. Naturalnie jest pobór do wojska - bo równolegle zaczyna się zaciąg do Armii Kościuszkowskiej - jest dowództwo, wiadomo, że będziemy szli najkrótszą drogą itd. A więc Wanda Wasilewska, której nie najlepsze konotacje z lat 39 - 40 były znane, "Nowe Widnokreśli" są ogólnodostępne, pojawiają się w coraz większym nakładzie. To było polskie słowo czypisane, jednak człowiek to czytał. Czytało się krytycznie w jakiś sposób, ale się czytało. Więc zaczyna się radosna twórczość. Ja to obserwowałem jako bardzo młody chłopak (miałem wtedy 13 lat) - jak ludzie zaczynają "prymykać", zaczynają się przychylić, bo to albo jakieś stanowisko, a to jakaś mała godność, a to "może zostanie przewodniczącą", a to będę przy tym żłobie bliżej - jak ci ludzie, którzy dotknęli tej prawdy sowieckiej, tej brutalnej prawdy sowieckiej - jak zaczęli pod wpływem otwierającej się możliwości awansu jakiejś kariery - jak zaczęli się zmieniać. "Notak, ale oni nas w Londynie nie rozumieją, nie znają naszych realiów, spisali nas na straty, a po co ta armia Andersa wychodziła, powinni byli tu zostać wtedy mielibyśmy jakieś zaćzepienie". Od razu zaczyna się dorabianie jakiejś małej ideologii, jakieś małe argumenty, małe motywacje. "Musimy teraz patrzeć w przyszłość, nie kierować się tylko sentymentami, oczywiście sprawa Kresów Wschodnich jest dla nas bardzo bolesna, prawie wszyscy pochodzimy stamtąd, ale w końcu są to

ziemie zamieszkałe jednak w większości przez Ukraińców i Białorusi-
nów, jednak istnieje republika Białoruska i Ukraińska! I nagle lu-
dzie, z którymi stało się w kolejkach i dzieliło kawałek suchego
chleba, jałgość zmieniali się, jakaś erozja, zaczęły się tworzyć po-
działy. Byli ludzie, którzy zachowali swoje własne poglądy, ale ta-
kie sytuacje różnie ludzi wciągają. Ja na podstawie tej mini spo-
łeczności w Aczyńsku, mogę sobie wyobrazić, jak to się odbywało w
innej skali, dlaczego jednak powstała w końcu w roku 44 i 45 ta
administracja polska, jak ludzie zaczęli wypełniać te urzędy, gar-
nąć się do tej władzy. Przecież ja wiem, jak ci nasi chłopcy, któ-
rzy naprawdę śpiewali nieraz "Marsz marsz Sikorski z ziemi angiel-
skiej do Polski" (bo i takie były śpiewki u tych późniejszych ber-
lingowców), jak później awansowali, dostawali jakieś gwiazdki, za-
częto ich nurabiać na polwychów, jak trafili do wojska i zostawali
w tym wojsku, jak robili karierę. Cała nasza kadra obecna, PRL-
owska wywodzi się z tych ludzi, którzy dostali w kość, mieli pra-
wo naprawdę nienawidzić tego wszystkiego. Mało - powinni byli nie-
nawidzić systemu, który już wtedy był systemem stalinowskim, żad-
nej nie było wątpliwości. Bywały momenty pewnej nadziei, że pod
wpływem tego potwornego faktu, jakim była wojna, nastąpi jakieś o-
czyszczenie, że może coś się w tym zmieni. To przebrzmiewa w ostat-
nich fragmentach "Doktora Żywago" Pasternaka (skrót). Może ten sy-
stem wyjdzie z tego zmieniony, może ten Stalin jakoś przejrzy, zo-
baczy, spojrzy na swoje błędy jakoś inaczej. Nam się też zdawało,
że po zderzeniu się tych mas sowieckich z Zachodem, z inną cywili-
zacją, kulturą - że to również do pewnego stopnia zacznie rozmie-
kzać ten system, ale okazało się, że nic podobnego. Żołnierze,
którzy byli na zachodzie szli do łagrów. A nasi żołnierze też wpad-
dali w pewne struktury, też im coś wbijano do głowy, jakieś ówieró
prawdy i półprawdy. Przecież propagandy była czasem bardzo zre-
czna, wykorzystywała wszystkie słabości Polki przedwojennej i wady

nasze okresu międzywojennego. To wszystko kumulowało się, oddziaływało na głowy często ludzi prostych i to wyrabiało mniej lub bardziej lojalnych obywateli PRL-u. Dopiero później się oczy otwierały, byli tacy, którzy mieli zawsze otwarte oczy. Propaganda bazowała na tym, że oto coś tworzymy od nowa, oto nagle jest szerokie ogromne pole, mamy możliwość budowania zupełnie czegoś innego, nowych struktur, instytucji, nowej rzeczywistości,ładu, ustroju. I wiele osób na to szło. Widziałem nieraz moich starszych kolegów i koleżanki, które szły do wojska, były platerówkami i pewnie jakoś ulegali indoktrynacji.

(skrót) Potem straszliwej okupacji niemieckiej każdy był lepszy przynajmniej na jakiś czas. Tych Rosjan też witano jako wyzwolicieli od koszmaru hitlerowskiego, od tej grozy obozów, pieców krematoryjnych... Po pierwszej okupacji ~~nizkizkizkizkizk~~ sowieckiej też witano Niemców prawie kwiatami. Niemcy byli zdziwieni, dlaczego ich tak witają. Ale ze swoją straszliwą butą i zarozumiałością i barbarzyństwem uważali że ci ludzie to śmieci. Ale przecież i w Rosji samej witano ich czasem chlebem i solą. Mieli dosyć czystek, obozów wywozów. Później widziano w tej armii berlingowców trochę czegoś obcego.

Natomiast inna była nasza opcja. Ta propaganda trafiała też do pewnych środowisk. "Notak, wyście nas opuścili, generał Anders uwiozł swoju armiu, kagda my strażalis pod Stalingradem" itd, itd. Więc to, że nasi "biją się" po "naszej" stronie było dla nas pewnym moralnym wsparciem. Pamiętam, jak jeden ranny wrócił do nas z frontu, spod Lenino. Taki pan, prosty facet, bez ręki. Rzuciliśmy się na niego, bo to był pierwszy człowiek, który stamtąd wrócił, jako inwalidę go odesłali. Pytaliśmy, jak tam było. "No cóż, biliśmy się z Niemcami". I zaczął nam opowiadać, jak to natarcie ruszyło na wieś Rost i na komandnym punkcie oficerowie bili im brawo i rzucali czapkami w górę. (A jednocześnie sąsiednie dywizje nie ruszyły

74

się i nie poszły na pomoc. Wiele lat później mówił o tym we wspomnieniach swoich, zresztą nagranych, Berling. Głos mu się łamał). Ten zwyczajny żołnierz, który bez ręki wrócił na Syberię, bo tam miał rodzinę, mówił o tych stratach, bombardowaniach, braku wsparcia lotniczego. Myśmy się zorientowali, że tam była hekatomba. Ale on wrócił już jako ten kombatant, czuł, że tam c o ś z r o b i ł. I jeszcze była jedna rzecz charakterystyczna dla Polaków - "No, pokazemy, że rzeczywiście umiemy się bić". To grało ogromną rolę. Ten bez ręki opowiadał: Później, jak leżałem w szpitalu z żołnierzami sowieckimi, to mówili "Wot, Polaki, u nas tylko metrosy tak idut w ataku." Porównywano więc nas, tę dywizję, która dopiero kilka miesięcy była, ludzie zupełnie zieloni, zaczął się pobór w kwietniu lub maju 43 roku, a oni w październiku szli w bój - do marynarzy sowieckich. Te elementy to było dla nas jakieś wsparcie. Inaczej wyglądaliśmy wobec tych władz wszystkich sowieckich.

Jak wyglądało przejście od struktur do struktur: otóż na ogół było tak, że wybierano tych samych ludzi. I nawet czasem proszono "Pani, zapisz się pani do tego ZPP, bo my pania chcemy zrobić jakąś przewodniczącą, bo mamy do pani zaufanie". Więc właściwie na niskich szczeblach myśmy tworzyli struktury dość demokratycznie. Wprawdzie był u nas taki przewodniczący ZPP, pan Ziemiński (ci miejscowi przewodniczący to byli raczej wysuwani, mianowani). Takim przewodniczącym był jeden pan (nie będę wymieniał nazwisk), zresztą Żyd, przedwojenny dziennikarz. Zjawili się ci państwo, małżeństwo, stosunkowo młodzi, mówili, że wrócili z Magadanu. Nie wiem, czy to była prawda. W każdym razie magadańscy to już była elita - oni przeszli piekło. Jak ktoś wrócił z Magadanu to już był cud boski. Oni rzekomo byli na Magadanie. W każdym razie zjawili się w Aczyńsku, byli niesłychanie mili, skromni, ugrzeczniejsi. I trzeba zobaczyć ewolucję tego pana, jak został przewodniczącym ZPP! Oczywiście był komunizujący czy lewicujący przed wojną, a tu z miejsca jakieś

czął

przybierać tony! Jak zaczął ustawiać! O wrogiej reakcyjnej polityce "rządu emigranckiego", bandzie Andersa, Sikorskiego (Sikorski jeszcze żył). Moja mama, która była przewodniczącą, bo właściwie później wszyscy zapisaliśmy się do ZPP. Powiedziano nam: Słuchajcie, nie róbcie kawałów. Chcecie wrócić? - Chcemy. To trudno, człowiek by się zapisał do stowarzyszenia szatanów, gdyby takie było, żeby tylko móc wrócić. To była taka sytuacja jak na Śląsku czy na Pomorzu: pozwolono zapisywać się na angedojczów. I rząd emigracyjny powiedział, że broń Boże (...) bo to tylko pociągnie za sobą straty, ofiary. A że tych angedojczów potem brano do wojska niemieckiego, to fakt. Więc coś tu było: nawet te osoby, które zachowały jak najbardziej swoje poglądy "niepodległościowe" i były poza oddziaływaniem ideologii komunistycznej, musiały. Chcę tylko wytłumaczyć dla czego tak było. To było contre coeur, myśmy wiedzieli, że to nie dla nas, nie solidaryzujemy się z tym. Że my się ni gdy nie możemy wyrzec zabranych nam w sposób arbitralny, brutalny - kresów. Nie na zasadzie, że jakieś tam strony się umawiają, jak to było w 21 roku (skrót - wywód o wojnie polsko-sowieckiej i pokoju ryskim) Mogliśmy więcej uzyskać, i Mińsk i Słuczczyznę i nadberezynskie tereny, gdzie mieszkało półtora miliona wspaniałej polskiej patriotycznej ludności. I daliśmy tych nadberezyczyków na zniszczenie, zagubienie. Ale to była jakaś umowa mniej więcej równoprawnych partnerów. A tu się nam narzuca pewne rzeczy i kazano się w dodatku z tego cieszyć! W pewnym więc sensie pewne rzeczy są w dalszym ciągu bolesne dla mnie, aczkolwiek nigdy nie uległem jakimś pokusom zrobienia kariery, nie wstąpiłem do ZMP, ale uważam to za szczęśliwy zbieg okoliczności, że mogłem tego uniknąć. Bo większość moich kolegów musiała wstąpić masowo, bez tego nie było szansy na studia.

Mieliśmy przed sobą te parę lat do powrotu, były to bardzo ciężkie lata. W 43 roku straciliśmy nadzieję, która mieliśmy dopóki

istniały władze polskie, że nas w jakiś sposób ewakuują. Teraz już nie było żadnej nadziei, trzeba było czekać na rozstrzygnięcie, na koniec wojny. Jesteśmy na razie w 43 roku - to właściwie był półmetek, wróciliśmy w 46. Ten czas się nam bardzo, bardzo dłużył.

Jak wyglądało to nasze bytowanie. W 43 właściwie wszyscy musieli pracować. Jeśli ktoś przedtem miał jakieś rzeczy przywiezione z kraju, nie pracował. Moja mama przez dłuższy czas też nie pracowała, zajmowała się handlem, tzn. sprzedawała to, cośmy zdołali zabrać dzięki temu stosunkowo przyzwoitemu enkawudystom w tych dwóch, zresztą dużych, kufrach. Do końca zimy 43 roku nam to wystarczało. Potem ogłoszono obowiązek pracy i od tego było uzależnione otrzymanie kartek na chleb, czyli podstawę żywności. Dostawaliśmy początkowo 600, potem 500 gram na osobę pracującą, a na osobę na utrzymaniu początkowo 400, a potem 300g chleba. I ta norma utrzymała się do końca. Kartek chyba nie zniesiono do 46 roku. Nie przypominam sobie, żebyśmy pod koniec pobytu kupowali chleb w wolnej sprzedaży. Chleb na przydział dostawało się w miejscu pracy. Mama zaciągnęła się do takiej artielei, która się nazywała Nadomnik. To była spółdzielni pracy o tyle wygodna, że nie krepowała mamy w sensie czasowym. Mama dostawała po prostu przydział włóczki i z niej robiła jakieś pilotki, które szły na sprzedaż czy na potrzeby wojska - w każdym razie to dawało mamie możliwość poruszania się, bo mogła zabrać tę włóczkę i szydełko i gdziekolwiek iść. Jeszcze mieliśmy jakieś rzeczy do sprzedania i to nam wystarczało na skromne, ale to bardzo skromne bytowanie. I ten chleb, który się otrzymywało raz na dwa dni. W styczniu 44 przenieśliśmy się ze stacji Aczyńsk Drugi do miasta i to było nasze mieszkanie, z którego wyruszyliśmy do kraju. Trafilo się jakoś wygodnie, bo mieszkaliśmy u żony oficera znajdującego się na froncie, która sama pracowała z kolei w milicji, była jakimś pracownikiem cywilnym

sekretarką. Więc była dogodna sytuacja. Stosunki układały się dobrze, zresztą i z jej ojcem, który umarł na naszych rękach, starszy pan. Bardzo żyliśmy się z tą młodą panią, z nim również. Wieszkałiśmy wprawdzie na peryferiach miasta, daleko było do tzw. centrum, ale nie krzywdowaliśmy sobie, bo nasze stosunki układały się harmonijnie i życzliwie. Stosunki między naszą społecznością, jednak jakoś wyizolowaną a ludnością miejscową układały się na ogół nieźle. To znaczy ze strony starszego pokolenia spotykaliśmy się z objawami zrozumienia, a nawet pewnej wyakcentowanej życzliwości; może wyczuwali w nas przybyszów z kraju stojącego wyżej w sensie cywilizacyjnym i kulturalnym. Od czasu do czasu mówiliśmy o tym, jak wyglądało to nasze przedwojenne życie. Ci ludzie nie mieli żadnej skali porównawczej. Starsi pamiętali jeszcze czasy carskie, które raz były lepsze, raz gorsze, ale w ich optyce, z tej perspektywy ten okres nie był wcale zły, przeciwnie, w rozmowach bardziej intymnych opowiadali, że "żyliśmy lepiej, bogaciej". Opowiadali o tych niesamowitych represjach, które tam wybuchały w różnych okresach i które dotyczyły wszystkich żyjących lepiej, dobrze. Tak się złożyło, że Syberia w tamtych czasach była naprawdę jakąś ziemią obiecaną pomimo surowego klimatu, gdzie ludzie czuli się jakoś swobodnie, uprawiali tyle ziemi, ile mogli. Jak ktoś miał większą rodzinę, to więcej karczował lasu, tej tajgi i ~~xxxxxxx~~ hodował później barany, owce. Co niedziela biło się barana, jadło się obiad mięsny. Te wspomnienia nas niejednokrotnie zaskakiwały. Ze ludzie wspominają te czasy nie jako koszmar i gehennę, tylko właśnie przeciwnie. Te bliższe okresy głodu i prześladowań były bardziej wyraźne.

My, Polacy byliśmy w większości warstwą inteligencką, choć byli wśród nas prości ludzie, bo byli osadnicy, którzy należeli do warstwy włościan, rolników. Ludność miejscowa była chłopska, choć

to było miasto, to inteligencji było co kot napłakał, a reszta to coś w rodzaju chłoporobotników. Nie byli to chłopci, bo nie mieli ziemi poza swoimi ogródkami, które na ogół były przy każdym domu. To dla nich była główna podstawa egzystencji, to ich różniło od nas. Oni mieli tę krowinę w domu, która dawała parę litrów mleka, a myśmy tej krowiny nie mieli. Oni mieli kartofle, marchew, buraki, a myśmy musieli to skądś kupować. Ale była to ludność niewątpliwie w obyczaju surowa. Ich mentalność, reakcje, kształtowały się w warunkach bardzo ciężkich, w warunkach ciężkiej walki o byt. Tak że nie była to ludność, która by podchodziła do nas z jakimś sentymentem. Bywali również w stosunku do nas szorstcy i brutalni. Nie mówię o młodzieży. Młodzież to była straszliwa banda. (skrót) Teraz jak czytam o tych mafiach, wymuszeniach, bandytach, którzy się rozplenili w ZSRR, to sobie uświadamiam, że to przecież tak musiało być. Pokolenie moich rówieśników to była po prostu banda chuliganów. Tam zresztą spotkałem się po raz pierwszy z określeniem "Chuligan", którego sobie nie przypominam sprzed wojny. A tu mówiło się o chuliganach, urkach, szer....., to są te określenia bandytów zorganizowanych. Ta młodzież, która rosła pozbawiona religii, pozbawiona wychowania domowego, młodzież, która wychowywała się właściwie na ulicy, którą wychowywała banda. Banda danego kwartału, danej ulicy. To wszystko było straszne. Ja miałem znajomych, i to bliskich znajomych, takich zaprzyjaźnionych pośród moich rówieśników rosyjskich, ale to były wyjątki. Raczej czułem się jak zaszczyty jeleni. Jak szedłem gdzieś coś załatwić na mieście (do biblioteki poczytać) to właściwie zawsze to było dla mnie przeżycie, bo nigdy nie wiedziałem, czy ~~powrócę~~ nie wrócę z głową pociętą nożem, czy normalnie pobity. Ponieważ jeśli człowiek nie wchodził z nimi w pewne układy, to czuł się absolutnie tępiony. Jak czarna owca, którą można było zaatakować, napaść, pobić, nastraszyć. To było bardzo

nieprzyjemne, bo nie było właściwie żadnej możliwości obrony, myśmy mieszkali przecież w rozproszeniu. Gdyby to były większe grupy i paru chłopaków się zebrało w grupy, to co innego. Wtedy ta miejscowa żulia musiałaby się z nami liczyć. Ale ja np. mieszkałem zupełnie sam, na przestrzeni kilku ulic nie było nikogo z Polaków. Był jeden kolega, młodszy ode mnie i nie stanowiliśmy żadnej pary, która mogłaby się wdać w jakieś rozgrywki siłowe z miejscową żulią. Oni usiłowali wciągnąć człowieka w pewne sprawy, np. mnie proponowali, żebym ułatwił im dostęp do ogrodu mojej gospodyni, ułatwił im kradzież z ogrodu. Oczywiście odmówiłem i byłem u nich spalony. Byliśmy izolowani, jakkolwiek bywało różnie. Ja kiedyś miałem naprzeciwko sąsiadów, bardzo miłą rodzinę, Waśka Kuźniecowa był miły chłopak, Łońka Pronkin, b. sympatyczny chłopak, z którym bawiliśmy się. Natomiast w samym Aczyńsku było już gorzej i tam byłem bardzo izolowany, przeciwnie - byłem tam ostro napastowany. Na mieście, jak zobaczyłem, że tam jakaś grupka stoi, wolałem nadłożyć drogi, nie pchać się im w oczy, wiedziałem, że to dla mnie źle się skończy. Dla nas i dla mnie, wychowanego w jakimś ethosie "rycerskim" istniały jakieś reguły gry. Tam te reguły gry wyglądały zupełnie inaczej, Nigdy niezapomnę chłopaka - jednego z tych miejscowych łobuzów - który został złapany przez swoich konkurentów, obity i któremu nasiukano w uszy. Chłopak chodził (nie przyszło mu do głowy, żeby się umyć), śmierdząc moczem. To na mnie zrobiło szalone wrażenie, bo postawiłem się na jego miejscu. "Ache, to nie dość, że mnie pobiją w jakiejś tam walce, ale sponiewierają moją ludzką godność. Niestety takie tam były reguły gry, to była dzicz straszna, która miała okazję zachowywać się tak później niewiem, czy w Afganistanie, czy gdzie indziej. U nas nawet jak ~~xxx~~ jak bandziory, to jak chłopak powalony, to już koniec, nokaut. Natomiast tam się tak rozprawiano, to było na porządku dziennym.

Pamięć zachowuje i momenty piękne, a one bywały. Przede wszystkim kraj był swoiście piękny. Niejednokrotnie człowiek sta-

wał, z zachwytem patrzył na tę wspaniałą zimę, wspaniałe lasy, krajobraz. Takich zim przepięknych, majestatycznych, ze wspaniałymi śniegami - ja już potem nie widziałem. Czyste powietrze, które niosło każdy dźwięk, wyostrzało - to się nadeje na oddzielne refleksje. Natomiast to nasze normalne życie było dość koszmarnawe. Człowiek w gruncie rzeczy nie czuł się tam nigdy bezpieczny. Ludzie żyli co prawda pod bardzo czujnym, niewidocznym okiem nieznanymi agentów - seksotaw (sekretnych satrudnikaw) i rozmaitych donosicieli wiadomego czteroliterowego urzędu, czyli ministerstwa czy komisariatu, natomiast w zakresie normalnego bezpieczeństwa było bardzo słabo. Właściwie zawsze człowiek mógł paść ofiarą napadu, pobicia. Taki przykład, który nam się zdarzył: Trzeba było jakoś przeżyć ostatnią zimę 45/46 i mama rzuciła ostatnie atuty, które mieliśmy jeszcze w tych naszych przepastnych kufrach, mianowicie dwa fraki - ojca i mego wujaszka, braża mamy. I te fraki leżały, piękne, szyte u jakiegoś bardzo dobrego krawca w Wilnie. Swego czasu w Aczyńsku pojawiła się grupa trupa aktorów, myśmy tam mieli gmach teatru i od czasu do czasu zdawali się. Mama się dowiedziała, że przyjechali na występy, wybrała się od razu do nich i zaproponowała: Czy ktoś z państwa nie chciałby tego kupić? - Ależ oczywiście, niech pani przyniesie. Więc matka przyniosła, oczy im się rozbiegły i mama te fraki przehandlowała za równe 4 tys. rubli. To prawie że zapewniało przynajmniej wykupienie opału na całą zimę. To była duża rzecz. Poszliśmy z matką po odbiór tych pieniędzy, mama zainkasowała od aktorów te 4 tys. A chodziliśmy do takiej jednej znajomej staruszki, pani Hładkowej, która mieszkała w straszliwych warunkach. Myśmy ja tam odwiedzali, przynosiliśmy jakieś jedzenie. I mama niosła taki ronderek. Pieniądze mieliśmy w starej teczce i początkowo ja nawet je niosłem, a mama szła jak zawsze z takim kijem, taka laska. Idźmy, godzina 8 wieczór, ciemno. Zauważyliśmy taką grupkę chłopaczków

stojących na rogu. Mama zobaczywszy ich, zabrała ode mnie tę teczkę i dała mi ronderek. Zanim zdołaliśmy się cofnąć, ci nas spotrzelgli i rzucili się do nas. Napada na nas grupa 5 czy 6 wyrostków, rzucają się do bijatyki, mama naturalnie zaczyna krzyczeć "milicja, milicja!", jeden rzuca się z tyłu na matkę, ja usiłuję go ściągnąć, podbijają mi nogi, czuję że jestem w śniegu, dostaję parę kopniaków. No ale tam człowiek jest ubrany ciepło, na nogach walonki. Puściłem ten ronderek, złapali go jak dzicy i z wrzaskiem zaczęli triumfować z powodu tego trofeum. A tymczasem matka kurczowo zaciskając pod pachą teczkę z 4 tys. rubli, opędzała się kijem od napastników. I oni odskoczyli, zadowoleni z tej zdobyczy - rondelka. Już było stosunkowo niedaleko do naszej chałupy, zdołaliśmy jakoś dobiec do domu. Mama mówi: Gud boski, gdybyś ty miał teczkę i mnie bronił, to padając upuściłbyś ją i byłaby to potworna strata. To była nasza, można powiedzieć, codzienność. Kiedyś matka stała na bazarze (chodziło się na bazar coś sprzedać) podchodzi do niechłopaczek: Tioćka, eto wasz portmoniet? - podaje matce jej własną portmonetkę. - Tak, skąd ją masz? - Ot, chuligan, poletiek - mówi i oddaje matce portmonetkę. Matka naturalnie dziękuje, chłopaczek rozpływa się w tłumie. Po pewnym czasie sprzedająca, u której matka miała coś kupić, powiada: Toż on u was staszczik! - Matka patrzy ó nie ma pieniędzy, tych kilkunastu rubli. Ale tego chłopaczka już nie było. - A czemuż ty nie powiedziałaś, że to on wziął pieniądze i portmonetkę oddał? - Bo oni by mnie tu zarżnęli na bazarze, ja bym życia nie miała. Nie wolno. To była obowiązująca zasada: widzisz, że kradną, nie u ciebie, to milcz. Ty masz prawo złapać za rękę, odebrać, zaryzykować konflikt z takim złodziejaszkiem. Przy czym tych złodziejaszków były różne kategorie. Byli ci karmaszczyki, szczeniacy, którzy wyciągali z kieszeni, byli ich patroni, starsi, już raczej nożownicy. Zdarzyło się mojej matce, że zauważyła, jak taki żulik coś usiłował wykraść jakiejś kobiecie-

nie. Matka zawołała, ostrzegła - ten do matki podszedł i już nie pamiętam, czy rzucił matce w twarz grudę lodu, czy wręcz uderzył ją pięścią w okolicę oka, w każdym razie przyszła do domu z podbitym okiem. "Smotri, blat" - to wszystko działo się na bazarze. To nie byli bezprizorni, to była miejscowa żulia zorganizowana, mogli sobie popozwalać. Bazar był centrum życia towarzyskiego i w ogóle życia. To byli przedstawiciele młodzieży radzieckiej, których od czasu do czasu brali z poboru do wojska i tam walczyli mężnie z hitlerowcami. Ta starsza ludność była częściowo wierząca, bo wychowana w środowiskach ludzi wierzących, z oddziaływaniem kościoła prawosławnego - a ich synowie i wnuki to już była banda. Rzadko kiedy zdarzała się taka np. rodzina jak Komarowów - rodzina pochodzenia trochę ukraińskiego. Był tam Miszka, chłopak 19 letni, który pod koniec wojny poszedł do wojska. Czytał "Chłopów" Reymonta. Mówię, że chciałbym przeczytać nawet w tłumaczeniu rosyjskim, a on mówi: Wiesz co, Heniek, to jest dla ciebie trochę za wcześnie, sądząc z tego, jak cię twoja matka wychowuje. Tam są sceny drastyczne itd - za parę lat przeczytasz to może z większym zrozumieniem. Ten człowiek też potrafił zdzielić po mordzie, bo rodzina była dość bojowa, ale bardzo miła i drżąca nas wielką sympatią. Myśmy tam do nich często zachodzili. A jednak wrodzona jakaś subtelność w tym chłopaku. (skrót)

Ja wracając w 46 roku patrzyłem na społeczeństwo radzieckie przez pryzmat tych ogromnych mas młodzieży, rosnącej w niesłychanie zbrutalizowanym świecie, w zbrutalizowanej atmosferze, powiedziałbym, spłasznowo chamstwa, kompletnego schamienia, czego dowodem, znakiem, jest ta straszna mania przeklinania, ten słynny mat rosyjski. On zawsze istniał, ale jak człowiek słyszał to na co dzień - mat, mat i wszędzie te wielopiętrówki się sypały - to było dla nas obrzydliwe. Człowiek był z tym otrzaskany i przestawał tak bardzo reagować, ale ciągle mnie to wtedy odrzucało. To słownictwo, prze-

platanie każdego zdania wielopiętrowymi przekleśtawami. A przecież to był normalny język. Tak jak u nas mot clef zaczynające się na p którym można wyrazić wszystko, dodając odpowiednie przedrostki, tak u nich słowo 'na b' było jak przecinek, jak porzekadło. Błat cały czas! Albo piętrówki, zaoszczędzę cytowania. To była ta rzeczywistość nasza. Tam się mówiło o człowieku "Wot, kulturnyj czełowiek on nie matieritsia". Starsi ludzie też bluzgali, kobiety rzadko, mniej, ale wśród mężczyzn zdarzali się ludzie w sile wieku, o których mówiło się: On matierszczynnik. To była po prostu taka jego cecha, jemu było wygodniej używać tego słownictwa, a nie innego. I to się mówiło z lekką przyganą, ale to go nie wykluczało jako człowieka, który by nie mógł znaleźć się w towarzystwie. Przeciwnie się mówiło: On kulturnyj, on nie matieritsia, ot, czasami, może z muzykami, w męskim towarzystwie można, ale w towarzystwie kobiet powściąga się. To już była cnota. Rzucam przykłady, żeby zobrazować, jak to towarzystwo wyglądało. U nich przychodził pan do domu i d proga samego matierik od razu żona i dzieci, jak był w złym humorze, albo wręcz pijany.

Czy myślny doznali dużo serca od tej ludności? Mogę powiedzieć od pewnych ludzi w pewnych wypadkach, napewno tak. W każdym razie chcę tu podkreślić z całym naciskiem: ja nie wyniosłem do Rosjan en blac jakiejś antypatii, choć daleki jestem od idealizacji. To jest naród, który prawdopodobnie miał więcej cech pozytywnych, ale te cechy zostały stłumione czy nawet wykorzenione przez już system sowiecki, w którym im przyszło żyć. Odebrano im cały ethos związany z religią, zmuszano ich do stałej kradzieży. Przecież ci ludzie na każdym stanowisku coś kradli, coś brali, bo to kazionne, nas wszystkich, więc mogę wziąć. Albo kradli, bo inaczej w ogóle nie mogli żyć. Tu muszę zacytować pewną rozmowę z naszym gospodarzem, taki trochę chłopak-roztropek, trochę czytał, z pisaniem gorzej mus szło, ale czytał, więc się uważał za człowieka bardzo wykształ-

wykształconego. Był bardzo pewny siebie - Araman Pietrowicz Kulikow. Mieszkaliśmy na Aczyńsku Drugim przez pewien czas u niego i jego żony. Oni zresztą nam oddali z całym zawierzeniem swoją chałupę z psem. Mieszkali oni i pracowali na kolei jako zwyczajni robotnicy przy pracach na linii z Aczyńska do Abakanu. Mieszkali tam praktycznie przez cały rok z wyjątkiem 2,3 miesięcy najbardziej ostrych, w tajdze, na tzw. 20 kilometrze, gdzie były jakieś bazaki dla pracowników - bardzo zadowoleni, że myśmy myśmy się znaleźli, uczciwi, którzy mogli się zająć domem i psem. Mieliśmy tę chałupę jednoizbową z małą kuchenką do własnej dyspozycji i jakiś czas było nam tam zupełnie dobrze. Moja matka pyta: No dobrze, ale w jaki sposób my będziemy tego psa karmili? Bardzo miły kundelek. A na to chłopak-filozof powiada: No cóż, przed rewolucją robotnik otrzymywał pewną kwotę i za tę kwotę kupował chleb, kiełbase, jakoś tam miał na przeżycie. No teraz przy sowieckiej władzy ja otrzymuję też pewną sumę, ale nikt mnie nie pyta, co ja za tę sumę kupię. I czy ja z tego przeżyję. To ja jego, tego biednego psa też nie pytam, z czego on żyje, czym się żywi.

Piew zresztą potrafił się żywić własnym sumptem, szedł pod kolejową stołówkę i tam żywił się ze śmietnika. Nieraz przychodził w dobrym nastroju, jak znalazł ochłapy, które zadowolili jego niezbyt wybredne podniebienie. A myśmy go dokarmiali łupinami kartofli. A jak dostał kartofla, to była radość niesamowita.

To było doskonałe powiedzenie. "Mnie władze nie pytają, czy ja za pensję utrzymam żonę i dzieci i siebie, a ja nie pytam psa. Ten pies się jakoś utrzymywał dopóki się nie struł, myśmy się przestraszyli, że może dostał wścieklizny, bo zachowywał się nienormalnie. Nasza gospodyni zamiast poprosić milicjanta, żeby go zastrzelił - zmobilizowała takich wyrostków, którzy po prostu zrobili polowanie na tego psa i zatłukli go kijami. To było coś strasznego. To był przemiły i przyjazny pies, jego koniec był okropny (Borzika)

Tak ogólnie wyglądało nasze życie z ludnością, która nas traktowała raz lepiej, raz gorzej. Mama, która miała w sposobie bycia dużo bezpośredniości, dorabiała wróżeniem. Ten naród pozbawiony religii i wiary szukał jakichś substytutów w sytuacjach ciężkich. Trwała wojna, rozgrywały się dramaty. Mama zdecydowała się wróżyć w sposób dyskretny, nie zawodowo, bo można było mieć przykrości ze strony władz. Ale znajomym matka zaczęła wróżyć. I ciekawa rzecz - obserwowałem jako chłopaczek taki, który siedzi z boku i przygląda się. Mama potrafiła powiedzieć prawie wszystko o osobie, którą widziała po raz pierwszy. Potrafiła przewidzieć jakieś sytuacje, które z tą osobą lub z jej bliskim mogły się stawać, zdarzyć. Tema o mamie szła, bo baby jedna drugiej powtarzały: Słysz, tu taka Polaczka, pierwa klas ona rozeznała, ona mi wsio skazała pro mojewe Wiszku. I te babiny przychodziły z rondelkami a to kiszzonej kapusty, a to z półlitrem mleka, a to z kawałkiem chleba, z jakąś główką czosnku. To były rzeczy dla nas wartościowe. Mama miała niektóre baby, które przychodziły do niej regularnie. Była taka Ania - powarycha, młoda osoba z dzieckiem. Któryś tam jej mąż poszedł na wojnę, zostawił jej i to dziecko, a później już miała takich przygodnych znajomych, różne rangi, a to lejtenant, a to starszy lejtenant, tam nie było wielkiej różnicy między oficerem a podoficerem. Za każdym razem przychodziła. Mama siadała, rozstawiała karty w kilku układach i oczywiście okazywało się, że jej brunetowi, szatynowi, blondynowi - czeka ich podróż, wielka droga, oczywiście na front. Pamiętam dziesiątkę trefl wskazywała tę drogę. Za każdym razem ona kiwała głową i powtarzała: No, Francowna apiat wsio skazała. Pytałem mamy, jak jej się to udawało, czasem mnie to wprawiało w osłupienie. Mama mówiła, że to była intuicja, znajomość psychologii i pewnych sytuacji, które się powtarzały, bo wiadomo było, że te baby miały żyć kochanków bez przerwy, bez liku. Przecież mieliśmy tam duży garnizon, bo

tam dywizja stała przed wojną, jedna z syberyjskich dywizji, która zresztą dowodził nasz kochany Karol Swierczewski. O ile wiem, to dosłownie z tego stanowiska z Aczyńska przeszedł do Wojska Polskiego. Ta masa żołnierzy szła na front, baby sobie fundowały następnych, czy raczej oni sobie fundowali i tak szło. Z tą Anią powarychą stosunki nasze były niesłychanie serdeczne, myśmy ją bardzo lubili. Mama mówiła: "No cóż, puszczała się, bo puszczała, ale miała bardzo dobre serce" I dla nas była serdeczna, przynosiła, co mogła z tej stołówki staszczit`czyli zwędzić. Mieliśmy tzw. błat; bośmy mogli załatwić w tej stołówce chleb, co było bardzo ważne, bo zamiast chodzić do tej centrali artielei dwa km do miasta po ten chleb na kartki, załatwisko się go o 200,500 m w stołówce kolejowej.

Błat`był rzeczą niesłychanie ważną. Jest na to szereg definicji - błat swiatoje dieło, dojście. Mieć błat, to mieć chody poprzez kogoś, kto gdzieś pracuje, np. w fabryce, która produkuje walonki. Wiadomo, że tam można je wykombinować "po błatu", jakieś z odrzutu. Bo to wszystko przecież szło na front, sklepy były zamknięte, nie było żadnego handlu, tylko na rynku. Błat w stołówce, błat w urzędzie - coś załatwić łatwiej. Wyrobieńie sobie różnych błatów było bardzo ważne i niejednokrotnie pomagało nam przeżyć różne sytuacje.

Ludność miejscowa częściowo pochodziła z naszych kresów białoruskich, bo tam w początkach naszego wieku był głód i dużo ludzi przed tym głodem na Syberię uciekało. Oni częstokroć z wielkim sentymentem rozmawiali z nami po białorusku. Ta białoruszczyzna nie była już czysta, była zrusycyzowana, ale oni pamiętali ten język, którym z kolei matka władała bardzo swobodnie. Ci mieli do nas więcej sympatii, bo to "my spod Młńska, wy spod Nowogródka", starsze pokolenie bywało w tych miejscach, więc znajdowało się wspólny język i zdobywało dodatkową życzliwość.

No ale spotykaliśmy się także z przedstawicielami miejscowe

inteligencji. Przecież tam były ewakuowane szpitale. Jeszcze przed chorobą śp. pamięci babci poznaliśmy rodzinę Stawczańskich. On był lekarzem, miał żonę, córeczkę, ładną dziewczynę z wielkimi aspiracjami (później studiowała medycynę w Nowosybirsku). A Stawczański był lekarzem w szpitalu wojennym. Oni byli z Klemieńczuga, myśmy czasem u nich bywali. Biadali nad moją okropną ruszczyzną, bo ja jednak wmówiłem trochę slangiem ludowym. Poznałem rosyjski nie od strony Lermontowa czy Puszkina, lecz od normalnego, codziennego życia. Czasem rzucałem takimi zwrotami, że raziły bardziej inteligentne ucho. Później spotkaliśmy się z bardzo miłą rodziną pułkownika Popowa, który był wykładowcą Kijewskowo Krasnozamiennowo Piechotnowo Utiliszcza, które też było ewakuowane z Kijowa do Aczyńska. To był inteligent z prawdziwego zdarzenia, oficer carski, oczywiście niskiego stopnia prawdopodobnie, ale miał wykształcenie fachowe, bo wykładał chyba topografię, jakiś ścisły przedmiot w tej kijowskiej szkole piechoty. Jego żona znała doskonale francuski, była tam również babcia, bardzo miła pani. Była to resztką niedobitej inteligencji przedrewolucyjnej. Mieszkali niedaleko "wojennego garodka", a zresztą wkrótce po odzyskaniu Kijowa odjechali, z tą piechotą. Przedtem mama przynosiła od nich ciekawe wiadomości. Popow był bardzo kulturalny, potrafił się elegancko zachowywać. Po wielu, wielu latach w Wojskowym Przeglądzie Historycznym czytam artykuł o Karolu Swierczewskim. Iwan Dmitricz Popow. Czytam - rzecz dzieje się w Aczyńsku. I zorientowałem się, że to ten Popow, z którym myśmy byli zaprzyjaźnieni. Zadzwoziłem do WIH-u. - Skąd wyście tego Popowa wytrzasnęli? - No, przysłał do nas artykuł, z Kijowa, myśmy przetłumaczyli. - Macie adres? - Mamy. Moja matka napisała i on napisał niesłychanie serdeczny list o sobie, żonie, synu itd. Miała miejsce wymiana listów między mamą a Popowem. Potem widziałem się z jego synem w Kijowie, ojciec już wtedy zmarł, był cukrzykiem. Taki był finał naszej znajomości.

Druga znajomość była bardzo ciekawa, mianowicie rodzina tej naszej gospodyni, o której wspominałem, a u której mieszkaliśmy ostatnio w Aczyńsku, Marii Onufrywny Kozłowej. Jej mąż był w wojsku, poznaliśmy go, przyjechał po wojnie do niej. Był już w tym czasie w Akademii Frunzego, oficer pogranicznych wojsk NKWD, kapitan. No i tam była kwestia, czy oni się połączą z powrotem po tej wojennej rozłące, były pewne trudności tak z jednej jak z drugiej strony. Mama działała w kierunku ponownego ich połączenia. Kiedy myśmy w 46 roku opuszczali Aczyńsk i wyjeżdżali do kraju, ona dostała wiadomość z Moskwy, żeby natychmiast likwidować całe gospodarstwo i tam przyjeżdżać, bo on dostał jakieś mieszkanie. Myśmy wrócili do kraju i kontakt urwał się, oczywiście. Aliści w latach 70-tych otrzymałem dość nieoczekiwane zaproszenie do Pałacu Mostowskich i przez pewnego dżentelmena byłem mocno indagowany, co mnie niepomnie zdziwiło. Pytano mnie o kogoś o nazwisku Kozieł, Kozłowski - z nikim z naszego polskiego otoczenia w Aczyńsku mi się to nie kojarzyło. Kiedy wróciłem do domu, po godzinie ten pan zadzwonił i pyta: Czy pan sobie kojarzy nazwisko Kozłow? - Oczywiście, że kojarzę, Kozłow to był mąż naszej gospodyni. Ten pan podziękował, a tego samego wieczora, kiedy rozmawiałem z żoną, co to za jakaś kombinacja i dlaczego mnie pytają na okoliczność Kozłowa - otrzymałem telefon od komendanta stołecznego MO, który przekazał mi mi pozdrowienia od pana generała Kozłowa. Zajmował równoznaczne stanowisko w stołecznym mieście Moskwa. I sugestie nawiązania kontaktu. Pojechałem do mamy do Elbląga, opowiadam wszystko - okazuje się, że u mamy był również jakiś pan z milicji, który mamę podchodził od nazwisk: czy kogoś pamięta. Mama nastroszyła się, była nieufna i odpowiadała zdawkowo. Co się okazuje: otrzymaliśmy bardzo serdeczny list od samej Marusi. Okazało się, że była wizyta towarzyska Kozłowa w Polsce, czy raczej jego naszego analoga w Moskwie i wtedy Kozłow powiedział: Mę jeśli rzeczywiście ta wasza milicja tak do-

brze działa, to odszukajcie naszych przyjaciół, którzy z nami mieszkali w ciężkich dość chwilach i mamy dużo serdecznych wspomnień, wdzięczności itd. No i nasza milicja stanęła na głowie, odszukała nas, matki w Elblągu i mnie w Warszawie. Będąc w 75 roku służbowo w Moskwie, zadzwoniłem do nich i wtedy myśmy się spotkali. Oni mnie odwiedzili, bo byli gdzieś na dacz, wracam z jakiejś opery - zastaję w holu hotelowym pana generała z żoną, która zresztą bardzo ładnie wyglądała. No i - padliśmy sobie w objęcia, druzja, przyjacielu! To jest dość charakterystyczne. Powiedział, że był komendantem spraw wewn. w stolicy, z tego tytułu chował np. Rokossowski go pod murem kremłowskim. Znalazła się również wzmianka, zresztą bardzo serdeczna, w jego wspomnieniach. Powiedział mi póź niej : Wziąłem tę waszą milicję pod włos, no i was odnaleźli. No i ten kontakt utrzymuje się - pisujemy rzadko, ale pisujemy. Niedy ostatni raz byłem u nich w mieszkaniu, poznałem jego córkę, zięcia. Gdy zapytałem, czym teraz jest, powiedział: Wiesz co, Heniek, ja jestem starym żołnierzem, mogę ci tylko powiedzieć "ja wysoki naczelnik". Ale nie powiedział, kim właściwie jest i czym się zajmuje. Nie mam powodu tego ukrywać - i tak jestem, ja i matka, uwieczniony w tych wspomnieniach. Takie polonicum. Nie wiem, czy taka sytuacja mogłaby się zdarzyć w ~~relacji~~ relacji Polacy - Niemcy. Z życia się nas, zesłańców, z osobą, której mąż został wysokim dygnitarzem sowieckim - i to w pionie, który nam się nie kojarzy przyjemnie. Od początku był w pogranicznych wojskach NKWD, to były wojska, które spełniały na froncie rolę żandarmerii. Pamiętam, kiedy przyjecha jesienią 45 roku do Aczyńska, miałem wtedy 15 lat. Dla mnie był to frontowy oficer, opowiadał chętnie o swoich wojennych przygodach. Po latach, kiedy dostałem do ręki jego książkę wspomnieniową, porównywałem fragmenty z tym, co wtedy opowiadał. W jakiś sposób to się pokrywało. To był człowiek, który siedział pod Leningradem. w 44 roku zabrano go do Akademii Frunzego, skoń-

czył ją, dostał przydział pod Lwów i tam zwalczał partyzantkę UPA. Nawet w spomina o oficerach polskich, z którymi współdziałali. Później był dowódcą elitarniej bardzo jednostki - I dywizji Dzierżyńskiego, o czym pisze. Na tym się jego wspomnienia urywają, na latach pięćdziesiątych.

Wracam do Syberii. Jeden moment warto utrwalić. Spotkaliśmy tam jedną "oficerszą", która została ewakuowana z Krymu, Sewastopola przez Kaukaz i znalazła się na Syberii. Mama miała z nią jakieś kontakty handlowe. Z wielkim uznaniem mówiła o swoich wrażeniach z zetknięcia się z armią Andersa. W 42 roku siedziała gdzieś w Krasnowodsku w porcie, a tu ładują się oddziały polskie do Persji. Przylatuje jakiś młody oficer czy podoficer polski i mówi, że zajął kolejkę, bo tam gdzieś wódkę czy wino sprzedają - i zabrakło mu 10 rubli. I czy mógłby pożyczyć, za godzinę zwróci, bo teraz mu kolejka minie. Któraś z tych "komandirszych" daje mu te 10 rubli. Żołnierz znika. Mijają 2 godziny, ta Rosjanka zaczyna wyrażać swoje niezadowolenie. przechodzi koło tych pań jakiś oficer polski, a ta: Co za dyscyplina u was, pożyczył, nie oddał. Zauważyła, że ten oficer poczerwieniał, natychmiast wyjął 10 rubli, powiedział: Bardzo panią przepraszam, może pani łaskawie przyjmie. No i ona przyjęła. Za pół godziny przybiega zziębnięty delikwent z 10 rublami. Bardzobym chciał, żeby się ten oficer dowiedział, jakie to wrażenie zrobiło na tych Rosjankach.

Chciałem wspomnieć również, jak układały się nasze stosunki z naszymi współobywatelami pochodzenia żydowskiego. Żydów było bardzo dużo. Cała ta inteligencja, burżuazja żydowska z naszych kresów półn.-wschodnich była wywieziona głównie w tym trzecim wyrozie. Tak samo znalazło się dużo Żydów z Małopolski, którzy różnili się od innych Żydów bardzo dobrą znajomością polskiego. Niejednokrotnie bardzo pięknie mówili. Pamiętam takiego pana Elenbogera, który mówił śliczną polszczyzną. Stosunki z nimi były poprawne i dobre. Natomiast potrafili się zawsze trochę lepiej urządzać.

(skrót).Może dlatego, że spotykali się z pomocą pobratymców, którzy też na Syberii nie brakowało. Wspominałem już o kołchzie. A poza tym cóż: bardzo niewielu Żydów zostało wziętych do Armii Kościuszkowskiej. Wtedy, kiedy odbywał się przez wojenkomat normalny pobór, wielu Żydów w wieku poborowym studiowało. były tam możliwości w Kraśnojarsku, ktoś studiował w Nowosybirsku. Ale Żydzi chyba bardzo wcześnie zaczęli się orientować na emigrację z Polski. Mogli domyślać się losu swoich rodzin, które zostały w kraju. To, o czym myśmy zaczęli dowiadywać się po pewnym czasie i w co, prawdę powiedziawszy, nie bardzo w czasie wojny wierzyliśmy - to przeszło najgorsze wyobrażenia i oczekiwania. Myśmy w czasie wojny zasadniczo nie wierzyli w to, co się pisało o zbrodniach niemieckich, co nie zmieniało naszej postawy w stos. do Niemców jako zasadniczego wroga, który musi być pobity. A najlepiej, jeśli ~~nie~~ Niemcy porządnie wykrwawią Z wiązek Radziecki. Każdy rozumował, że to będzie dla nas w jakiś sposób korzystne, brutalnie mówiąc. Natomiast z Niemcami rozprawiają się Anglicy i Amerykanie - to było typowe polskie chciejstwo. Taka - w skrócie - koncepcja polityczna, którą większość z nas w jakiś sposób wyznawała. Do 43 roku, kiedy myśmy zrozumieli, że tylko szybkie pobicie Niemców będzie dla nas oznaczać powrót do kraju. Sledziliśmy postęp wojny w tym kierunku. Do momentu, kiedy spadły na nas te represje, areszty delegatów, wszystkie żajdactwa prowokacyjne w stosunku do Armii Andersa - każda klęska rosyjska przyjmowana była przez nas raczej z satysfakcją. Bo to znaczyło, że im nosa trochę przytarto. Pamiętam, że im większe ciężki brali, tym zachowywali się potulniej, mniej agresywnie, arogancko. Natomiast od momentu, kiedy nie pozostawało nam nic innego, jak czekać końca wojny, bo to otworzy nam drogę do ojczyzny - to pamiętam, że ja sam zaznaczałem na mapie czerwonymi chorągiewkami postęp wojsk sowieckich w kierunku Polski, tak samo jak po inwazji na Normandię postęp sojuszników na Zachodzie. Ciągłe łudziliśmy się, że sojuszni

cy zajmą wcześniej Berlin, że zdążą zająć część Polski. Przecież byliśmy odcięci od informacji, gazety otrzymywało się od przypadku do przypadku, bywało, że poza "radiotoczkami", które podawały komunikaty, byliśmy od informacji odcięci. Czasopismo miejscowe "Leninskij put" ukazywał się na jednym arkusiku z obu stron zadrukowanym. A kiedy p. Janina Jotkowa poszła kiedyś do redaktora tego organu WKP(b) i chciała gazetkę zaprenumerować, on zapytał: Czy pani pali? - Nie. - To po co pani gazeta? Gazeta była potrzebna do robienia skrętów, a nie do bawienia się w politykę. Więc redaktor prenumeraty nie załatwił, ponieważ uważał, że należy się ona jakimś mężczyźnie palącemu skręty z tego straszliwego "samośadu". Wywoływał on potworne ataki kaszlu spazmatycznego. Np. ten nasz gospodarz od psa, też palił skręty z Leninskiego puti. Oczywiście zapalek nie było, więc każdy palacz miał obok tzw. Kisietu, czyli ~~waz~~ woreczka, w którym przechowywał "tabakę", kawałek krzesiwa, miał tzw. fitil, czyli knot i miał czirkoku, czyli kawałeczek stali. Przykładał dużym palcem ten fitil do krzemienia, po czym tak długo bił o ten krzemień krzesiwen, aż fitil ~~xaxaxixx~~ zatlił się i od tego tłącego się knota odpalał dopiero papierosa. Potem zanosił się straszliwym kaszlem. (skrót)

Wracając do Żydów. Bardzo wcześnie orientowali się na wyjazd z Polski. Jako obserwowałem, bo bardzo duże skorzystałem od dwóch znajomych. To był właściciel apteki, pan Gisburg, którego dwaj synowie, bardzo uzdolnieni, Jasza i Jawrasza, udzielali mi korepetycji całkiem gratisowo. Pamiętam, jak oni już wtedy kuli angielski. To był 44 rok, wiedzieli, że nie będą w Polsce popasać, że wyjadą do Palestyny albo nawet do Ameryki. Co chyba się i stało, nie wiem bo straciłem kontakt, większość Żydów zaraz po powrocie wyemigrowała. (skrót) Żydzi niewątpliwie jako pewna zbiorowość mają zdolność dostrajania się do otoczenia łatwiej niż inni. Nie chciałbym uogólniać, ale doskonale chwytały język, całkowicie porzucając polski. Bardzo łatwo wchodzili w środowisko rosyjskie.

Kiedyśmy ruszali z Aczyńska w tę swoją wymarzoną, wyśnioną podróż, tak się złożyło, że nas było czworo Polaków na 40 chyba Żydów w wagonie. Tylko my, pani Janina Ruso i pani Woronowiczowa. Pociąg ruszył i ta młodzież żydowska zaśpiewała "praszczaj lubimyj gorod", b. ładną pieśń, chyba autorstwa Petersburskiego czy Włada, którzy też siedzieli w Rosji. Wtedy moja matka zareagowała dość ostro: Do cholery jasnej, my przecież jedziemy do Polski, może byśmy zaśpiewali hymn Polski, a nie "praszczaj lubimyj gorod", bo kto chciał, mógł zostać, jeśli to tak kochane miasto dla was. Było trochę konsternacji, nieskładnymi głosami to towarzystwo zaczęło śpiewać "Jeszcze Polska". Zapamiętałam to, bo jakoś to odczułem. Ale nie chciałbym uogólniać. Tak jak do Rosjan wyniosłem stamtąd wiele sympatii, wiele nawet i przyjacieli - tak i wielu Żydów pomagało nam w pewnych sytuacjach i wspominam ich dobrze.

Skrót - rozważanie problemów mniejszości w dwudziestoleciu międzywojennym, zwłaszcza specyfiki stosunków polsko-żydowskich, oraz sowiecko-żydowskich, również w czasie wojny i tuż po wojnie w Polsce.

Zbliżam się do końca. Okres 44-45 był bardzo ciężki. Miało się nadzieję, że wracamy, że to jest blisko. Dowiedzieliśmy się w 45 na jesieni, że mój ojciec żyje, była ogromna radość, bo przez parę lat nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje. Zawiazaliśmy korespondencję, zresztą zupełnie przypadkowo, to była gra szczęśliwych zbiegów okoliczności. Gdy kresy zostały zajęte w czasie ofensywy sowieckiej latem 44, tośmy pisali na różne adresy, do Nowogródka, do Wilna i po paru miesiącach zaczęły przychodzić zaskakujące listy. Zupełnie przypadkowo natrafiliśmy na ciotkę, siostrę matki. Tak się złożyło, że list przechwycił na poczcie któryś z naszych kuzynów, który tam pracował. List by do ciotki nie doszedł, bo nie mieszkała już tam, ale on wiedział, gdzie ciotka jest aktualnie i po paru tygodniach przyszedł do nas list złany łzami, z tymi pie-

44

czątkami cenzury wojennej, na jakichś kartkach z zaszytu. Koniec wojny się zbliżał, żal nam było sąsiadów, którzy ciągle dostawali zawiadomienia o śmierci bliskich. W końcu człowiek żył w tym społeczeństwie i w jakimś sensie współ - czuł. Tego nie można się wypierać. Nigdy nie zapomnę dnia zwycięstwa. Koniec wojny. wiemy, że wojna się skończyła nie 9 lecz 8 maja (skrót), wysłuchaliśmy tego komunikatu przez taki "kołchznik", głośnik radiowy. Radość była podwójna, bo otrzymaliśmy zawiadomienie, że jest dla nas paczka z Wilna od ciotki. Więc idziemy z matką - 9 maja - nie było jeszcze na dworze zielono, tylko szaro, to błoto syberyjskie zdołało dopiero trochę przyschnąć, słońce z mlecznych, wysokich chmur. Idziemy na miting, nie wiem, po co nam ten miting, ale idziemy. Nastadionie tłum ludzi, jacyś bohaterowie gadają, plotą jakieś bzdury sloganowe. Pokręciliśmy się i idziemy na pocztę. Przychodzimy, wręczamy kwit. Załatwie nas jakaś kobieta zupełnie zapłakana, na oczy dosłownie nie widzi. Więc pytamy kogoś "czto takoję?" - "Znajetie, ona siedwodnia poharunku połuczyła" - dziś otrzymała wiadomość o śmierci męża. Tego momentu nigdy nie zapomnę. Nasza i wszystkich radość i ta kobieta zapłakana.

Paczka była wspaniała, jakaś słonina, owoce suszone, ciotka stawała na głowie, z trudem uzyskała pozwolenie na wysłanie paczki. W pudełku zbitym z jakiejś dykty, obszyte płótnem. Tak się dzień zakończenia wojny w mojej pamięci utrwalił, no ale trzeba było jeszcze blisko rok się przemęczyć, do kwietnia 46. Przeszliśmy tzw. opcję, bo trzeba było się zgłaszać. Można bało, oczywiście, skorzystać z gościny ZSRR i zostać, ale myśmy woleli wybrać podróż. Mniej więcej 2 lata przed naszym wyjazdem już istniała polska szkoła czteroklasowa założona przez ZPP. Znalazło się parę nauczycielek które wciągnęły się do tej roboty. Ja byłem już poza tą wyższą klasą. Tam głównie chodziło o to, żeby uczyć polkiego. Większość na-

szej młodzieży chodziła do tej szkoły, ja nie, żeby uniknąć tego chuligaństwa. Bo tam nauki wiele nie było, chuliganizm się parę godzin, nic więcej. Sam uczyłem się z podręczników, Ghrzanowskiego miałem, Kleinera, poza tym dużo czytałem po rosyjsku i po polsku. I chodziłem do tych dwóch panów na matematykę, w której byłem jak noga stołowa. To mi pozwoliło po powrocie do kraju wystartować od razu do 4 klasy gimnazjalnej, tak że w roku szk. 46/47 robiłem małą maturę. Mieliśmy, jak mówiłem, te polskie organizacje, dostawaliśmy jakieś mleko w proszku, konserwy, makrele, również środek DDT, ponieważ większość z nas była potwornie zawszona. Nawet przy usiłowaniu zachowania higieny to wyłożyło w końcu. Dopiero jak myśmę się wstawiali do wagonu i posypaliśmy te nasze pościele i łóżka chym DDT - to wszystko nagle znikło. To było zaskakujące dla nas - jak działa DDT na syberyjskie wszy.

Organizowaliśmy czasem jakieś akademie polsko-sowieckie, nawet z zadaniem, bo na sali teatralnej, deklamacje, tańce.

W kwietniu 46, piętnastego, załadowaliśmy się do eszełonów i po dwóch tygodniach znaleźliśmy się już na nowej granicy - granicy. Stara przekraczaliśmy na linii Nowowilejka, stacyjka Zabki czy Ziabki. Jechaliśmy później przez Wołodeczno, przez Lide i do punktu wyjścia: przejechaliśmy przez Nowojelnię, na której załadowaliśmy się w 41 roku do eszełonu. Pamiętam, był piękny wieczór, który przypominał mi te wspaniałe wakacje, jakie w Nowojelni spędziłem przed wojną. To była przecież cudowna miejscowość, położona w cudownym lesie, tak że tam przed wojną ulokowano 2 sanatoria. Miał to być ośrodek leczenia klimatycznego. Stoimy i czekamy na jakąś mijankę, trochę ludności polskiej zaczęło do nas przychodzić, więc moja mama poprosiła jakąś dziewczynkę, żeby podakoczyła do pani Kostusikowej, spytała, czy jest. Mieszkaliśmy u niej lat temu kilkanaście. No i Kostusikowa przyleciała niesłychanie urado-

wana, bo widziała, jak nas ładowano, tylko wtedy jakoś nie mogła podejść. Też już siedziała na walizkach, wybierała się do Gdańska. To była taka osada duża przystacyjna, głównie kolejarze tam mieszkali, tradycyjnie patriotyczna społeczność, tak że dużo Nowojel-
nian się repatriowało do Polski. W końcu ruszyliśmy do Baranowicz, tam też staliśmy dwa dni, później jechaliśmy na Berezę Kartuska, na Brześć, a z Brześcia przez Bug do Terespolu. I tam po raz pierwszy ujrzelśmy, z ogromnym wzruszeniem - wopistów z orzełkami. Był i dramatyczny moment. Mianowicie sprawdzali dokumenty. Staliśmy trochę za stacją i w pewnym momencie wchodzi enkawudyści i sprawdzają dokumenty, przeglądają nasze bagaże. Myśmy jechali z tą staruszką, panią Woronowiczową, która była zupełnie sama i którą przygar-
nęliśmy. Kiedy wyrabialiśmy nasze dokumenty wyjazdowe, trzeba było zrobić zdjęcia. Ale kiedy przyszło do wyrobienia dokumentów pani Woronowiczowej, ktoś tam powiedział: "E, one starucha, niepotrzebne zdjęcia". I w rezultacie dokument był, ale bez zdjęcia. Ten enkawudysta mówi: Po czemu niet fotokarteczki etoj żeńszczyzny? - Po nie wielali nam sdiełat. - Jak nie wielali? Toż to nieważny dokument! - powiada on do nas - wyładowywać się! Przerazenie potworne Matki i moje - zaczynamy go błagać: jak to, kobieta jechała parę tysięcy kilometrów i teraz mamy ją wysadzać przed granicą? Cóż ona tu robi. Nie możemy z nią zostać, ani ją samą zostawić! - Wsio rawno, dokument nieważny, zabierajcie się. I wisi tak uczeplony ręką w drzwiach towarowego wagonu. A my w modlitewnej intonacji się do niego zwracamy. I tu pani Woronowiczowa zadziałała w sposób rozpaczliwy, ale trzeźwy. Ja - mówi - nie ruszę się. Jestem starucha 75 letnia, ja się nie ruszam. Przynoście w takim razie nosiłki i bierzcie mnie na nosze! Nigdzie sama nie wyjde o własnych siłach! I on tak się chwileczką zastanowił, z rozmachem rzucił nam te dokumenty "Bieritie!" - i zeskoczył z wagonu. Myśmy minęli Bug, zatrzymali

zatrzymali się w Terespolu i człowiek jeszcze nie mógł ochłonać po tym potwornym wrażeniu. Bo to było zdarzenie upokarzające: ja byłem gotów tę staruszkę zostawić... To pragnienie znalezienia się w Polsce było tak straszne, że kiedy stanęło przed nami to widmo powrotu... To była typowa szykana, ale to jest ten kraj. Tam takie sprawy się zdarzały. (skrót) Myśmy patrzyli na panią Woronowiczową, jakby wróciła z zaświatów. Ona sama zresztą była roztrzesiona, matka roztrzesiona. Staliśmy w tym Terespolu i zdawało nam się, że już nam nic nie grozi - kolejarzy polscy, życzliwa atmosfera. Wszędzie są ludzie i dranie. Na wstępie wspominałem, o kobietach na stacji Pawlinowa, mleko przyniosły, jedna rzuciła we mnie tą grudką okropnych landrynek - też tego nie zapomnę. I nie zapomnę, co było po spotkaniu z moim ojcem. Dwa tygodnie jeszcze tłukliśmy się określonymi drogami, w kraju linie były poniszczone. Wysłaliśmy do ojca do Elbląga depeszę chyba z Terespolu, potem z Dębina, że jedziemy w kierunku Szczecina, tak nam mniej więcej powiedziano. Ojciec wyjechał z Elbląga - dopadł nas w Pile. Siedziałem przy wagonie i chciałem zagotować herbatę, gotowało się na cegłach przy wagonie. Wyśliznął mi się imbryk i zalał to ognisko, wściekły byłem, bo nie mogłem rozdmuchać tego ognia. W pewnym momencie spojrziałem do tyłu i zobaczyłem, że wzdłuż tego eszelonu idzie jakiś pan, ubrany dla nas trochę egzotycznie, bo w normalnym płaszczu i kapeluszu. Początkowo nie skojarzyłem go z nikim. Kiedy znalazł się poza moimi plecami, jakoś instynktownie się odwróciłem - i ten pan też się ku mnie zwrócił - i nagle uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy synem i ojcem. Takie było spotkanie po 7 latach. Mama była na stacji, więc ktoś poleciał do mamy, żeby uprzedzić, że ojciec już jest. Ojciec z nami pojechał. przejechał się naszym eszelonem do Szczecinka. W Szczecinku załadowaliśmy się już do normalnego polskiego, przeładowanego pociągu, w towarzystwie szabrowników itd. Tłum, gnietli nas w spo

sób

straszliwy, więc ojciec: Ludzie, nie gniewcie, tu wraca rodzina z Syberii po 30 dniach podróży! Wtedy taki skurwysyn (niech pan tego nie wycina, broń Boże!) powiedział: No to sobie możecie na tę swoją Syberię wracać! Tak powiedział Polak do Polaka, po polsku, do ludzi, którzy wracali z Syberii! Zawsze zestawiam reakcje tych biednych kołcháników, które rzucały nam, nieznanym ludziom to swoje jedzenie, jakieś tam kawałki chleba ludziom jadącym na wygnanie - z tym Polakiem, który tak zareagował, któremu to przez gardło przeszło. Będę to pamiętał do śmierci.

Nie chciałbym na tym akcencie zakończyć tej swojej relacji, bo kocham naród polski i czuję się bardzo dumny, jakkolwiek jestem g e n t e R u t e n u s - nie jestem etnicznym Polakiem tylko przede wszystkim obywatelem Wielkiego ¹sięstwa Litewskiego. I tym akcentem Orła I Pogoni, zakończylibyśmy tę rozmowę.

- To nie jest dobre zakończenie. Niech pan powie, jak później było.

- Później myśmy instynktownie szukali siebie, kresowiaczy. Ja miałem kompleksy. Miałem kompleks języka, brakowało mi nieraz słów polskich. To niewątpliwie onieśmielało w tych pierwszych kontaktach. Tak się złożyło, że ojciec mieszkał po sąsiedzku ze swoim urzędnikiem sądowym z Nowogródka, którego córki znałem ~~xxx~~ ze szkoły s.s. nazaretaneł, więc mniej więcej trafiłem na ludzi, z którymi dużo nas łączyło, wspomnienia, przeżycia, ale mieliśmy ciągle garb sybirski. Tu, w Polsce spotkaliśmy się z potwornością okupacji która nas zaskakiwała. Myśmy nie spodziewali się, że w Polsce działo się to, co się działo. Ciągle myśleliśmy, że to m y byliśmy tą ludnością, która naprawdę dużo wycierpiała. Wielu z nas dużo przecierpiał, nie mniej niż ludzie w Oświęcimiu, jakkolwiek trudno tu porównania robić, bo to były rzeczy straszne i tu i tam. Wyśmy spotkali się tu z ludźmi, którzy byli równie obolali, albo o wiele jeszcze bardziej obolali jak my. Obolali potwornościami wojny, potwornościami obozów koncentracyjnych, gehenną i koszmarem

powstania warszawskiego. W pewnych sytuacjach zdawało się nam, że na nas powinni patrzeć jak na tych najbardziej doświadczonych przez wojnę, podczas gdy nas traktowano czasem może i z pewnym niezrozumieniem, bo nie było absolutnie żadnej wiedzy o tym, co się działo na kresach wschodnich. Ludzie byli zapatrzeni w te nieszczęścia, które ich spotkały, najbliższe: wywozy, łapanki, Oświęcim, Majdanek, tortury, Szucha, gestapo itd. A co na kresach się działo? No tak, coś się działo, jacyś tam Sowieci. No ale ci Sowieci w końcu przyszli i wyzwolili, czy w każdym razie stworzyli jakąś inną sytuację dla nas. Na pewno wyzwolili nas od widma zagłady biologicznej i fizycznej, co jest faktem bezspornym. Człowiek musiał patrzeć na tych Warszawiaków, którzy uważali siebie za sól narodu ("Bo my z Warszawy"). Pamiętam, w Elblągu były występy Zizi Halamy chyba i Parnelli. Weszli oni po występie na salę i po prostu zbierali na Warszawę - taka kwesta. No i następnego dnia (cała nasza buda była na tych występach) w klasie zaczęła się rozmowa. Była grupka kolegów z W-wy. (...) "O, my, Warszawiacy, widzicie, na naszą Warszawę kwestują!" Aż w końcu jeden z naszych kolegów z Wilna powiedział: "No właśnie, a na nasze Wilno tak nie dziadują!" Już nie wytrzymał tej euforii warszawskiej.

W tym tyglu, który powstał - myśmy się jakoś wtapiali. Zresztą do nas, kresowiaków, raczej na ogół życzliwie podchodzono. No ale później coraz rzadziej człowiek mógł mówić na ten temat. Człowiek zaczął się bać o tym mówić. Jeszcze 46, 47 rok - to się jeszcze wydawało "jedna bomba atomowa i powrócimy znów do Lwowa", ale później zaczął się stalinizm, kiedy człowiek bał się cokolwiek mówić i chwalić się tą Syberią nie było co. Jeżeli się mówiło, to "Byliśmy tam, o tak, pracowaliśmy na potrzeby frontu" - ot, takie bzdury gadało się. (...) Ze szczególnym zrozumieniem witeli nas kresowiaci, którzy wiedzieli, czym to pachniało.

Jeśli chodzi o młódzież, to człowiek wrastał w to środowisko